

HISTORIA WOJNY, RODZINY, JĘZYKA, ALE PRZEDĘ WSZYSTKIM  
PEAN NA CZEŚĆ NIEOKIEŁZNAJ, WYZWOLONEJ MIŁOŚCI.

KHALED HOSSEINI

# JĘZYK MIŁOŚCI

EMILY ROBBINS

Prószyński i S-ka

JĘZYK MIŁOŚCI  
EMILY ROBBINS

Przełożyła  
Anna Kłosiewicz

*Prószyński i S-ka*

*Moim rodzicom oraz Arthurowi,*

*z wyrazami miłości*

## PRZEDTEM

Niewielkie, zwyczajne pudełko zostało mi dostarczone pod drzwi. Było zaadresowane do mnie, ale jedynie moim imieniem, wypisanym boleśnie równymi literami, bez żadnego nachylenia, jakby osoba, która je stawiała, nie nawykła do pisania po angielsku. To był dla mnie pierwszy znak. Od razu pomyślałam, że to przesyłka od madame. Zostawiłam u niej parę książek, które od lat obiecywała mi odesłać. Kiedy jednak podniosłam paczkę, stwierdziłam, że jest za lekka, żeby zawierać książki. W jednym rogu znajdowały się zagraniczny znaczek i oznaczenia policji.

Powoli otworzyłam pudełko. Ze środka wysypały się papiery: wiersze, wydrukowane esemesy, przedarte na pół wizytówki. Zaczęłam je wyglądać, wszystkie te chusteczki higieniczne kupowane całymi paczkami tylko po to, by na nich pisać. Pudełko przesłał mi pewien policjant, znał wagę tych dokumentów. Dawno temu usłyszałam, że to prawdziwy Qais, czyli wielki kochanek. I że kiedyś przyczepił wiersz do ucha pluszowego misia, którego potem wysłał ukochanej. Miś miał symbolizować miłość. Wiersz tylko to dokumentował.

*Chcę to zapisać swoją ręką – Beo, czy pamiętasz jeszcze arabski?*

*Pragnę to zapisać swoją ręką. Wszystko, co robiłem od 20 stycznia 2005 roku aż po dzień dzisiejszy, jeśli tylko było romantycznej natury, czyniłem dla Nisrine. Bo nie jestem w stanie mówić tych wszystkich rzeczy innej dziewczynie, robić ich dla innej – tylko dla niej. Nie ma innej poza nią. Zapisuję to tu i poświadczam moim imieniem. Nazywam się Adel Ammar Ibrahim Talbani, to moje oficjalne imię i nazwisko. Niektórzy znają mnie jako Abu Taliba, tak właśnie zwracano się do mnie na komisariacie. A dla kolegów jestem Ammarem, tak na mnie wołają. Ale na imię mam Adel. I byłem policjantem. A piszę to do Bei, ponieważ jak już wspomniałem, nie istnieje dla mnie żadna inna dziewczyna poza Nisrine. Moja miłość do niej nigdy się nie zmieni – jeśli już, to jedynie się umocni. Bea o tym wie, bo znała Nisrine. A Nisrine wiedziała wszystko. Z całego serca życzę jej szczęścia.*

*Adel, 21 stycznia 20 –*

Wyjechałam do ojczyzny Adela jako studentka arabistyki i wróciłam stamtąd pół roku przed planowanym terminem, przekonana, że nigdy więcej nie wybiorę się za granicę. A wszystko to za sprawą Nisrine. Pragnęłam zamknąć się w moim pokoju i więcej z niego nie wychodzić, żeby przypadkiem nie napytać komuś biedy. Próbowала wymazać w ten sposób swoją winę. Bo czułam się winna.

*Bea o tym wie, bo znała Nisrine. A Nisrine wiedziała wszystko...*

Kobieta, u której mieszkałam, zawsze powtarzała, że człowiek, który jest w stanie pisać, ma czyste sumienie. Wyjęłam jeden po drugim wiersze policjanta. Przejrzałam dokumenty. Rozłożyłam je przed sobą, żeby móc na nie patrzeć podczas pracy. A potem zaczęłam pisać, by oddać tej historii sprawiedliwość i oczyścić sumienie.

## SPOTKANIE

Rdzawe niebo sprowadziło deszcz do tego obcego miasta. Wieczorami ludzie podnosili głowy, pocierali dłońmi czoła i powtarzali: „Jutro spadnie deszcz”. Wiatr przeganiał chmury. Ale następnego dnia wcale nie zaczęło padać. Kolejnego zresztą też nie.

Deszcze nadeszły dwa tygodnie później, przepowiednie wreszcie się sprawdziły. Mężczyźni przed meczetami obmywali stopy deszczówką, ostrożnie wsuwali je pod krany z wodą, przytrzymując okrycie nad głową, by uchronić się przed zmoknięciem. Krople deszczu rozpryskiwały się na ich czołach niczym gwiazdy, spływały lśniąco po ich poradlonych czołach aż po białka zamglonych oczu. To w nich całe miasto widziało zachmurzone niebo.

Przez pewien czas z powodu ulew nie było prądu. Mieszkańcy siedzieli w domach przy nikłym świetle świec. Nocami niebo zdawało się płonąć. A pasażerowie przelatujących po nim samolotów nie mieli pojęcia, że poniżej znajduje się miasto.

Rankiem deszcze ustały, a kiedy wiatr rozwiął ostatnie chmury, zaczęło się świętowanie. Wylegający na ulice ludzie obserwowali resztki deszczówki spływające po kocich łbach, palące słońce zdawało się wręcz pulsować. Woda porwała ze sobą kurz i porzucone worki ze śmieciami, a potem spłynęła ku autostradom i wydmom. W oknach suszyły się dywaniki, na balkonach powiewały przemoczone ubrania, zwieszając się nisko nad ulicami budzącego się ze snu miasta.

Razem z ulewą pojawili się policjanci. Ledwie deszcze ustały, wylegli na zewnątrz, smagli, rozkoszujący się zapachem bruku świeżo wymytego deszczem. Wyciągnęli na ulicę mokre worki z piaskiem, by te wyschły w słońcu, a potem ułożyli z nich stertę pośrodku pasa ruchu. Schnące worki wydzielały słodki zapach, podczas gdy policjanci układali kolejne przez całą szerokość jezdni, aż wreszcie utworzyli z nich barykadę.

Wszystkie samochody zatrzymywały się przy niej, a policjanci, wsparci o worki, sprawdzali dokumenty kierowców i rejestracje. Jechaliśmy autem w siódmkę, wracaliśmy z targu, a żadne z nas nie miało zapiętego pasa. Prowadził *baba*, madame i Abudi siedzieli z przodu, a ja i Nisrine z tyłu razem z dwiema dziewczynkami, Lemą i Dounią. Rozmawialiśmy o wręczeniu policjantowi łapówki.

Madame pozbierała od nas jabłka i włożyła je do torby.

– Proszę, Beo, daj je policjantowi.

Nie chciałam tego zrobić, ale madame mnie nie słuchała.

– Masz, Nisrine – powiedziałam. – Daj je policjantowi.

Dotarliśmy do worków z piaskiem, które ciągnęły się od komisariatu aż po miejski ogród. *Baba* opuścił szybę.

– Teraz, Beo.

Obie z Nisrine wysiadłyśmy i wśród chichotów wręczyłyśmy jednemu

z funkcjonariuszy torbę z jabłkami, a potem wskoczyliśmy z powrotem do auta. Policjant zajrzał do torby, żeby sprawdzić jej zawartość. Spod szarej czapki wystawały mu włosy, tak jasne, że aż lśniły w słońcu. Popatrzył przez okno od strony madame na tylne siedzenie, gdzie siedzieliśmy z Nistrine, ciągle chichocząc.

A potem sprawdził prawo jazdy *baby*.

– Jedźcie – powiedział, ściskając torbę z jabłkami. – Jedźcie.

Nie ujechaliśmy daleko. Zatrzymaliśmy się zaraz po drugiej stronie barykady, naprzeciwko naszego domu. Obejrzałam się, żeby spojrzeć na policjanta.

*Baba* dostrzegł to w tylnym lusterku i zażartował:

– Widzę, że Bea lubi blondynów.

Siedząca ze mną na tylnym siedzeniu Dounia też zachichotała.

– Dounia, przestań – upomniała ją madame. – Młodym panienkom nie przystoi takie zachowanie.

Później dowiedziałam się, że ten policjant też nas obserwował. Patrzył, jak wysiadamy z auta, a potem bez trudu nas odszukał, kiedy na balkonie czwartego piętra wietrzyliśmy buty. Białe lakierki Dounii były tak małe, że niemal prześliznęły się między prętami barierki. Policjant widział, jak Nistrine pochyla się, żeby je poprawić.

Jego koledzy nadal sprawdzali dokumenty kierowców i rejestracje aut, w końcu jednak postanowili wybrać się po papierosy.

– Chodź, Adel! – zawołali do blondyna.

A tymczasem on ciągle ścisnął w rękach torbę z naszymi jabłkami.

Przy workach z piaskiem zatrzymał się kolejny samochód, z którego też dobiegał chichot. Jasnowłosy policjant przepuścił auto. Chyba po prostu podobał mu się ten dźwięk.

## BEA

Poznałam madame dzięki agencji, która wyszukiwała zagranicznym studentom zakwaterowanie u miejscowych rodzin. Miałam dwadzieścia jeden lat, właśnie przyleciałam ze Stanów. Jeszcze przed moim przyjazdem uniwersytet przekazał pieniądze agencji, a agencja zapłaciła madame czynsz za pierwszy miesiąc – sto pięćdziesiąt dolarów. Madame po raz pierwszy gościła u siebie studentkę z zagranicy. A ja po raz pierwszy byłam studentką goszczącą za granicą.

Mieszkaliśmy w pięciopokojowym mieszkaniu z balkonem wychodzącym na centrum miasta. Widać z niego było szare dachy domów, a w oddali potężny most, biegnący na północ aż ku pałacowi prezydenckiemu, minaretom meczetów i ich zielonym światłom na skraju autostrad. Naprzeciwko znajdował się komisariat policji, szary, również czteropiętrowy budynek. Z naszego balkonu widać było policjantów pełniących wartę na jego płaskim, długim dachu. Z szeroko rozstawionymi nogami, stali na wszystkich czterech rogach. Pośrodku dachu znajdowały się prowizoryczna budka i niewielka wieżyczka z krzesłem i telefonem na wypadek, gdyby trzeba było się skontaktować z wartownikami. Popołudniami słyszeliśmy, jak policjanci zamawiają przez telefon herbatę. Za komisariatem znajdowały się kolejne betonowe budynki, ciągnące się nierównymi rzędami, zupełnie jak buty, które przyjaciele *baby* zostawiali przy drzwiach, zanim weszli do salonu, żeby dyskutować o polityce. Kiedy wszyscy zniknęli już w środku, razem z madame i Nistrine przykucaliśmy i poprawialiśmy te buty, żeby stały równo. Ścierałyśmy kurz ze skórzanych języków. Zwijałyśmy schludnie skarpetki i odkładałyśmy je tuż obok tych należących do dzieci. Madame oceniała mężczyzn po butach – ten, który o nie dbał, będzie dbał o rodzinę.

Mieszkanie zajmowali madame i jej mąż, *baba*, oraz ich dzieci: Lema, Abudi i Dounia. Lema miała czternaście lat, Abudi dziewięć, a Dounia cztery. Przez ostatni rok madame miała dwie służące, które się nie sprawdziły, po czym z Indonezji przyjechała Nistrine. No a teraz dołączyłam do nich jeszcze ja, Amerykanka.

Za sto pięćdziesiąt amerykańskich dolarów miesięcznie miałam zapewnione pół łóżka oraz świeże jedzenie, szansę na poznanie języka i literatury, które tak kochałam, a poza tym kiedy wychodziłam z domu, ktoś martwił się o mnie, dopóki nie wróciłam. Za pół łóżka, dodatkową ciepłą wodę i zmartwienia madame otrzymywała amerykańskie dolary, którymi płaciła potem Nistrine.

Madame mówiła, że kiedy dostawało się służącą z Indonezji, ta zawsze miała czarną walizkę i biały hidżab. Tak samo było z Nistrine, ale w końcu wszyscy tego oczekiwali. Pojechali do podupadającej dzielnicy miasta – madame, *baba* i dzieci. Człowiek z agencji miał paszport Nistrine. Wręczył go *babie* z zaleceniem, żeby dobrze go ukryć. Potem dodał, że dziewczyna nie zna numerów telefonów do domu, w razie jakichkolwiek problemów najlepiej więc dzwonić od razu do niego. Jego numer znajdą



w paszporcie.

W tym kraju wymiana waluty odbywała się tylko w jedną stronę. Można było wymienić dolary na miejscowe pieniądze, ale na odwrót już nie. Zwyczajnie było to nielegalne. Dopuszczalne było posługiwanie się wyłącznie miejscową walutą, za to wywożenie jej z kraju również było zabronione. Większość międzynarodowych interesów bazowała więc na amerykańskich dolarach, a ludziom, którzy otrzymywali zapłatę wyłącznie w miejscowej walucie, zawsze tych dolarów brakowało. Dlatego wiecznie próbowali je zdobyć, nawet jeśli ich międzynarodowe interesy ograniczały się do zatrudniania indonezyjskiej służącej, takiej jak Nistrine.

Nistrine dostawała sto dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie, do tego należało jeszcze doliczyć opłatę dla agencji. W rezultacie madame zawsze potrzebowała dolarów. To ją skłoniło do przyjęcia pod swój dach studentki z Ameryki, dzięki czemu miała się pozbyć problemów z gotówką.

Nistrine też płaciła agencji. Żeby tu przyjechać, musiała się zapożyczyć – cała jej roczna gaża z góry – a poza tym odkładała pieniądze, żeby po powrocie do ojczyzny wybudować dom. W rezultacie ona również ciągle potrzebowała gotówki. Od gości odwiedzających rodzinę madame często otrzymywała jakieś drobne podarki.

„To dla twojej dziewczyny”, mówiła na przykład jakaś ciotka, wręczając madame banknot zawinięty w cienką chustkę.

„Kup sobie coś ładnego”, rzucała kuzynka *baby*, wtykając Nistrine dwie srebrne monety.

Goście nie przynosili prezentów dla pani domu, ale zawsze mieli coś w zanadru dla Nistrine, co bardzo cieszyło madame. „Widzicie, jacy są dla niej dobrzy?”, lubiła powtarzać. „Myślą o niej więcej niż o mnie!”.

Ponieważ byłam cudzoziemką, madame ciągle się o mnie martwiła, podobnie jak o Nistrine, chociaż w odmienny sposób. W jej przypadku martwiła się głównie o komunikację. O to, że Nistrine będzie zapraszała do domu obcych mężczyzn, czy na pewno nie pomyliła jodyny z wybielaczem albo czy użyła dość detergentu do szorowania garnków.

– Pilnuj jej, Beo – poleciła mi któregoś razu. Siedziałam więc w kuchni i obserwowałam, czy Nistrine dokładnie usuwa białą skórkę z pomarańczy, które mieliśmy jeść.

– Ile masz braci i sióstr, Nistrine?

– Dziewiętnaścioro.

– Dziewiętnaścioro?

Jej dłonie przypominały ptaki skubiące białą otoczkę owoców. W ojczyźnie Nistrine istnieje legenda o dziewczynie, która zamieniła się w ptaka. Tak kochała tęczę, że któregoś dnia wzbiła się w niebo i już nigdy nie wróciła do domu. U madame często opowiadałyśmy sobie takie historie.

– A ty ile masz braci i sióstr? – zapytała Nistrine.

– W ogóle nie mam rodzeństwa.

– W ogóle?

Z jej zdumionego tonu od razu się zorientowałam, że w tych rejonach całkowity brak rodzeństwa jest równie dziwny jak dziewiętnaścioro braci i sióstr. Nisrine obrała dwie pomarańcze i Lema zabrała je do salonu. Wtedy Nisrine pokazała mi zdjęcia. Na wszystkich była z mężem i dzieckiem, głowę miała odsłoniętą. Opuściła dom, kiedy jej synek skończył rok. Teraz miał prawie dwa. Próbowałyśmy zgadywać, jakie słowa może już znać.

– Książka – powiedziałam.

Nisrine popatrzyła na mnie z zaciekawieniem.

– Lubisz książki, Beo?

– Zwierzę – zgadywałam dalej.

– Lubię zwierzęta.

– Miłość – dodałam.

– Świat – orzekła Nisrine.

Ja też mogłam pokazać Nisrine zdjęcie. Fotografie moich rodziców z czasów jeszcze przed ślubem, na której mama wyglądała zupełnie jak ja. To zdjęcie miało mi przypominać, że można znaleźć faceta, nawet jeśli twoje włosy wyglądają, jakby w nie piorun strzelił.

Nisrine wzięła ode mnie fotografię.

– Twoja mama jest bardzo ładna – powiedziała, a potem zapytała: – Chcesz wiedzieć, jak wygląda moja? – I wydeła policzki.

– To znaczy, że jest gruba? – rzuciłam, niepewna, jak to rozumieć.

Nisrine parsknęła śmiechem.

– W naszej rodzinie wszyscy jesteśmy grubi. Za bardzo lubimy jeść.

Popatrzyłam na nią uważnie. Miała wąską talię i szczupłe nogi, które przypominały młode drzewka. Ze śmiechu trzęsły się jej piersi, ale nie brzuch. Później miałam się dowiedzieć, że to taki prywatny żart Nisrine, jej namiastka luksusu. Mieszkanie madame było niewielkie, nasza gromadka spora, więc każdy wyszukiwał sobie takie drobne przyjemności.

Mąż madame, *baba*, był w stanie spać zawsze i wszędzie, w każdych okolicznościach. To była jego odrobina luksusu. O czwartej po południu zjawiali się goście, a madame przyjmowała ich herbatą w obecności pochrapującego na kanapie męża, który nie budził się, nawet gdy żona stawiała mu tacę na brzuchu czy włączała telewizor.

Moim luksusem była miłość do książek. I do romansów. W domu madame nauczyłam się zagłębiać w lekturę jakiejś książki po arabsku i śnić na jawie tak intensywnie, że nie zwracałam uwagi na otoczenie. W ten sposób zyskiwałam trochę czasu wyłącznie dla siebie.

Nisrine żartowała. Robiła miny do dzieci i pokrzykiwała: „Jestem potworem!”, a one wybuchwały śmiechem, bo dobrze wiedziały, że to nieprawda.

– Wcale nie jesteś gruba – zauważyłam.

– To dlatego, że nie jestem stara i bogata. Ale kiedyś będę bogata, będę miała restaurację i wielki dom, a wtedy ja i mój syn będziemy siedzieć i nie robić nic innego, tylko jeść.

\*\*\*

Madame martwiła się o mnie, tak jak martwiła się o Nistrine. Bała się, że będę dotykać chorych zwierząt, bo moja mama jest weterynarzem, martwiła się o moją kobiecość i o nieprzekłute uszy. I o to, że po tym, jak dałyśmy jabłka tamtemu jasnowłosemu policjantowi, zaczęłam zwracać na niego uwagę. Często pełnił wartę na dachu komisariatu, złocista kreska na tle błękitnego nieba, niczym arabska litera *alef*. Gdyby nadal miał nasze jabłka, mógłby mi rzucić jedno, a ja bez trudu bym je złapała, wychyliwszy się przez barierkę balkonu, tak niewielka odległość nas dzieliła.

W kuchni madame chwyciła mnie za ucho, żeby wyrwać mnie z zamyślenia.

– Beo, dlaczego nie przekłujesz sobie uszu? Widzisz Nistrine? Ona ma przekłute.

Dounia wpadła do kuchni, żeby zwędzić chipsa, ale matka jej na to nie pozwoliła, więc dziewczynka wybiegła z powrotem.

– Widzisz Dounię? Ona też ma przekłute uszy. Moja córeczka. Musieli mi zrobić cesarskie cięcie. Bolało tak bardzo, że nie widziałam na oczy. Ciągle tylko pytałam, gdzie moje dziecko, bo w ogóle nie czułam, że je urodziłam.

Kiedy zjawiłam się w tym domu po raz pierwszy, madame posłała Nistrine do łazienki, żeby wydzieliła mi dwa kawałki papieru toaletowego, czyli tyle, ile wolno mi było zużyć po wysiusianiu się. Madame i Nistrine w ogóle go nie potrzebowały. Obok toalety znajdował się pomarańczowy gumowy wąż, którego używały do obmywania się w razie potrzeby.

Nistrine pomogła mi też zaciągnąć walizkę do sypialni. Na łóżku leżały dwie poduszki: jedna dla córki madame, Lemy, druga dla mnie. Nistrine sypiała na rozłożonej na podłodze macie.

Madame opróżniła dla mnie dwie szuflady w komodzie. W jednej z nich, z pomocą Nistrine, ułożyłam książki. Do drugiej próbowałam wcisnąć ubrania, ale nie dało się jej domknąć. Nistrine zainterweniowała:

– To szuflada na bieliznę. Miejsce książek jest w salonie.

– W porządku – powiedziałam. – Nie ma sprawy.

Lema była najstarszym dzieckiem madame, od zawsze dzieliła z kimś łóżko. Ja wychowałam się w odrestaurowanym wiktoriańskim domu, w którym mieszkałam tylko z matką. Zanim zjawiłam się tutaj, nie musiałam z nikim dzielić łóżka czy szuflad w komodzie ani pilnować, czy służąca dokładnie obiera pomarańcze. Po prostu nie mieliśmy służącej.

– Nie ma sprawy – zapewniłam madame. – Przecież będę wiedziała, gdzie ich szukać.

Przez chwilę wszystkie trzy stałyśmy bez słowa. Pierwsza odezwała się Nistrine:

– Nie martw się, Bea, jakoś temu zaradzimy.

Starannie wygładziła moją bieliznę, a potem wcisnęła ją między kartki, zaś madame zabrała moje koszule i powiesiła je w szafie, żeby książki mogły zostać w szufladzie, zawsze pod ręką.

Przyjechałam do tego obcego kraju, żeby się uczyć. Zjawiłam się tu z nadzieją odnalezienia w Bibliotece Narodowej pewnego konkretnego tekstu, a poza tym złożyłam podanie o przyjęcie na zajęcia na miejscowym uniwersytecie, ale jeszcze się do mnie nie odezwali, więc na razie przesiadywałam w kuchni i próbowałam ćwiczyć pisanie arabskich liter.

Jasnowłosy policjant za oknem skutecznie mnie rozpraszał. Ciągłe śmiał się i żartował z kolegami. „Przynoś jej kwiaty”, wyobrażałam sobie, że tak właśnie mówią. „Nie oszukuj!”.

Podczas gdy ja śniłam na jawie, dzieci bawiły się moim laptopem. Naciskały raz za razem A, a potem klawisz delete.

– Jeśli jesteś w stanie pisać – orzekła madame – to znak, że masz czyste sumienie.

Przez chwilę patrzyłyśmy, jak dzieci naciskają klawisz E.

Jasne włosy lśniły w słońcu niczym świeża kurkuma.

Dounia aż za dobrze radziła sobie z używaniem klawisza delete – wykasowała całą moją pracę, więc madame wyciągnęła z szafy pasek *baby*.

– Przytrzymaj ją, Nisrine.

Abudi, Lema i ja siedzieliśmy w kuchni, nasłuchując. Już po wszystkim Dounia zamknęła się w sypialni i nie chciała wyjść.

Zatrzymałam się przed drzwiami, pełna wahania.

– Wszystko w porządku, Bea – powiedziała Nisrine. – Potrzebujesz czegoś? Możesz wejść.

Kiedy zapukałyśmy, żeby zabrać moją walizkę, Dounia śpiewała.

\*\*\*

Pomimo problemów z klawiszem delete życie w mieszkaniu madame było ekscytujące. W czwartki *babę* odwiedzali przyjaciele i całymi godzinami przesiadywali w salonie, rozmawiając przy otwartych oknach o rządzie. W salonie znajdowały się niskie, bogato zdobione krzesła, umieszczone pod ścianami, oraz niewielkie rzeźbione stoliki, na których można było postawić szklanki z sokiem. Ponieważ krzesła znajdowały się wyłącznie pod ścianami, mężczyźni siedzieli daleko od siebie. Pomieszczenie było sporych rozmiarów, podłogę wyścielał gruby dywan, więc musieli mówić głośno, by się nawzajem słyszeć.

Kiedy mężczyźni siedzieli w salonie, reszcie domowników nie wolno było tam wchodzić. Od czasu do czasu *baba* otwierał drzwi i szedł do kuchni, żeby prosić madame o coś do jedzenia czy picia. Madame posyłała z jedzeniem Nisrine, a kiedy ta wracała, natychmiast zasypywałyśmy ją gradem pytań o mężczyzn. Ilu ich jest? Jak wyglądają? Abudi, jako jedyny chłopiec, mógł siedzieć z mężczyznami. *Baba* kładł swoją wielką dłoń na jego ramieniu i kazał mu siadać na kolanach któregoś z wujków. Zaciskał palce, żeby

syn się nie wiercił. Abudi miał delikatne ramiona, zupełnie jak dziewczyna.

W pewien czwartek najlepszy przyjaciel *baby*, Amo Nasir, zjawił się razem z żoną, Moni. Dzięki temu my też mogłyśmy usiąść w salonie i przysłuchiwać się, jak *baba* i Amo Nasir udzielają przez telefon wywiadu dla telewizji.

Amo Nasir miał długi język i zęby jak gęsie jaja, a w całym kraju był znany jako ktoś w rodzaju tutejszego Nelsona Mandeli, ponieważ spędził tyle lat w więzieniu. Jego buty stały na podłodze obok krzesła, nie zostawił ich przy drzwiach jak my wszyscy. W jednej ręce ścisnął telefon, w drugiej pilota od telewizora, kiedy udzielał wywiadu, wystukując bosą stopą rytm, a my chłonęliśmy każde jego słowo.

– Nie możemy nawet sypiać z własnymi żonami, żeby rząd o tym nie wiedział – powiedział Amo Nasir przez telefon i w telewizorze.

Jego żona, Moni, szturchnęła madame łokciem.

– Oj, a kto powiedział, że pozwalałam mu ze sobą sypiać?

Wtedy po raz pierwszy zorientowałam się w związkach *baby* z polityką. Siedziałam spokojnie z resztą kobiet, pogryzając chipsy, które przyniosła nam Nisrine, dopóki madame nie mrugnęła na nas. Wtedy wszystkie wstałyśmy jednocześnie – madame, Moni, Nisrine i ja – i niczym światło pomknęłyśmy korytarzem do sypialni, gdzie madame zaczęła nam pokazywać swoje koszulki nocne i peniuary.

Wyjmowała je po kolei, sztuka za sztuką, i rozkładała na przedramieniu, starannie wygładzając. Metki były po angielsku. Różowe litery krzyczały: „Sexy! Gorący towar!”.

– Podejź, Beo – powiedziała madame. – Czyż to nie śliczne?

Bielizna była zwiewna, biała.

– Popatrz, Beo. A to dostałam od mojego *baby* i mojej *mamy*.

Ta koszulka była przezroczysta i czarna.

Przesunęłam w palcach jedwabną tkaninę, dotknęłam koronek. Czy kiedyś sama będę nosić takie rzeczy? Madame tymczasem podała koszulkę Nisrine, żeby pottrzymała ją na wysokości piersi, bo materiał nie powinien dotykać podłogi. Nisrine była niższa ode mnie i madame, więc koszulka, która nam sięgała ud, jej spływała aż do kolan. Nisrine stanęła przy oknie, koszulka wyglądała w tym świetle naprawdę przepięknie.

Madame tymczasem podeszła do komody, którą z nią dzieliłam, wysunęła swoją szufladę i wyjęła z niej pudełko jadalnej bielizny.

– Beo, co tu jest napisane?

„Smak czekolady z truskawkami”, głosiły napisy po angielsku. „Jadalna bielizna. Wszystkie elementy nadające się do spożycia”.

– *Mama*, gdzie to kupiłaś?

Ale madame chciała przede wszystkim wiedzieć, czy na pudełku z bielizną jest data przydatności do spożycia. Nie było. A tymczasem madame wciąż dopytywała, co jeszcze jest napisane na pudełku.

„Im dłużej ją liziesz, tym lepiej smakuje!”, krzyczały napisy.

Madame westchnęła.

– Nakupowałam tyle bielizny i w ogóle jej nie używam, odkąd zaczęły się te niepokoje – rzuciła, a potem odebrała mi pudełko, bo właśnie wszedł Abudi.

– Co to? – zapytał.

– Nic – odparła madame. – Gdzie *baba*? Myślałam, że jesteś z nim. Ale może raczej to ty, Nisrine, powinnaś opiekować się Abudim.

Madame ostrożnie schowała pudełko do szuflady między swetry, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy jadalna bielizna nie stopi się w tym upale.

Kiedy goście mieli już wracać do domu, Moni nie chciała wsiąść do samochodu, dopóki mąż nie uruchomi silnika, z obawy, że ktoś podłożył bombę. Żartowała nawet z mężem, że po jego wywiadzie dla telewizji rząd mógłby chcieć się go pozbyć. Obie z Nisrine obserwowałyśmy z balkonu, jak twardo stoi na krawężniku.

W końcu Nisrine szturchnęła mnie łokciem.

– Wszystko w porządku, Bea, możesz się śmiać. Ona tylko żartuje.

– Ha, ha – mruknęłam, wciąż jednak miałam wątpliwości. Nie nawykłam do żartów o podkładaniu bomb w samochodach.

Latarnie po drugiej stronie ulicy już świeciły. Policjanci pełnili wartę na dachu komisariatu nawet nocą.

Nisrine podążyła za moim wzrokiem.

– Oni ci się podobają, Bea?

Tak było, ale nagle się zawstydziałam.

– Wszystko w porządku, tutaj to nic złego.

– A tobie?

Zanim Nisrine zdążyła odpowiedzieć, na balkon wyszła Dounia. Nisrine wzięła ją na rękę, a potem wszystkie trzy wychyliłyśmy się przez balustradę i zapatrzyłyśmy na miasto nocą.

Nisrine opowiedziała nam legendę o dziewczynie, która upuściła z nieba wrzeciono i musiała po nie zejść. Linia horyzontu wyznaczała mapę jej wędrówki. Kiedy zeszła na ziemię, okazało się, że wrzeciono spadło na kolana mężczyźnie. Więc już z nim została. Dlatego horyzont to linia, a nie okrąg.

– Dlaczego nie wróciła do domu? – zapytała Dounia.

– Nie wiem. Na pewno chciała.

– Nie czuła się samotna?

Nisrine zamyśliła się na moment.

– Nie wiem, zapytaj Bei.

Jak dotąd nie czułam się w tym mieście samotna, ale nie miałam pojęcia, jak można się przed tym uchronić. A chciałam to wiedzieć. Pomyślałam o bohaterce legendy i jej mężczyźnie.

– Może znalazła kogoś bliskiego.

Nisrine popatrzyła na mnie dziwnie, aż zaczęłam się zastanawiać, czy i ona kogoś sobie nie znalazła. Albo przynajmniej o tym nie myślała. Dopiero co przecież

rozmawialiśmy o mężczyznach.

W Indonezji zostawiła męża.

– Myślę, że musiała w sobie rozwinąć wielkie serce – orzekła Nisrine. – Na tyle duże, by zmieściły się w nim i jej dom, i to nowe miejsce, w którym zamieszkała.

– A jak to się robi? – zapytała Dounia.

– Nie wiem, sama ciągle się tego uczę. A ty, Bea, wiesz?

Ja też nie miałam pojęcia.

Wychyliłam się mocniej przez balustradę, rozmyślając o swoim sercu. I o sercu Nisrine.

Wszystkie trzy wpatrywałyśmy się w światła meczetu, świecące niczym dalekie reflektory latarni morskiej.

Nisrine zrobiła minę i rzuciła do Dounii:

– Jestem strasznie głodna, zaraz cię schrupię. – Dziewczynka wybuchnęła śmiechem, a Nisrine wskazała na dół. – Patrzcie.

Na ulicy pod nami Amo Nasir właśnie głośno się zaśmiewał, otwierając drzwiczki przed *babą*. Potem obaj mężczyźni wykonali rundkę dookoła przecznicy, roześmiani, z zębami połyskującymi bielą w mroku niczym płatki jaśminu. Udowodnili żonom, że są najzupełniej bezpieczni, nie ma żadnej bomby.

\*\*\*

Po odjeździe Amo Nasira i jego żony madame włączyła gaz, a wtedy wszyscy rzuciliśmy się grzać wodę i kąpać, zanim pani domu znów wyłączy go na noc.

Pomogłam madame rozwiesić na grzejniku białe chusty, od najmniejszej do największej, żeby były pod ręką po skończonej kąpieli. Obwiązywałyśmy nimi głowy, dzięki czemu włosy schły nam prosto. Jednak taka chusta na głowie oznaczała, że włosy nie są jeszcze suche, a ty nie możesz wyjść na balkon. Była to jedna z tych zasad, które wydawały mi się dziwne, a mimo to ich przestrzegałam, podobnie jak Nisrine i Lema. W domu madame takie zasady stanowiły rzecz naturalną. Więc i ja próbowałam traktować je jak coś najzupełniej oczywistego.

– Zawsze tak sobie żartują na temat bomb w samochodzie? – zapytałam madame.

– Oczywiście, Beo. A ciebie to nie rozśmieszyło? Ha, ha!

Poszłam za Nisrine do sypialni, gdzie obie przebrałyśmy się w piżamy. Musiałyśmy to zrobić czym prędzej, zanim dzieci skończą myć zęby. Nisrine najpierw zdjęła jedną chustę, potem drugą i rozłożyła obie na swojej macie w rogu. Potem wzięła szczotkę z komody dzieci, żeby rozczesać swoje długie włosy.

– Ciii, nie mów nikomu – rzuciła do mnie.

Miała gęste, proste włosy; naelektryzowane materiałem hidżabu, aż unosiły się za szczotką. Nisrine pośliniła dłoń, żeby je przygładzić.

– Muszę je szczotkować co wieczór – wyjaśniła. – Pod chustą głowa mi się poci, a włosy przetłuszczają.

Rzadko widywałam ją bez chusty, bo był to element jej służbowego stroju. Nie

zdejmowała jej nawet na noc, a jeśli akurat spała bez niej, zakrywała się kołdrą aż po sam czubek głowy, żeby było jej ciepłej. Czasami, kiedy Dounia miała koszmary, biegła do Nisrine – rano znajdowałam je skulone razem na macie.

Obserwowałam każdy ruch jej ręki. Miała takie piękne włosy. Odstające, nieposłuszne kosmyki przywodziły mi na myśl dopływy atramentowej rzeki. Ja też poślinałam dłoń, żeby pomóc je przygładzić, ale nadal poruszały się przy najmniejszym ruchu Nisrine.

Sama nigdy nie szczotkowałam włosów – gdybym to zrobiła, zamieniłyby się w nieokielznaną szopę loków.

Nisrine marzyła o własnym domu i dlatego tak bardzo kochała ten. Często opowiadała, co by w nim zmieniła, gdyby należał do niej, a co by zatrzymała. Na pewno zostawiłaby światło wpadające przez okna. I oprawiony w złotą ramkę obrazek ze starannie wykaligrafowanym słowem „Allah”. Za to bez wątpienia zmieniłaby zamki, bo jeśli nie liczyć łazienki, wszystkie pomieszczenia w domu madame zamykały się wyłącznie od zewnątrz, a poza tym kazałaby zrobić tylne wejście.

– W mojej ojczyźnie kuchenne drzwi są bardzo ważne – wyjaśniła mi. To nimi wchodzili przyjaciele domu, drzwi frontowe były przeznaczone na oficjalne okazje i formalne wizyty, a w niektórych domach w ogóle ich nie otwierano, bo były wyłącznie na pokaz. – Gdybym miała taki dom jak ten, ludzie nie wiedzieliby, co zrobić – dodała.

W jej rodzinnym mieście osoby bliskie korzystały wyłącznie z kuchennego wejścia, by pokazać swoją zażyłość z gospodarzami.

Drzwi świadczące o bliskości. Podobał mi się ten pomysł.

Zaczynałam dostrzegać, jakie to dla madame ważne – czuć tę bliskość. Jak dotąd rzadko wychodziliśmy na zewnątrz, ale przecież mieliśmy siebie nawzajem.

Mój rodzinny dom był stary i pełen echa. Czasami biegałam schodami w górę i w dół albo krążyłam bez końca długimi korytarzami, żeby odszukać mamę. Pomyślałam o znajomych z rodzinnych stron czy ze studiów: w jaki sposób okazywaliście sobie bliskość? Za pomocą rozmów telefonicznych?

Popatrzyłam na Nisrine, zastanawiając się, jak dwie kobiety mogą zademonstrować pod dachem madame, że są sobie bliskie.

– Nie guzdraj się, Bea. Musimy się pospieszyć.

– Naprawdę?

– Za chwilę wrócą dzieci.

Przestałam rozmyślać o drzwiach i rodzinnym domu, a potem obie z Nisrine odwróciłyśmy się od siebie, żeby się przebrać w tym ciasnym pokoju, zachowując przynajmniej pozory prywatności. Zmięta koszulka, chwycone w pośpiechu spodnie od piżamy, a za oknem ostatnie wezwanie muezina do modlitwy. I ten pośpiech, by zdążyć przed powrotem dzieci, bo one nigdy nie pukały, tylko od razu wpadały do środka.

\*\*\*

Jak już wspomniałam, przyjechałam do tego kraju, żeby się uczyć. Dlatego



któregoś popołudnia madame przekręciła klucz w zamku drzwi wejściowych i pozwoliła mi iść do Biblioteki Narodowej, żebym mogła się rozejrzeć.

Przed wielkim betonowym budynkiem biblioteki stał pomnik prezydenta, wokół aż się roilo od strażników i betonowych donic z roślinami. Minęłam niewielką alejkę, gdzie wedle słów madame rosły kiedyś cytrynowe drzewka. Teraz pełno tu było sklepów z używanymi częściami samochodowymi i otoczonych rojami much stoisk z napojami, przy których mężczyźni zatrzymywali się po coś do picia.

Śmiało weszłam do środka i wyciągnęłam swoją studencką legitymację.

Siedząca za ladą bibliotekarka nie zwróciła na mnie uwagi, więc jeszcze raz machnęłam legitymacją.

– Tak?

– Przyjechałam tu na stypendium – wyjaśniłam.

W bibliotece nie było żadnych komputerów, jedynie katalogi kartkowe, a studenci i badacze nie mieli bezpośredniego dostępu do książek. Bibliotekarka wręczyła mi rewers, na którym miałam podać swoje imię i nazwisko, cel wizyty w bibliotece i tytuły książek, których będę potrzebowała. Wpisałam tam tytuł tekstu, z powodu którego w ogóle tu przyjechałam. Bibliotekarka wzięła ode mnie torebkę i zaprowadziła mnie do niewielkiego otwartego pomieszczenia między regałami, otoczonego drewnianymi żaluzjami niczym klatka. Tam miałam czekać na zamówioną książkę.

W pomieszczeniu siedziało pięciu uczonych o długich brodach. Żaden z nich nie miał książek, żaden też zdawał się nie dostrzegać mojej obecności.

Usiadłam przy pustym stole. Ze swojego miejsca widziałam moją torebkę wiszącą na haczyku za bibliotekarką.

Mężczyźni zabijali czas oczekiwania, recytując poezję i wersety Koranu. Dłonie trzymali uniesione wewnątrz do góry, skierowane ku Bogu, tak jak robiły to dzieci madame, kiedy o coś prosiły.

Po godzinie czekania podeszłam do wyjścia z drewnianej klatki i pomachałam do bibliotekarki.

Nie zwróciła na mnie uwagi.

– Przepraszam? – Mój głos odbił się echem wśród pustych półek.

– Tak?

– Czekam na książkę. Czy jest już dostępna?

Bibliotekarka odparła, że zawoła mnie, gdy tylko książka zostanie dostarczona.

Usiadłam więc z powrotem przy stole.

A potem czekałam i czekałam.

Kiedy przyszła pora zamknięcia biblioteki, bibliotekarka otworzyła drzwi pomieszczenia, żeby nas wypuścić. Ani ja, ani żaden z mężczyzn nie dostaliśmy zamówionych pozycji. Podeszłam do kobiety, żeby jeszcze raz zapytać o moją książkę.

– Proszę przyjść jutro – odparła. – Znajdziemy ją dla pani.

– Czekałam cały dzień. Miałam nadzieję, że dostanę ją jeszcze dzisiaj.

Bibliotekarka wyglądała na poirytowaną.

– Wszystko, co dobre, wymaga cierpliwości. Nie nauczyli pani tego, kiedy uczyli panią czytać?

\*\*\*

Pomimo braku książek, opowiadania dziwnych żartów czy, jak to ujęła Nisrine, poczucia samotności najbardziej zapamiętałam z tamtego okresu, jak piękne były to dni.

Rankami słońce wpadające przez kuchenne okna załamywało się w szklankach mleka, jakby chciało je roztrzaskać. Nisrine gotowała mleko, starannie zbierała kożuchy z jego powierzchni, a potem wsypywała do każdego kubka łyżeczkę miło. Dzieciaki oczywiście domagały się więcej, ale na to nigdy nie było już czasu, bo musiały się spieszyć, żeby zdążyć do szkoły. Zwykle obie z Nisrine chciałyśmy czesać Dounię, ale Nisrine na ogół była szybsza. Zbierała włosy dziewczynki i rozczesywała je zwilżonym grzebieniem, a potem z podekscytowaniem zabierała się do ich pospiesznego zaplatania w warkocz. Mnie pozostawało tylko przyklęknąć przed Dounią i zawiązać jej sznurowadła.

Kąpiel w domu madame zawsze była przygodą, a odbywała się raz na tydzień. *Baba*, jako głowa rodziny, kąpał się pierwszy, choć to on zwykle był najbrudniejszy. Madame zawsze kazała Nisrine szorować po nim wannę, żeby reszta rodziny mogła się umyć, od najmłodszych do najstarszych, bo najmłodsze dzieci kładły się spać pierwsze. Potem siedziałyśmy z głowami obwiązаныmi chustkami i rozmawiałyśmy. Tylko madame miała prawo zdjąć nam te chustki. Co jakiś czas wsuwała zimny palec pod chustkę, żeby dotknąć moich włosów, a potem mówiła: „Jeszcze nie”.

Miałam dwadzieścia jeden lat i płaciłam jej czynsz, a jednak nadal musiałam bawić się w salonie z dziećmi przy rozgrzanym grzejniku, włączonym nawet w ciepłe dni, żebyśmy tylko się nie przeziębili.

Nisrine miała zbyt dużo włosów. Były proste i piękne, ale też bardzo gęste.

Była służącą, więc kąpała się na samym końcu. Ostatnio zmitrężyła na to zbyt wiele czasu i zużyła za dużo ciepłej wody na mycie włosów, dlatego madame kazała mi je obciąć. Przyniosła nożyczki i chwyciła niedbale dwie garście włosów Nisrine, nie przejmując się tym, by wyszło równo.

Nie chciałam tego robić.

– Chyba nie jestem w tym zbyt dobra – próbowałam się wymawiać.

Ale madame nie słuchała. Bacznie obserwowała otwarte drzwi łazienki, pilnując, by Dounia nie nachlapała zbyt dużo podczas kąpieli.

Wszyscy przywykliśmy już do wypełniania poleceń madame bez protestów, tak samo jak do tego, że stawaliśmy kolejno przed nią, a ona zawiązywała białe jak śnieg chusty na naszych świeżo umytych włosach.

Popatrzyłam na Nisrine, żeby sprawdzić, czy to przypadkiem nie wygląpy.

– W porządku, w takim razie bierzemy się do roboty – zażartowałam. – Ostatecznie jesteśmy w salonie fryzjerskim, więc kto następny? Ciach, ciach.

Nisrine siedziała niemal bez ruchu. Odgarnęła tylko dłonią jakiś zabłąkany kosmyk, a potem opuściła rękę.

– Niech pani sama to zrobi, *mama* – powiedziałam do madame. – Ja naprawdę nie

potrafię.

Madame bez słowa wręczyła mi dwie garście włosów Nistrine. Ich ciężar mnie zaskoczył.

– Nistrine, mogę?

Od chwili mojego przyjazdu tutaj Nistrine była dla mnie przewodniczką, powierniczką. Z każdym dniem stawałyśmy się sobie coraz bliższe.

Siedziała jeszcze chwilę bez słowa, po czym wreszcie odchrząknęła i powiedziała:

– Proszę.

– No, dalej, Beo – rzuciła madame. – Ktoś musi to zrobić.

Ujęłam więc obie garście włosów, jedna po drugiej, i ucięłam je tuż przy karku, tak jak kazała mi madame.

Gdy było po wszystkim, Nistrine poszła do łazienki, a kiedy się z niej wyłoniła, na głowie miała chustę. Nawet na mnie nie spojrzała. Obie z madame pozbierały ścięte włosy i wyrzuciły je przez balkon. Pasma poszybowały niczym dym przez pogrążony w ciemnościach ogród i zaplątały się w gałęzie krzewów.

– Wszystko w porządku, Beo – powiedziała madame. – Zabiorę ją do fryzjera, kiedy będę szła z dziewczynkami.

Następnego ranka sama posłałam łóżko i pozmywałam naczynia, ale wszyscy czuli się z tego powodu niezręcznie. Nistrine zdjęła pościel z mojego łóżka i zabrała się do jego ponownego ślania.

– Ja to zrobię, Bea. Ty nie umiesz.

– W porządku – odparłam. – Nie ma sprawy.

W tym momencie weszła madame.

– Już dobrze, Beo, Nistrine się tym zajmie. A ty nie miałaś przypadkiem się uczyć?

– W porządku, nie ma sprawy.

Jako dziecko Nistrine zawsze nosiła krótkie włosy. Opowiadała mi, że rodzice ciągle je ścinali, przekonani, że dzięki temu włosy odrosną znacznie mocniejsze. Ale to było w dzieciństwie.

– No właśnie – wtrąciła Nistrine. – Nie miałaś się uczyć, Bea? Nie umiesz ślać łóżek, więc zostaw to mnie.

\*\*\*

W domu madame o pewnych rzeczach można było rozmawiać, a innych tematów zwyczajnie się nie poruszało.

Madame ciągle wypytywała o moją mamę. Chciała wiedzieć, w jaki sposób mama została weterynarzem, dlaczego nie mam żadnego rodzeństwa, co lubię jeść.

Mama dzwoniła z Ameryki raz na dwa tygodnie, a wtedy madame zawsze ją zapraszała i zapraszała też mnie, choć przecież ja już tu byłam.

– Pozdrów ode mnie mamę, Beo. Nie bądź niewdzięczna. Przekaż pozdrowienia! I ucałuj ją od nas. Zaproś z wizytą. Powiedz, że nasze drzwi zawsze są dla niej otwarte, będzie naszym gościem. Ty nie jesteś gościem, ty jesteś jak rodzina. Naprawdę jesteś dla

nas rodziną. Wcale nie przypominasz Amerykanki, nosisz długie stroje i mówisz po naszymu. Beo, kiedy wyjdiesz za mąż? Chciałabym zobaczyć twoje dzieci. Po skończeniu studiów wcale nie musisz stąd wyjeżdżać, zamiast tego sprowadź mamę tutaj. Powitam ją serdecznie. Tak tu nudno bez ciebie, *Masha Allah*. Człowiek przyjmuje kogoś pod swój dach, przyzwyczajają się do niego, zdąży nawet pokochać, a potem ten ktoś wyjeżdża.

Kiedy to ja dzwoniłam do Stanów, madame zawsze kazała przekazywać pozdrowienia mojej mamie i moim nienarodzonym jeszcze dzieciom, a w momentach wyjątkowej życzliwości dla świata dodawała:

– W porządku, ojcu też przekaż pozdrowienia, nie mam nic przeciwko, jeśli tobie to nie przeszkadza.

Kiedy dzwoniła mama, przekazywałam pozdrowienia od niej madame i jej dzieciom, a w momentach wyjątkowej życzliwości dla świata także Nisrine. Ale *babie* już nie. Podczas tych telefonicznych rozmów w ogóle nie mówiłyśmy o mężach. Madame nie wspominała o zdrowiu mojego ojca i nie dopytywała o moje studia. Gdyby zapytała, powiedziałabym jej, że ojciec mieszka w Nowym Jorku, a ja widuję go w każde wakacje.

Lubiłam język arabski za jego precyzję. To, że słowa wyrastały z trzyliterowych rdzeni niczym młode pędy na wiosnę. W arabskim istnieje rdzeń słowa „miłość”, z którego można stworzyć wyrazy „przyjaźń” i „tęsknota”. Rdzeń „wiedzy”, z którego mogą powstać słowa „rozwój” i „czułość”.

W szufladzie komody, którą opróżniła dla mnie madame, między książkami a bielizną, trzymałam całe spisy książek, które pragnęłam przeczytać, i listy miejsc w mieście, które chciałabym zwiedzić: biblijną ulicę Proszą, osławiony Zamek Rycerzy, Bibliotekę Narodową, pełną tekstów, których nie można było znaleźć nigdzie indziej.

Kiedy postanowiłam tu przyjechać, koordynator zagranicznych programów stypendialnych uprzedzał mnie, że może mi być trudno. Nie prowadziliśmy oficjalnej wymiany studenckiej z żadną z tutejszych uczelni, więc byłabym w tym kraju sama. Musiałabym na własną rękę znaleźć sobie nauczyciela arabskiego i przeprowadzić zupełnie niezależny projekt badawczy. Jeśli moja praca się spodoba, po powrocie na macierzystą uczelnię otrzymam odpowiednie zaliczenie.

Ale ja nie przejmowałam się trudnościami. Myślałam raczej o tym, że z arabskiego rdzenia oznaczającego „wspólnotę” można stworzyć słowa „uniwersytet” i „piątkowa modlitwa”.

Mama jednak bardzo się o mnie martwiła.

„Nie wolałabyś pojechać na jakąś oficjalną wymianę?”, dopytywała. Na oficjalną wymianę wyjechałabym razem z grupą studentów, mielibyśmy zorganizowane zajęcia. Ale to państwo nie było tak dobrze znane, a jego rząd nie dogadywał się z naszym, więc nie oferował żadnych programów międzynarodowej wymiany studentów. A ja chciałam przyjechać właśnie tutaj. Marzyłam o tym, by wtopić się w społeczeństwo tego kraju, zamieszkać z rodziną mówiącą po arabsku. Poza tym był jeszcze jeden powód.

Moi amerykańscy wykładowcy arabskiego ciągle opowiadali o pewnym tekście,

który był tak niezwykły, że każdego poruszał do łez. To jest właśnie sprawdzian dla języka – poznałeś go dobrze, jeśli potrafi cię wzruszyć. Któregoś dnia, kiedy będę już studiować wystarczająco długo, zamierzałam wybrać się do Biblioteki Narodowej i przeczytać ten arabski tekst, a potem, wzruszona, zalać się łzami. Właśnie dlatego tu przyjechałam.

\*\*\*

W domu madame ciągle rozmawialiśmy o pięknie. Wieczorami Lema włączała telewizor, a potem dopytywała, który piosenkarz mi się podoba.

– Bea, podoba ci się ten? – Mężczyzna był tłusty i paskudny. – A ten?

Żadnej z nas nie podobali się piosenkarze występujący w telewizji, brzydki i grubi, więc Lema zainteresowała się policjantami z komisariatu, których mogliśmy obserwować z okien naszego mieszkania.

– Bea, ten ci się podoba? – Wskazany mężczyzna nie przypadł mi do gustu, nie był tak wysoki jak tamten jasnowłosy. – A ten? – dopytywała Lema, by wreszcie z frustracją odwrócić się od okna. – Bei podoba się tylko ten blondyn, bo ma włosy tak jasne jak ona.

Lema miała włosy ciemne i tak kręcone jak moje, ale człowiek nigdy by się tego nie domyślił, bo przed wyjściem z domu zawsze je prostowała, chociaż i tak wkładała potem chustę. Miała czarne oczy, a jej skóra była ciemniejsza niż skóra madame czy moja, chociaż nie tak ciemna jak u jej brata. Istnieje arabskie określenie takiej cery, jaką miał Abudi – podobna karnacja nazywa się *sumr*, „ogorzała”, koloru wydm i suszonych liści tymianku, niemal tak ciemna jak skóra Nistrine.

*Baba*, który właśnie wrócił do domu, chciał wiedzieć, co robimy. Na nasze wyjaśnienia aż się roześmiał.

– Uważaj, Beo, ten blondyn jest już sławny. Wszyscy go tu znają.

Ja też chciałam wiedzieć to, co wszyscy.

– Ma na imię Adel. Ponoć to prawdziwy Qais. Jego ojciec sporo zapłacił, żeby zrobić z niego policjanta w naszym mieście.

– Widzicie? – odezwała się Lema. – Bea lubi blondynów i od razu trafia na łapówkarza.

Kiedy wypadała jej kolej, żeby wskazać najprzystojniejszego policjanta, zawsze wybierała któregoś z tych ciemnowłosych.

W podróż zabrałam ze sobą wyłącznie koszule z długimi rękawami i długie spodnie, z szacunku dla gospodarzy, ale w domu madame wszyscy, nawet Nistrine, nosili raczej obcisłe rzeczy. Teraz też madame otaksowała mnie wzrokiem, napięta materiał bluzki i podwinęła mi rękawy. Odgarnęła moje włosy do tyłu, a potem delikatnie ścisnęła moje wciąż nieprzekłute uszy.

– Beo, miałaś kiedykolwiek chłopca?

Najładniejsza ze wszystkich mieszkanek naszego domu była Nistrine. Miała wielkie brązowe oczy, a zanim nie obcięłam jej gęstych włosów, upięte w kok zawsze odcinały się wyraźnie pod chustą. Twarz miała okrągłą, idealnie gładką, a raz na jakiś czas niesforny kosmyk wymykał się jej spod okrycia głowy i znaczył czoło niczym zagięty

palec. Była piękna i zawsze tak drobnutko siekała natkę pietruszki.

Tamtego wieczora, kiedy obciąłam jej włosy, a potem bawiłyśmy się w wybieranie najprzystojniejszego policjanta, Nisrine robiła pranie. Później poszła do madame do kuchni na skargę.

– Jej majtki były brudne.

– Nauczy się, nauczy – mitygowała ją madame.

– Jest wystarczająco duża, żeby mieć więcej rozumu – upierała się Nisrine.

– Nauczy się – powtarzała madame. – Beo, kiedy korzystasz z toalety, używaj najpierw wody, a potem papieru, a nie samego papieru, bo to paskudne, rozumiesz?

– Wiem, przepraszam, Nisrine.

– Widzisz, Nisrine? Bea już wie i jest jej przykro. Nauczy się.

\*\*\*

– Nie przebierajcie się przy oknie – upominała nas madame, ruchem głowy wskazując komisariat. – Oni widzą, co się u nas dzieje. I nie otwierajcie drzwi nieznanym. Nigdy nie wiadomo, kto za nimi stoi. Brat prezydenta otworzył drzwi i tak stał się męczennikiem. – Drzwi wejściowe nie miały klamki, używało się jedynie klucza. Madame zamykała je na klucz od zewnątrz, kiedy wychodziła z domu. Tym sposobem pod jej nieobecność i tak nie moglibyśmy otworzyć nikomu obcemu. – I przebierajcie się, tylko gdy jesteście same. Jeśli będziecie chciały się przebrać, powiedzcie nam, a wyjdziemy. Chcecie to zrobić teraz? – Madame wypchnęła Abudiego z sypialni i wyszła za nim, żebyśmy mogły się z Nisrine przebrać przy zaciągniętych żaluzjach, bo obie byłyśmy cudzoziemkami.

Po ich wyjściu Nisrine otworzyła okno.

Mieszkanie madame znajdowało się w centrum, ale zdawałam sobie sprawę, że Nisrine nigdy tak naprawdę nie widziała miasta, ponieważ podobnie jak ja i madame rzadko wychodziła. Znałyśmy jedynie ten skrawek widoczny z naszego balkonu. I świeży ser, który *baba* przynosił z targu.

Na komodzie obok lustra stał dezodorant. Nisrine rozpyliła go w powietrzu, a potem obróciła się w chmurze zapachu, jakby to były perfumy. Wirowała i wirowała, aż wreszcie po dłuższej chwili zapytała:

– Proszę, Bea, chcesz użyć dezodorantu?

– Chętnie.

Spryskała i mnie, a potem obie wirowałyśmy w chmurze zapachu.

I tak zaskoczyła nas Dounia, która nagle otworzyła drzwi. W pokoju pachniało wilgotną terakotą i dezodorantem. Dounia już chciała zamknąć drzwi, ale wtedy Nisrine spryskała także ją. Dounia weszła do środka i zaczęła się z nami kręcić.

Mieszkałyśmy naprzeciwko komisariatu, więc znajdowałyśmy się pod ciągłą obserwacją znudzonych policjantów. Któregoś razu weszłam razem z Abudim na nasz płaski dach, żeby sprawdzić zbiornik z wodą, bo madame podejrzewała, że sąsiedzi ją podkradają. Stamtąd widzieliśmy wszystko dookoła i tak jak policjanci znajdowaliśmy się w samym centrum, w naszych kapciach i spodniach od piżamy, dokładnie tak jak ci młodzi, znudzeni chłopcy w przekrzywionych czapkach. Byliśmy sercem tego miasta,

żywym i pulsującym. Rozglądaliśmy się po świecie, obserwowaliśmy foliowe reklamówki na chodnikach, poruszane powiewami wiatru, zupełnie jakby oddychały. Spoglądaliśmy na dachy, usiane brudnymi od pyłu antenami satelitarnymi wśród plątaniny kabli telefonicznych. Nigdzie nie było żadnych ptaków.

„Ma na imię Adel. Ponoć to prawdziwy Qais. Jego ojciec sporo zapłacił, żeby zrobić z niego policjanta w naszym mieście”. Tak powiedział *baba*.

Nie wiedziałam jeszcze nic o Adelu, ale wiedziałam już, kim był Qais. Młodzieniec z osławionego plemienia Beduinów. Historia jego miłości była powtarzana w tym kraju od pokoleń, znana tu równie dobrze jak historia Romea i Julii w całym anglojęzycznym świecie. Qais zakochał się w pięknej Leili. Pisał dla niej wiersze i śpiewał przed jej namiotem. Był tak zakochany i mówił o swoim uczuciu tak otwarcie, że jego pobratymcy nie mówili już na niego Qais, ale Oszalały z miłości do Leili. W czasach Qaisa poezja miłosna była zakazana jako zagrożenie dla moralności. Kiedy ojciec Leili dowiedział się o wierszach Qaisa, oddał ją za żonę mężczyźnie z bardzo daleka, a Qais został wygnany na pustynię. Przez resztę życia wędrował po pustkowiu i pisał wiersze dla Leili, a tęsknił za nią tak bardzo, że przestał nawet używać swojego imienia. Reagował tylko wtedy, kiedy ktoś nazwał go Oszalałym z miłości do Leili. Żył pod imieniem swojej ukochanej.

Zawsze lubiłam tę opowieść ze względu na jej romantyzm i tę niezwykłą grę imion. Qais utracił ciało ukochanej, ale zyskał jej imię. Nigdy nie przeżyłam podobnej historii miłosnej, ale jako cudzoziemka doskonale rozumiałam, jak to jest czuć się obco we własnym ciele, patrzeć w lustro i marzyć o tym, by móc należeć do kogoś innego. Czasami ja też o tym marzyłam.

Teraz wszystkie trzy wirowaliśmy razem w naszej sypialni. W pewnym momencie Nisrine położyła dłoń na biodrze Dounii, a potem drugą na moim. Ręce miała chłodne, jak cebule albo zielone płytki. Już dobrze, zdawała się mówić jej dłoń, choć przecież jeszcze się nie pogodziłyśmy.

– Bardzo mi przykro, Nisrine.

– Wiem.

Ma na imię Adel.

Jeden z moich wykładowców arabskiego w Stanach też nosił to imię. W jego przypadku wywodziło się ono od rdzenia *ayn-del-lem*, czyli „zrównoważony”, „sprawiedliwy”. Dla Amerykanów wymowa tego imienia jest naprawdę trudna, a to ze względu na literę *ayn*: przy jej artykulacji trzeba poczuć skurcz mięśni zwieraczy gardła. Ale mój arabski wykładowca w Ameryce zawsze mówił, że wymawiam jego imię prawidłowo.

W domu madame zawsze robiło się to, co kazała pani domu. Nisrine nie chciała, żebym obcięła jej włosy, ale pozwoliła mi to zrobić, bo czuła, że zwyczajnie nie ma wyboru.

A ja nie chciałam tego robić, a jednak zrobiłam.

Ściany pokoju zdawały się to oddalać, to przybliżać, Dounia zlewała się z Nisrine, ja zlewałam się z Dounią...

– Nisrine, jesteś taka piękna!

– Ja? Chyba w twoich oczach.

I to by się zgadzało, jeśli chodzi o subiektywną naturę piękna. Zupełnie jak w przypadku imienia Adel, takie stwierdzenie kryło w sobie element sprawiedliwości. Bo tak naprawdę Nisrine chciała mi powiedzieć: „Jestem piękna, bo ty mnie taką widzisz. Gdyby nie twoje oczy, wcale nie byłabym taka śliczna”.

Adel. Zawsze podobało mi się to imię.



## STRAŻ GRANICZNA

*Baba* miał rację, wszyscy znali Adela. Teraz, po tak długim czasie, trudno mi przypomnieć sobie okres, gdy był dla mnie kompletnie obcym człowiekiem. Ale kiedy w kolejnych tygodniach wypytywałam o niego *babę*, dzieci czy choćby kobiety w ogrodzie, za każdym razem słyszałam tę samą historię. A czego nie usłyszałam od nich wtedy, mogłam sobie wyobrazić teraz dzięki dokumentom Adela, które miałam przed sobą.

\*\*\*

Zanim Adel został policjantem, służył w wojsku. W tym kraju obowiązywała dwuletnia służba wojskowa dla mężczyzn, ale Adel wcale nie czuł się przymuszony do jej odbycia, zgłosił się na ochotnika. Chciał zostać lotnikiem – był młody, przystojny i miał idealistyczne wyobrażenie o służbie w wojsku.

A tymczasem trafił do straży granicznej. W sąsiednim kraju toczyła się wojna, granice ciągle szturmowali uchodźcy. Tłoczyli się w długich kolejkach do punktów granicznych. Nieśli ze sobą własne jedzenie, chleb, a wszystkie niewykończone mieszkania w tym mieście były pospiesznie remontowane, ponieważ uchodźcy potrzebowali dachu nad głową. Miejscowi skarżyli się na rosnące ceny, ale sami nigdy nie mieli dość pieniędzy. Najwięcej narzekali młodzi mężczyźni, przyjaciele Adela, którzy marzyli o kupnie własnego lokum i o ożenku. Tyle że wszystkie mieszkania były już zajęte przez uchodźców.

Adel mieszkał w tym kraju, bo jego ojciec pochodził stąd, ale matka, choć też Arabka, była cudzoziemką. Pochodziła z ościennego kraju i po trzydziestu latach mieszkania tutaj nadal mówiła z akcentem, który mimowolnie przekazała synowi. Dorastający Adel bardzo starał się pozbyć tego sposobu wymowy. Uczniowie w szkole, a potem kolejne kobiety żartowali sobie nawet z niego z tego powodu. Tymczasem on wcale nie czuł się cudzoziemcem, był jak najbardziej stąd. We własnej głowie doskonale słyszał, jak brzmi ktoś taki. Ciągle jednak nie potrafił pozbyć się gardłowych samogłosek matki i krągłych „g”, zwłaszcza w chwilach podekscytowania czy po alkoholu.

Podejrzewam, że dla Amerykanina to jak wychowywać się na Północy z odziedziczonym po którymś z rodziców akcentem z Południa.

\*\*\*

Na granicy Adel razem z innymi strażnikami sprawdzał dokumenty uchodźców napływających z sąsiedniego kraju. Jakiś mężczyzna wysiadł z auta i oparł dłoń na swoim dobytku, a potem skinął na żonę i dzieci, żeby przybliżyli twarze do okien, bo Adel musiał ich policzyć.

– Dzieci ile? – zapytał Adel i uświadomił sobie, jak dziwnie to zabrzmiało. Powinien zapytać: „Ile dzieci?”.

– Pięć – odparł mężczyzna i to też zabrzmiało obco.

Adel rozejrzał się wokół, żeby sprawdzić, czy inni strażnicy to zauważyli.

Tak jak jego ojciec, był przecież stąd.

– Pięcioro – powiedział, ale jego głos zabrzmiał tak jak głos tego człowieka.

Czuł słońce palące go w plecy.

– *Allah Khalik* – poprosił mężczyzna po swojemu.

– Jedźcie – rzucił Adel. A ponieważ słowo to nie zawierało zdradliwego „g” ani żadnej z pełnych samogłosek, powtórzył: – Jedźcie, jedźcie – zamiast dodać „Bóg z wami”.

W punkcie granicznym stał zardzewiały barak z pierwszej wojny światowej, o którego ściany nikt nigdy się nie opierał, bo rozpalona słońcem blacha wręcz parzyła. W baraku sypiali strażnicy. Pozbawione okien pomieszczenie było długie i wąskie. Przez całą jego długość biegło dobrych pięćdziesiąt pryz. Adel sypiał na samym końcu. Barak nie był dość szeroki, by ustawić posłania inaczej, więc łóżka ciągnęły się jedno za drugim wzdłuż ściany, z wąskim przejściem po prawej stronie. I tylko wpadające tu nocą powietrze przynosiło trochę ochłody.

Szybko zaprzyjaźnił się z pozostałymi strażnikami. Wieczorami po służbie oblegali sklep wolnocłowy, pełen zagranicznych towarów. Kiedy wchodzili, sprzedawca natychmiast wyciągał gumę Trident, żeby ich poczęstować. Prawo uniemożliwiało strażnikom granicznym kupowanie tu czegokolwiek.

Adel z przyjaciółmi krążyli po pustym sklepie, by wreszcie dotrzeć do działu z papierosami. Matka Adela lubiła gauloise’y. Adel otworzył lśniące kartonowe pudełko, wyjął jedną paczkę i pomacał kieszeń służbowej kurtki, w której trzymał pieniądze. Wstąpili jeszcze do działu z perfumami, zanim wreszcie zatrzymali się przy kasie.

Ekspedient nie chciał im niczego sprzedać.

– To niezgodne z prawem.

– To on stanowi prawo – zaczęli przekonywać przyjaciele Adela, jeden przez drugiego.

– Przejdzie przez granicę i zaraz wróci, ha, ha.

– Nie wolno mi sprzedawać każdemu.

Adel, strażnik graniczny, żuł darmową gumę Trident. W domu matka lubiła używać nowinek z Europy.

Położył na kontuarze dwa banknoty.

– Nie przyjmuję miejscowych pieniędzy, wyłącznie dolary albo euro.

– To dla mojej matki.

– Może jeszcze gumy? – wzbraniał się sprzedawca. – Proszę wziąć paczkę dla dzieci. I jeszcze jedną, dla mamy.

– Jestem uczciwym człowiekiem – powiedział Adel, po czym wyszedł, a koledzy ruszyli za nim.

Po raz pierwszy zrobił coś takiego. Na ladzie zostały jego pieniądze i paczka gumy.

W dłoni ścisnął papierosy dla matki.

Nocami strażnicy leżeli na ustawionych w rzędzie pryczach i rozmawiali.

– Adel kocha cudzoziemców – powiedział jeden z kolegów.

– To prawda, Adel? Kochasz cudzoziemców?

– Wcale ich nie gocham.

– A właśnie że tak. Powiedz „kocham”.

– Gocham.

– Przyłożę ci za każdym razem, kiedy powiesz coś z obcym akcentem. Może wtedy się nauczysz.

– Nie kocham ich.

– No i w porządku. Widzicie, wcale ich nie kocha.

Ale mówił tak jak oni.

– Wiecie, kim jest mój ojciec?

Ojciec Adela pochodził stąd, więc i sam Adel był stąd. Ale mówił tak jak tamci.

Adel wytrzymał w straży dwa miesiące. Miał dołeczki w policzkach, które od razu wzbudzały zaufanie, i głos, którego wszyscy chcieli słuchać. Nie był wysoki, ale chodził wyprostowany, zdecydowanym krokiem.

Dawniej lubił patrzeć na pustynię i myśleć o tym, co się za nią znajduje. A potem wysłali go na granicę.

Teraz mówił szybko, opryskliwie i wstydził się własnego uśmiechu. Nawet uchodźcy mu nie ufali.

Zadzwoił do rodziców.

– Jak to, Adelu? – zdumiała się matka. – Nie przypadłeś im do gustu?

– Ależ są mną zachwyceni. Uważają mnie za uchodźcę.

– O co chodzi, Adelu?

(Teraz dostrzegam, w którym momencie pojawia się poezja i prawdziwy Qais).

Matka była tak daleko, oddzielała ich cała pustynia, więc Adel szukał jakiejś nici porozumienia.

– Mamo, stoisz teraz przy oknie? Możesz popatrzeć w niebo? Widzisz je?

– Adelu, jeśli jesteś nieszczęśliwy, możesz mi o tym powiedzieć.

Adel cmoknął do słuchawki.

– Udało się? – zapytał. – Spróbuję jeszcze raz. Cmok, cmok. Całusy dotarły?

– Chcesz, żebym porozmawiała z twoim ojcem? – zapytała matka.

– Spróbuję jeszcze raz. Słyszałaś? Cmok, cmok w prawy policzek. Cmok, cmok w lewy. I w czoło, mamo, słyszałaś?

Dzielił ich cały kraj, ale nad ich głowami rozciągało się to samo niebo.

– Porozmawiam z ojcem – powiedziała matka.

– Jeśli to słyszałaś, to znaczy, że dotarły – odparł Adel.

Dwa miesiące później ojciec Adela, który miał kontakty w sferach rządowych, zapłacił dwadzieścia osiem tysięcy lyr, dzięki czemu Adel został przeniesiony do policji w stolicy, gdzie miał odsłużyć pozostały mu czas. Tutaj nie było już mowy o blaszanych barakach, które rozgrzewały się w upalnym słońcu. Żadnych obchodów, jeśli nie liczyć wypadów po papierosy czy inne sprawunki. Po pierwszym dyżurze na komisariacie Adel wrócił na noc do domu rodziców i jeszcze bardziej niż zwykle zachwyił się kuchnią matki.

– *Taburni hayati* – powiedziała matka. Tego arabskiego zwrotu używała wyłącznie w chwilach wyjątkowej czułości wobec syna. – *Taburni hayati* – powtórzyła, całując go w oba policzki. Znaczyło to: „Kocham cię, jesteś sensem mojego istnienia. Kocham cię i mam nadzieję, że kiedy przyjdzie mój czas, to ty mnie pochowasz”.

\*\*\*

Podczas warty na dachu komisariatu Adel znów chodził tak jak w czterech ścianach rodzinnego domu. Pewnym krokiem, jakby wszyscy go lubili. Spoglądał na zakurzone ulice i niewielki ogród. Policjanci pilnowali spokoju w mieście, a on sprawował pieczę nad tym jego skrawkiem.

Bezpośrednio nad ogrodem znajdował się nasz balkon. I nasze okna. Kiedy Adel spoglądał ze swojego posterunku w dół, widział Dounię bawiącą się w kuchni. Może obserwował pilnie, czy przypadkiem nie dotknęła rozgrzanej kuchenki albo nie uderzyła się w głowę. Widział też mnie – siedzącą z książką przy stole, a odrobinę dalej, za moimi plecami, Nisrine siekającą natkę pietruszki. Natka znaczyła jej palce zielenią, zupełnie niczym wiosna.

Uśmiechał się do nas przez okno, więc chyba lubił swoją pracę. Wszystko, co poniżej, znajdowało się w jego pieczy, a jego służba miała szczególne znaczenie. Zupełnie jakby to wszystko należało do niego tylko dlatego, że patrzył na to z dachu. Jakby nas też musiał pilnować, opiekować się nami.

## NAUKA

W domu madame ciągle sprzątałyśmy, bo wciąż zbierał się w nim kurz. Pył nawiewany z pustyni i pobliskich kopalni soli, pokrywający ulice miasta, wszechobecny nawet zimą, w największy ziąb. Na wiosnę gorące, mroczne wiatry, szarpiące koronami drzew rosnących wzdłuż szerokich ulic, podrywały ten pył z powrotem w górę. Te rozpalone wiatry potrafiły przyprawić człowieka o ból głowy i zabobonny lęk. Nawiewały dość piasku, by wystarczyło go miastu na resztę roku. Pył pokrywał twoje buty, a jeśli nie miałeś skarpetek, wciskał się między palce u stóp, brudził kostki. Dlatego właśnie w domu nosiło się inne obuwie niż na zewnątrz, po powrocie zmieniano się dzinsy na dresy, a spodnie zostawiało się przy drzwiach, żeby wszędzie nie nabrudzić.

Madame wręczyła mi kawałek pumeksu ze słowami:

– Idźcie wyszorować stopy.

Poszłam z dziećmi na balkon, gdzie trzymałam wąż z wodą, a potem każde z nas starało się umyć nogi za pomocą pumeksu i mydła. Szorowaliśmy i szorowaliśmy, ale pył nie chciał zejść. Dołączyła do nas Nisrine i próbowała nam pomóc, ale nawet jej nie udało się zmyć całego ulicznego kurzu.

Dlatego madame wyrzuciła moje japonki. Zresztą i tak były w złym guście, a nogi strasznie się w nich brudziły. No i lepiej, żebym nie jeździła autobusem, bo tam też jest pełno pyłu. A najlepiej, gdybym w ogóle nie wychodziła z domu, o ile nie jest to absolutnie konieczne, bo na zewnątrz tak się kurzy.

W lutym zaczęły się manifestacje. Władze państwa już od jakiegoś czasu okupowały tereny sąsiedniego kraju, a teraz jego obywatele zaczęli urządzać protesty. Domagali się wolności i demokracji. W odpowiedzi rząd zaczął organizować wiece poparcia dla prezydenta. Wiedzieliśmy, że do nich dojdzie, ponieważ wszyscy dostaliśmy na swoje komórki esemesa o następującej treści:

„Zatroskany Obywatelu.

Okaż swoje poparcie dla państwa, przyjdź na wiec.

10 rano, plac Męczennika.

Szkoły i urzędy zostaną otwarte dopiero po południu”.

Oglądaliśmy te manifestacje z okien, wszyscy chcieli mieć jak najlepszy widok. Słysząc było muzykę, werble. Dounia otworzyła okno i o mało nie uderzyła przy tym Abudiego, który natychmiast się rozplakał, chociaż miał dziewięć lat i był już dużym chłopcem. A potem Dounia sama o mało nie wybuchnęła płaczem, tak bardzo była podekscytowana manifestacjami.

Na chodnikach tłoczyli się mężczyźni, z niesionych przez nich radiomagnetofonów rozbrzmiewały wersety Koranu. Dalej szły kobiety w odświętnych strojach, z torebkami zarzuconymi na ramiona. Maszerowały ręka w rękę w skromnych chustkach i butach na płaskim obcasie przez kilka minut, zanim wymknęły się z tłumu, by skoczyć na zakupy.

Wszystkie sklepy były otwarte, policja nie zablokowała ulicy, manifestanci musieli więc lawirować między samochodami, na moment opuszczając flagi. Autobusy kierowano w tę stronę, by dowiozły ludzi na miejsce. Udział w tych manifestacjach okazał się obowiązkowy, nie można było pokazać się na balkonie, bo to oznaczałoby, że opuściłeś porządkowy wiec.

Dzieci madame chciały iść na manifestację, tak jak ich koledzy ze szkoły. W tłumie od razu dało się rozpoznać uczniów – po ich niebiesko-różowych jak guma do żucia koszulkach, wystających spod szarych mundurków.

Ja też miałam ochotę tam być. Podobnie jak dzieci czułam podekscytowanie, kiedy kołysałam się w rytm werbli.

*Baba* nie obserwował manifestacji, tylko modlił się w salonie. Jego cichy śpiew mieszał się z hasłami skandowanymi przez manifestantów: Boże wszechwiedzący, W imię boże.

Nikt z nas nie zszedł na dół, żeby wziąć udział w manifestacjach, za to wszyscy obserwowaliśmy je z okien na górze i śledziliśmy w telewizji.

*Baba* zakończył modły i usiadł na kanapie między Lemą a mną. Mruknął przy tym z zadowoleniem, niczym gruchający gołąb.

– Jak gruchają angielskie gołębie, Beo?

Weszła madame, z westchnieniem opadła na krzesło i uśmiechnęła się do nas.

– Fuj, Beatrice. Nie nauczyli cię tam, w Ameryce, żeby nie pokładać się na kanapach z obcymi mężczyznami?

– Ta dziewczyna to moja córka.

– Nieprawda.

– Ale kocham ją, jakby nią była. W porządku, Lema-Baba, to na czym skończyliście?

*Baba* zaczął opowiadać o rewolucji, a madame nuciła cicho pod nosem.

– Sytuacja jest naprawdę skomplikowana – tłumaczył. – Widzieliście wszystkie te manifestacje? To znak, że rząd jest zaniepokojony. A kiedy rząd jest zaniepokojony, nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Kiedy policjanci przychodzą mnie zabrać, wychodzę z wyciągniętymi przed siebie rękami. Wręczam im mój paszport. Proszę bardzo, możecie mnie zabrać.

To było bardzo odważne z jego strony. W Ameryce nigdy nie słyszałam, żeby policja zabrała kogoś z moich znajomych na przesłuchanie. Mój ojciec czy ojcowie moich przyjaciółek nigdy nie mówili o aresztowaniach jako o czymś tak zwyczajnym, żeby potem udawać gruchające gołębie, podczas gdy ich żony cały czas nuciły cichutko.

Siedziałam na kanapie i chłonełam to podekscytowanie rewolucją, rozgrywającą się w niewielkich gestach o wielkim znaczeniu. Przeprowadzaną przez ludzi łamiących mało ważne zakazy, na przykład woźących swoim autem Amo Nasira – Nelsona Mandelę tego kraju. Ludzi trafiających do więzienia za drobne przewinienia, za zbytnią szczerość.

W tym kraju nie istniało coś takiego jak sprawdzanie przez sąd zasadności aresztowania. Tutaj, jeśli władze zdecydowały, że stanowisz zagrożenie, mogłeś trafić do więzienia na całe lata bez żadnego procesu, nie mając pojęcia dlaczego. *Babę* już raz coś takiego spotkało. Dlatego trzeba było mieć naprawdę wiele odwagi, by mówić w tym państwie otwarcie, co się myśli.

Ruch oporu nie składał się wyłącznie z młodych chłopców, tylko głównie z dojrzałych mężczyzn. Starszych mężczyzn, którzy palili papierosy w samochodach i nabierali rozsądku, pozostawiając żonom i dzieciom martwienie się o pieniądze, pracę i jedzenie dla nich. Takich, którzy mieli dzieci i żony podobne do Moni, żony Amo Nasira, i do madame. I którzy nigdy tak naprawdę nie byli wielkimi zwolennikami rewolucji, po prostu ostatecznie przestali się przed nią wzbraniać.

Ostatnio *baba* i jego przyjaciele zaczęli opracowywać nowy plan, sfrustrowani poczynaniami władz, które często groziły opozycjonistom i okupowały terytorium sąsiedniego państwa. Rząd ograniczał swobodę wypowiedzi, ale *baba* wraz z kolegami zabrali się do spisywania wszystkich swoich frustracji w odważnej proklamacji, domagając się zniesienia cenzury i przeprowadzenia wolnych wyborów. Zamierzali wydrukować ten dokument, a potem każdy z nich będzie musiał sam podjąć decyzję, czy go podpisać.

To postawiło *babę* przed trudnym dylematem. Wierzył w sens proklamacji i chciał ją podpisać, ale martwił się też o żonę i dzieci. Ci mężczyźni spisywali jedynie swoje przemyślenia, nie chwytali za broń, nie spiskowali w celu obalenia rządu. Jednak w tym kraju nawet pismo mogło okazać się niebezpieczne.

Wieczorem słyszałam, jak *baba* rozmawia o tym z żoną.

– Nie podpisuj, Hassanie – przekonywała madame. – Co pocniemy bez ciebie?

– Nie mogę zachowywać się jak tchórz.

– To prawda, ale pomyśl o dzieciach. Co się z nami stanie, kiedy ciebie zabraknie?

A teraz siedząca na kanapie Lema powiedziała:

– Chcę mieć blisko wszystkich, których kocham.

– Tak nie wygląda prawdziwa miłość – zauważył *baba*. – Popatrz na Amerykanów. Kochają, a jednak mówią: Jedź. Jedź, dokąd tylko zechcesz. Będę do ciebie dzwonić i zawsze cię kochać, ale pozwalam ci odejść.

– Amerykanie nie kochają tak jak my.

– Ależ tak, Lema-Baba, tak. Wolałabyś, żebyśmy zamknął cię w szafie, żeby pokazać ci, jak bardzo cię kocham? Twój problem polega na tym, że jesteś jeszcze bardzo młoda. Popatrz na Beę, jak często płacze, że tęskni za mamą i Ameryką. Albo taka Nisrine. W jej wieku też bym płakał. Ale sam, gdybym jutro miał opuścić dom, wcale bym nie płakał. Może nawet bym do ciebie nie zadzwonił.

– Dlaczego nie?

– Bo jestem już dorosły. Nie kieruję się emocjami, tylko rozumem.

Krótko mieszkałam w tym domu, ale wiedziałam, że to nie ja czy Nisrine płaczemy w nim najczęściej, tylko właśnie Lema. Po prostu była nastolatką i przechodziła taki etap

w życiu.

Za każdym razem, kiedy zbierało mi się na płacz, myślałam o tym niesamowitym tekście czekającym na mnie w Bibliotece Narodowej. Tekście opowiadającym historię Qaisa i Leili, którą można było znaleźć także w innych książkach. Ale moi wykładowcy zawsze powtarzali, że sama fabuła nie ma znaczenia, bo to słowom tekst zawdzięcza swoje wyjątkowe piękno. Wyobrażałam sobie, jak te niezwykle słowa rozwijają się jedno za drugim na moich oczach. I jak płaczę nad pięknem każdego z nich.

Tutaj, kiedy się kogoś kochało, nazywało się go swoim imieniem.

Siedzący na kanapie *baba* połaskotał córkę pod brodą.

– Zależy mi na tym, Lema-Baba, byś nigdy nie stała się jedynie numerem. W tym kraju nie ma stu introligatorów, jest dziewięćdziesięciu dziewięciu i Hassan, rozumiesz?

Ojciec Lemy dodawał do jej imienia określenie, którym go nazywano – *baba* – a był to dowód, że kocha ją równie mocno jak samego siebie. Stanowiła częśćkę niego, tak jak jego imię.

\*\*\*

Kiedy przyszła pora pójścia spać, zadzwonił telefon. *Baba* odebrał, a potem przez chwilę słuchał w milczeniu rozmówcy, zanim wyszedł do sypialni. Słyszałyśmy go przez ścianę:

– Zabrali Nasira?

Nie dosłyszałyśmy odpowiedzi.

– Pójdę jutro do jego żony – powiedziała madame.

*Baba* wrócił do salonu. Zamiast piżamy miał na sobie normalne ubranie.

– Nisrine, idź nalać wody do butelek – rzuciła madame.

Razem z Lemą i Nisrine zabrałyśmy się do napełniania butelek, zanim woda zostanie odcięta na noc.

*Baba* zdążył już włożyć buty, gotów do wyjścia. Nisrine nalała mu wody z butelki, którą właśnie napełniłyśmy. Potem ucałował każdą z nas i wyszedł w mrok. W powietrzu unosił się ostry zapach dymu z piecyków ogrzewających domy w zimne dni. Rozświetlone blaskiem księżyca niebo miało barwę szarego betonu.

Przez chwilę siedzieliśmy jeszcze razem i czekaliśmy, ale *baba* nie wracał. W końcu madame zamknęła drzwi na klucz i położyła dzieci do łóżek. Nisrine nalała do filiżanki mleka, które Dounia zawsze piła przed snem, ale tym razem dziewczynka go nie chciała. Chwyciła za to waleczek tłuszczu w talii Nisrine i zaczęła go ssać jak pierś.

– Cycuś.

– Dounia, skarbie – powiedziała Nisrine, a potem zaczęła karmić dziewczynkę łyżeczką. – Jeden łyżeczek, złotko, jedno cmoknięcie. Jeden łyżeczek, jedno cmoknięcie.

W tym momencie weszła madame.

– Nisrine, niepotrzebnie tak ją psujesz.

Zaniosłyśmy Dounię do łóżka. Nisrine chwyciła ją za rączki, a ja za nóżki, żeby po drodze pohuścić ją dla zabawy.



Abudi leżał już w łóżku, w pokoju pachniało snem.

– Cycuś.

Było późno, więc z ulicy nie dobiegały żadne odgłosy. Przez chwilę nasłuchiwałyśmy auta, jednak na próżno.

Nisrine właściwie wybaczyła mi już tamtą sprawę z włosami, ale czasem pojawiał się między nami jakiś dystans.

Chciałam ją zapytać, czy martwi się o *babę*.

Otuliła Dounię, a kiedy dziewczynka ciągle nie chciała zasnąć, zaczęła jej opowiadać bajkę o dziewczynie, która przemieniła się w ptaka. Ale Dounia знаła już tę historię.

– Opowiedz mi coś innego.

– Coś innego? – Nisrine zamyśliła się na moment, a potem powiedziała: – Kiedy byłam mała, w Indonezji też działy się takie rzeczy. Też mieliśmy bomby w samochodach i demonstracje na ulicach. Któregoś dnia obudziłam się, a drzwi naszego domu były spalone.

– I co zrobiliście?

– Mój tata to bardzo mądry człowiek. Tak jak *baba* jest intelektualistą. Wszedł z domu i kupił mamie kwiaty. Zabronił mi mówić jej cokolwiek, bo to miała być niespodzianka. Kiedy wrócił, mama spała. Zakradł się z kwiatami przez te spalone drzwi i włożył je do jej ślubnego wazonu na stole, a potem poszedł uciąć sobie drzemkę. Tyle że po przebudzeniu mama w ogóle ich nie zauważyła. Zajęła się przygotowywaniem kolacji w kuchni, potem czytała na schodach. Tata się obudził, a ona nadal nie widziała tych kwiatów. Zauważyła je dopiero, kiedy zabrała się do nakrywania do stołu. „O, kwiaty. Skąd się tu wzięły?”. Tata leżał w sypialni, ale to były jego kwiaty, więc nic nie mówiłam. A mama zapytała: „Nisrine, kto postawił tu te kwiaty?”, zupełnie jakby tata nigdy takich rzeczy nie robił. A potem poszła do sypialni. „Salem, na stole stoją jakieś kwiaty”. „Aha, wiem”, odparł tata. Bo już taki właśnie jest.

Wyobraziłam sobie ten wazon z kwiatami i małą Nisrine, tajną współpracowniczkę ojca.

Dounia nie zrozumiała.

– Ale po co kupił kwiaty?

– Żeby ofiarować nam coś, co mogłybyśmy kochać – wyjaśniła Nisrine. – Wiedział, że jeśli przyniesie nam kwiaty, mimo tych spalonych drzwi będziemy miały coś żywego. Coś, co rośnie. To ważne, żeby mieć coś takiego. W swoim wnętrzu też. Dlatego właśnie ciągle próbuję rozwinąć w sobie wielkie serce. – Nisrine roześmiała się lekko.

– To twoje serce nie jest jeszcze wystarczająco duże?

– Nie, nie chce rosnąć. Ale ciągle próbuję. Potrzebuję czegoś, w czym mogłoby zapaść korzenie.

– Ale czego?

– Rośliny. – Nisrine znów się zaśmiała. – Kwiatów mojego taty. Albo mężczyzny. Czegoś, o co można dbać.

– A co z Dounią? – zapytałam.

– Przecież o nią dbam, prawda, Douniu?

Dziewczynka już prawie spała. Nisrine pocałowała ją delikatnie.

A jej mąż?

To niezadane pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Ale Nisrine chyba umiała czytać w moich myślach, bo dodała:

– Wiesz, mój mąż ma dziwne stopy. Pamiętam, że kiedy wzięliśmy ślub, oboje siedzieliśmy na kolanach mojego ojca. Popatrzyłam w dół i zauważyłam, że stopy mojego męża wyginają się pod dziwnym kątem. I zapytałam: „Od zawsze masz takie stopy?”. Byłam tak zajęta wpatrywaniem się w jego twarz, że nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

– Ach, to zaślepienie miłością! – zażartowałam. Czasami tak właśnie mama tłumaczyła te wszystkie lata spędzone z moim ojcem.

Nisrine wzruszyła ramionami. Zakochała się w swoim mężu od pierwszego wejrzenia. Była służącą w domu, do którego on pewnego dnia dostarczył paczkę. Zobaczyła go stojącego w progu i już wiedziała, że ten mężczyzna jest jej przeznaczeniem, więc popatrzyła na niego, a on ją pokochał. Chociaż później pojawiły się problemy.

„Zakochałaś się w nim od pierwszego wejrzenia?”, zapytałam, kiedy po raz pierwszy opowiedziała mi tę historię. Nigdy nie poznałam nikogo, kto zakochałby się w ten sposób. Chociaż czytałam historie bohaterów, którym się to przytrafiało.

Popatrzyłam w stronę komisariatu.

Nisrine westchnęła.

– Tęsknię za miłością, Bea. Dobrze jest kochać, bo dzięki temu człowiek czuje, że do czegoś przynależy.

Nigdy nie byłam zakochana. Podobali mi się mężczyźni, ale ja im nie zawsze.

Siedziałam na brzegu łóżka i myślałam o tym wszystkim. O Nisrine, będącej tak daleko od męża, pracującej w domu człowieka związanego z rewolucją i walczącej o to, by jej serce nie obumarło. Pewnie bardzo tęskniła za domem, ale próbowała nie ulegać temu uczuciu, tylko bardziej angażować się w sprawy tutaj. Dzięki temu nie utraciłaby poczucia tożsamości z dala od rodzinnych stron. Tak jak ja pragnęła odczuwać wszystko jak najgłębiej.

– Nisrine, jak się pielęgnuje serce, by rosło?

– Nie wiem.

Tkwiliśmy w ciemnej sypialni, wsparte o wezglowie łóżka, i rozmyślałyśmy o naszych sercach, aż wreszcie Nisrine ujęła moją dłoń i przycisnęła ją do swojej piersi.

– Nie czuję go, a ty?

Szukałam jej serca, ale trudno było wyczuć jego bicie. Chociaż obie wiedziałyśmy, że przecież musi tam być.

– To dlatego, że w tym kraju stało się takie małe. Każdy dzień wygląda tu dokładnie tak samo.

– Myślisz, że kiedyś uda ci się znaleźć sposób, by urosło?

– Nie wiem, ale mam taką nadzieję. Muszę ją mieć, jeżeli chcę tu zostać.

Ja też na to liczyłam. Nisrine podpisała kontrakt, więc nie mogła tak po prostu odejść. Poza tym odkładała pieniądze, żeby posłać synka do szkoły, wybudować dom. Na przekór wszystkiemu wierzyłam więc, że obie znajdziemy powody, by tu zostać.

I wystarczająco pojemne serca.

\*\*\*

Rano okazało się, że *baby* wciąż nie ma. A my nagle poczuliśmy, że ściany domu na nas napierają. Zaczęło się od fałszywego okna w łazience. Łazienka była ślepa, ale zawiesiliśmy w niej zasłonkę, by zakryć zacieki na ścianie. Najpierw było to, a potem sufit i niskie futryny, aż w końcu wszyscy uśmiechaliśmy się kwaśno, tak jak robiła to Nisrine, kiedy była wściekła na madame, zupełnie jakby stanowiło to jakiś nasz prywatny, okrutny żart, który wcale nie był zabawny, ale z którego wszyscy i tak się zaśmiewaliśmy. Dopiero po śniadaniu śmiech stał się najzupełniej szczery, bo *baba* wreszcie wrócił.

\*\*\*

Rosnące serce. Rozpoczęłam poszukiwania sposobu na to, by rozwijać własne serce, żebym sama czuła więcej i coraz więcej rzeczy umiała kochać.

Najpierw szukałam tego w drobiazgach. Starłam się doceniać napój Milo, który piliśmy każdego ranka na śniadanie, bogaty smak czekolady i śmietanki.

Ale chociaż bardzo się starałam, późne powroty *baby* stały mi na drodze.

Kiedy mieszkało się w tym mieście, człowiek dowiadywał się tego i owego na temat dyktatury. Wszyscy wiedzieli, że jedyną gazetą jest ta rządowa, a jedyną firmą telekomunikacyjną ta państwowa, podobnie jak przewoźnik autokarowy i koncern paliwowy. Nawet szkołą językową zarządzało państwo. Nie wolno mi było krytykować prezydenta w rozmowach z sąsiadami, kierowcami autobusów czy telefonistami, bo oni wszyscy pracowali dla prezydenta, który był synem poprzedniego prezydenta.

Pod rządami dyktatury nie dało się powiedzieć zbyt wiele, więc na ogół panowało milczenie. I dlatego telewizor grał na okrągło. Twarz prezydenta znajdowała się we wszystkich witrynach sklepowych, na kominku w naszym domu i na każdym możliwym billboardzie. Czasami, kiedy szłam ulicą, policjanci mnie śledzili, bo byłam cudzoziemką, ale to nie miało znaczenia, bo niebezpieczne było jedynie mówienie, nie spacerowanie ulicami miasta, a dopóki milczałam, ten podążający za mną policjant zapewniał mi bezpieczeństwo. Mogłabym mijać grupki mężczyzn o trzeciej nad ranem, a i tak byłabym bezpieczna, bo on przez cały czas mnie pilnował. Dowiedziałam się też, że w tym kraju nie ma dostępu do Facebooka czy YouTube'a, a gdyby nawet takowy się pojawił (bo w ostatnich latach nawet tu rozpowszechniły się telefony komórkowe i Internet), to tylko dlatego, że rząd znalazł sposób na ich monitorowanie (tak jak monitorował mój Internet). Z tego powodu nie wolno mi było umieszczać na portalach społecznościowych prowokacyjnych postów na temat szalejącego tu kryzysu ekonomicznego. Poza tym wiedziałam już, że ściany mają uszy, podobnie jak sąsiedzi, a jako cudzoziemka byłam w ich oczach wyjątkowo podejrzana, więc muszę to nadrabiać, powtarzając ciągle, jak bardzo mi się tu podoba, a oni ciągle będą próbowali jakoś zaradzić tej mojej ułomności, swatając mnie ze swoimi synami, żebym mogła otrzymać obywatelstwo. Poza tym nigdy, przenigdy nie powinnam im mówić, że się boję, bo Amo Nasir udzielił wywiadu dla

telewizji i wylądował w więzieniu, ani tym bardziej wspominać o jakimś tajnym dokumencie czy nocnych telefonach. Wszystko to były drobiazgi, ale przecież czuliśmy, jak bardzo niebezpieczne. A *baba* wychodził z domu, nie mówiąc, dokąd idzie ani kiedy wróci.

– Bea musi się czymś zająć – orzekła któregoś razu madame. – Nie może znaleźć sobie miejsca, bo się nudzi.

A potem wręczyła mi kurczaki do oczyszczenia.

Stałam więc w kuchni i obierałam skórę z kurczaków, podczas gdy Lema przytrzymywała moją grzywkę, żeby nie wpadała mi w oczy.

– Bea chce się uczyć – powiedziała. – A z uniwersytetu ciągle nie dzwonią.

– Chcesz się uczyć, Beo? – zapytała madame. – Ja będę twoją nauczycielką. I tak ciągle cię poprawiam. Powinnaś mi za to płacić!

– Nie, dziękuję – odparłam. – Sama sobie znajdę korepetytora.

Ale madame mimo wszystko zadzwoniła do męża, żeby spytać go o radę.

– Przecież to bez sensu – orzekł *baba* przez telefon, a potem zażartował: – Podobno arabscy korepetytorzy mają mnóstwo dziewcząt.

– I co w tym złego?

– Dziewcząt w angielskim rozumieniu tego słowa, kochanie.

Obiecał jednak, że rozejrzy się za nauczycielem dla mnie.

Na razie madame wysłała mnie do Biblioteki Narodowej, żebym ponownie spróbowała dotrzeć do upragnionego tekstu.

– Tylko wracaj szybko – zastrzegła. – Jeśli zmitręzysz czas do popołudnia, mogę akurat spać. I kto ci wtedy otworzy drzwi?

Ruszyłam do biblioteki ulicami, które po demonstracjach były usłane papierami i zgubionymi butami.

W bibliotece natknęłam się na tę samą kobietę co poprzednio. Z myślą o rozwijaniu swojego serca przywitałam się bardzo grzecznie i wypisałam zamówienie na zdumiewający tekst, a następnie wyjęłam z torebki książkę, którą zamierzałam poczytać podczas oczekiwania.

– Żadnych książek z zewnątrz – zastrzegła bibliotekarka.

– Przecież to biblioteka, miejsce, w którym się czyta książki.

– Nie w poczekalni. – Chodziło jej o klatkę.

– Więc co mam robić w trakcie czekania?

– Może pani recytować książki.

W tym kraju dzieci uczyły się książek na pamięć. Maluchy w wieku Dounii potrafiły wyrecytować cały Koran.

Ale ja nie znałam żadnych książek na pamięć. Bibliotekarka nie kryła zdumienia.

– Żadnych? – Nie miała pojęcia, co z tym zrobić. – W takim razie proszę użyć wyobraźni – zasugerowała. – Przecież musi pani mieć wyobraźnię, skoro pani czyta.

Cały dzień czekałam w klatce, starając się używać wyobraźni. Pod koniec dnia bibliotekarka znów zjawiła się z pustymi rękami, żeby wypuścić mnie i uczonych.

Kiedy wróciłam do domu, madame była rozczarowana powtórą porażką.

– Flirtowałaś z nimi, Beo? Dałaś im jakiś prezent?

– Nie.

Madame pokręciła głową.

– A czego się spodziewałaś? Że udostępnią ci książkę za darmo?

Ciągle nie miałam żadnych wieści z uniwersytetu, w bibliotece też nic nie załatwiłam.

Zamiast tego madame posłała mnie do ogrodu razem z Dounią i Abudim. Z okna widzieliśmy, że jest tam prawie pusto – dlatego pozwoliła nam wyjść.

– Z nikim nie rozmawiajcie – przestrzegła nas z myślą o rewolucyjnych poczynaniach *baby*. Czekaliśmy na starą, skrzypiącą windę, która nie miała drzwi, tak że kiedy jechało się nią powoli, człowiek widział betonowe ściany każdego piętra. – Nikomu nie mówcie, gdzie mieszkamy, i wracajcie natychmiast, jeśli pojawi się za dużo dzieci.

W ogrodzie była jednak tylko jedna kobieta z małą córeczką. Dounia i Abudi rzucili się natychmiast w stronę huśtawek, starli pył z siedzisk i zaczęli się bujać.

Nieznajoma dziewczynka zajęła huśtawkę między nimi i rzuciła „cześć”. Dounia i Abudi natychmiast popatrzyli na mnie. Przecież mieliśmy z nikim nie rozmawiać. Huścili się całą trójką w milczeniu, tam i z powrotem, mocno wychyleni, podczas gdy ja uważnie obserwowałam całą scenę.

W końcu dziewczynka spróbowała ponownie:

– Jak masz na imię?

Abudi znów popatrzył na mnie, ale nic nie powiedziałam. Bez słowa wyjęłam książkę i zabrałam się do czytania.

– Jak on ma na imię? – Tym razem dziewczynka zwróciła się do mnie.

– Abudi – odparłam.

– Abudi – powiedziała dziewczynka.

Abudi znów na mnie zerknął.

Całą trójką kołysali się dalej.

– Ile masz lat? – nie poddawała się dziewczynka.

Dziewięcioletni Abudi był najstarszy z ich trójki.

– Twoja mama nosi chustę? – odezwała się wreszcie Dounia.

Dziewczynka przytaknęła, a potem dodała:

– Siedzi tam.

Żadne z nich nie popatrzyło we wskazanym kierunku, nadal huścili się twarzami do mnie. Zaczęłam bazgrać po arabsku na marginesie książki, udało mi się nawet narysować idealne B.

– Kto idzie pobawić się ze mną na zjeżdżalni? – rzuciła Dounia i całą trójką

pobiegli do zjeżdżalni. Zamiast jednak z niej zjeżdżać, zaczęli zbierać zużyte słomki.

Przestrzegłam ich, żeby nie wkładali śmieci do buzi, na co usłyszałam, że będą nimi tylko rysować. Na wszelki wypadek dodałam jednak, że słomki są brudne. Wszyscy troje posłusznie je rzucili, ale zaraz znów po nie sięgnęli, dlatego uprzedziłam, że jeśli dalej będą się tak bawić, zabiorę ich do domu. Miałam tylko nadzieję, że madame nie obserwuje nas z okna, bo przecież mieliśmy z nikim nie rozmawiać, chociaż Dounia i tak na pewno powie matce, że bawiliśmy się słomkami i rozmawialiśmy z małą dziewczynką. A potem usłyszałam za plecami męski głos:

– Nie baw się tym, *baba*, daj mi to.

Odwróciłam się.

To był Adel, jasnowłosy policjant.

Poczułam uderzenie gorąca w brzuchu, kolana zrobiły mi się miękkie.

Adel podszedł do piaskownicy i stanowczo odebrał dzieciom słomki, a potem okręcił się na pięcie i rzucił mi je na kolana.

– Tutaj nie pozwalamy dzieciom się nimi bawić – powiedział. – Są brudne.

Stał tuż obok ławki i patrzył na mnie. Wcześniej tylko raz znalazłam się tak blisko niego – kiedy razem z Nistrine wręczałyśmy mu jabłka. Skórzaną kurtkę miał rozpiętą, pod spodem widać było kamizelkę z mosiężnymi gwiazdami, a spod niej skrawek białego podkoszulka, takiego samego jak te, w których sypiał Abudi. Zza kołnierzyka wystawał samotny kosmyk jasnych włosów.

Adel przez chwilę wpatrywał się bez słowa w książkę, którą trzymałam na kolanach.

– Skąd jesteś? – zapytał. – Z Ameryki?

– Tak, z Ameryki.

Dzieci przycupnęły na skraju piaskownicy i przyglądały się nam uważnie z szeroko otwartymi buziami.

– Mam kuzyna w Wisconsin – dodał Adel. – Znasz Wisconsin?

Madame przykazała nam z nikim nie rozmawiać, więc starałam się tego nie robić, ale wszystko, co mówił, sprawiało, że miałam ochotę przytakiwać. Zupełnie jakby zaprosił mnie do kina albo na kawę w piątkowy wieczór...

– Tak, Wisconsin.

Ze względu na dzieci starałam się zachować powagę.

– Może nawet jesteście sąsiadami.

Nigdy w życiu nie byłam w Wisconsin.

– Może!

Policjant uśmiechnął się do mnie, a potem znów popatrzył na moją książkę. Miał dołeczki w policzkach, takie dwie gwiazdki.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Bea.

– Umiesz pisać po arabsku, Beo? Nigdy nie spotkałem Amerykanina, który by to potrafił.

Dzieci zaczęły się bawić piaskiem, ścisnęły go w piąstkach, a potem pozwalały, by przesypywał się im przez palce niczym drobny deszcz.

Adel usiadł obok mnie na ławce.

– Ja też piszę – wyznał. – Wiersze.

– Naprawdę?

Wtedy wziął ode mnie książkę i napisał na marginesie słowo.

– Tak właśnie piszę dla dziewczyny, którą kocham. Wiesz, co to znaczy?

Później miałam się dowiedzieć, co oznacza ten wyraz. W średniowieczu często używali go poeci, a wywodził się z rdzenia *ayn-sheen-qaf*, oznaczającego „najgłębsze uczucie”.

Ale wtedy jeszcze nie miałam o tym pojęcia.

– To znaczy „miłość poety” – wyjaśnił Adel.

Nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Miałam zajmować się dziećmi madame, a oto nagle siedzę na ławce i rozmawiam o miłości z jasnowłosym policjantem. Pomyślałam o Nistrine, w której mąż zakochał się od pierwszego wejrzenia. Próbowałam spojrzeć w okrągłą, jasną twarz Adela, ale jego wzrok zdawał się wypalać dziurę w mojej piersi. Zamiast tego popatrzyłam więc na słowo, które napisał. Pełne litery biegły miękko wzdłuż wydrukowanego tekstu. Tłoczyły się razem, jakby każda próbowała zamknąć pozostałe w miłosnym uścisku.

Ledwie o tym pomyślałam, a już nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy.

– Masz ładne pismo – powiedziałam.

– Naprawdę? Piękno jest w twoich oczach. Wiedziałaś, że arabski jest takim bogatym językiem i ma dziewięćdziesiąt dziewięć słów na określenie samej miłości?

Poczułam, że się czerwienię. Ale on chyba tego nie zauważył. Zapisał kolejne słowo na marginesie, a potem wyjął z kieszeni skrawek papieru z linijką wiersza.

– Umiesz to odczytać? – zapytał.

Ostrożnie wzięłam od niego kartkę.

„Mojemu kwiatu, pąkowi jaśminu”, brzmiał tekst. „Pokój niech będzie tej o włosach barwy zmięczy. Nawet krople jej potu pachną tak słodko”.

– Domyślasz się, dla kogo to? – dodał.

Coś zaczęło drapać mnie w gardle.

– Dla dziewczyny o ciemnych włosach?

Jestem blondynką...

Zanim Adel zdążył odpowiedzieć, usłyszeliśmy wołanie madame:

– Bea! Abudi!

Zauważyła dzieci bawiące się słómkami i mnie rozmawiającą z policjantem.

Wstałam.

– Muszę już iść.

Adel też podniósł się z miejsca.

– Miło cię było poznać, Beo. – Wyciągnął rękę. Nasze palce zetknęły się na moment, a zaraz potem biegnęliśmy już z dziećmi na drugą stronę ulicy.

Wracaliśmy windą na górę lekko oszołomieni. Łączyły nas dwa wielkie sekrety: lekkomyślna rozmowa z policjantem i ssanie używanych słómek.

– Bea, a wiesz, że kiedyś Dounia bała się sama jeździć windą? – odezwał się Abudi.  
– Była za mała, żeby sięgnąć do przycisków.

Wszyscy troje byliśmy wybrudzeni piaskiem, więc próbowałam trochę go otrzepać. Odwróciłam Dounię, żeby oczyścić jej plecy, a potem przeczesałam palcami swoje włosy. Przerzuciłam kartki książki i pomiędzy nich wypadł świstek papieru z wierszem policjanta.

– Co to takiego? – zainteresował się Abudi.

Podniosłam kartkę. W tym pośpiechu zapomniałam oddać ją Adelowi. Przesunęłam opuszką palca po literach.

„Tak właśnie piszę dla dziewczyny, którą kocham”.

– Nic takiego – odparłam. Już i tak byliśmy w tarapatkach. Sięgnęłam do kieszeni po drobne. – Proszę, Abudi. Kup sobie coś dobrego i nie mów mamie.

\*\*\*

Mój sekretny wiersz.

Trzymałam go w kieszeni przez cały dzień. Wtedy, gdy madame obrzuciła nas uważnym spojrzeniem i orzekła, że jesteśmy strasznie brudni. I kiedy posłusznie podwinęliśmy nogawki i rękawy, a potem przemknęliśmy ostrożnie przez wysprzątany dom na balkon, gdzie Nisrine pomogła nam się umyć.

Wieczorem, kiedy dzieci szykowały się do spania, wytarłam umyte przez Nisrine naczynia, a potem wyjęłam kartkę z kieszeni, wygładziłam ją na kolanie starannie, tak jak wcześniej zrobił to Adel, i wreszcie położyłam ją przed Nisrine.

– Co to takiego, Bea?

Pochyliłyśmy się nad kartką. Nisrine przesunęła opuszką palca po literach. Ja też wyciągnęłam dłoń. Było w tym wierszu coś, co sprawiało, że człowiek miał ochotę go dotknąć.

– Śliczne – powiedziała Nisrine. Papier był cienki, zwiewny jak mgiełka. Kiedy uniosłyśmy go do światła, zdawał się lśnić. – Piękne. – Byłam podobnego zdania. – To naprawdę wyjątkowe. Kto to napisał?

Za naszymi plecami rozległ się hałas i do kuchni weszła Lema. Nisrine akurat trzymała wiersz. Oddała mi go, a ja próbowałam czym prędzej ukryć go pod ścierką, ale było już za późno. Lema zauważyła kartkę.

– Beo, co tam masz?

Z niechęcią pokazałam jej mój sekret. W jednym rogu kartki widać było smugę rozmazanego tuszu, której dotknęłam teraz ostrożnie. Lema wsparła się o moje ramię i przeczytała wiersz na głos, podczas gdy ja i Nisrine słuchałyśmy uważnie.

– „Mojemu kwiatu, pąkowi jaśminu. Pokój niech będzie tej o włosach barwy zmierzchu”. Ładne – orzekła Lema. – Gdzie to znalazłaś?

Zawahałam się lekko.

– W ogrodzie.

– Popatrzcie na te idealne litery. Ten poeta to chyba prawdziwy Qais. – Innymi słowy, wiersz wydał się jej poruszający. – „Nawet krople jej potu pachną tak słodko” – przeczytała Lema, a potem podniosła wzrok. – Dziwne. Pot żadnej dziewczyny nie



pachnie słodko.

W domu madame wszystkie używałyśmy jednego dezodorantu, więc wszystkie pachniałyśmy tak samo: przez kilka pierwszych dni po kąpieli całkiem przyjemnie, potem coraz gorzej. Kiedy unosiłam ramiona przed lustrem, widziałam pod pachami słońce półksiężycy, dokładnie takie same, jakie pojawiały się na bluzkach od piżamy Nisrine i brudnych biustonoszach Lemy. To stąd wiedziałam, że dziewczynka dojrzeła. Kiedy nocą leżała obok mnie w łóżku, nie była już płaską linią. Zaokrągliła się, jej biodra odcinały się wyraźnie pod okryciem.

Po arabsku kobiecy pot to „arak”, słowo wywodzące się od rdzenia *ayn-rah-kaf*, oznaczającego „doświadczenie”. Identyczną nazwę nosi wyrabiany z daktyli alkohol o gorzkim smaku. Jest przejrzysty niczym pot, ale kiedy się go połknie, pali jak ogień.

*Baba* trzymał butelkę araku w szafie za świeżo oprawionymi książkami. Zimą częstował nim pracowników w warsztacie na rozgrzewkę, a ci popijali alkohol niewielkimi łyżkami jak herbatę – z porcelanowych czarek.

Mnie też dał go spróbować, tak dla żartu, a kiedy zaczęłam kaszleć, głośno się śmiał. Ciągle pamiętam tamto pieczenie, które przesywało mnie i pulsowało we mnie niczym ten wiersz, *arak, arak* – a może raczej chodziło o Adela – ciepło rozlewające się po moim ciele na podobieństwo słońca.

Lema przesunęła palcami po literach.

– Twoim zdaniem to o Nisrine? – zapytała.

Myślałam o araku, więc w pierwszej chwili nie zwróciłam uwagi na jej słowa.

– Słucham?

– „O włosach barwy zmierzchu” – podsunęła Lema. – Nisrine ma ciemne włosy.

Zerknęłam na Nisrine. Oczy jej błyszczały, kiedy bezwiednie dotknęła dłonią chusty, po czym natychmiast sobie przypomniała. A ja razem z nią. Chusta ciasno opinała jej głowę tam, gdzie kiedyś materiał wybrzuszał się na koku.

Przez moment milczałyśmy. Ja starałam się nie czuć żalu o to, że Nisrine ma ciemne włosy, a ona o to, że jej te włosy obcięłam.

Chwila minęła.

Lema oddała mi wiersz.

Wpatrywałam się w Nisrine, ale ona nie spojrzała mi w oczy. Jej roziskrzony wzrok powędrował w ślad za wierszem.

Niechętnie zamachałam jej kartką przed nosem.

– Chcesz go jeszcze raz przeczytać?

– Nie, możesz go zatrzymać.

Schowałam więc wiersz między kartki swojej książki.

Weszła madame i powiedziała, że pora kłaść się spać.

Kiedy umyłyśmy zęby, wśliznęłam się do łóżka, obok Lemy, i zatopiłam w rozmyślaniach.

– Beo, znasz się na mężczyznach? – zapytała Lema. Nie miałam w tej kwestii zbyt wielkiego doświadczenia. Zawsze wyobrażałam sobie jednak, że mój facet będzie

wiedział, kto to zarówno Jane Eyre, jak i Ibn Arabi. – Miałam kiedyś chłopaka – dodała.

– Naprawdę?

– Tak, był bardzo miły, kupił mi maskotkę, taką piłkę z naszytym serduszkim. Musiałam nakłamać mamie, skąd ją mam. Ale zerwał ze mną, kiedy się dowiedział, kim jest tata.

To znaczy kiedy się dowiedział, że jej ojciec działa w opozycji.

– Moim zdaniem twój tata jest bardzo odważny – powiedziałam.

– To prawda, jest – przytaknęła Lema i na moment zamilkła. Reflektory komisariatu rozświetlały nasze okna. – Chociaż czasem wolałabym nie mieć odważnego ojca. Tylko chłopaka.

\*\*\*

Ciągle myślałam o wierszu. Nosiłam go w kieszeni i zastanawiałam się, dla kogo był przeznaczony, ale nie miałam więcej okazji do rozmowy z jasnowłosym policjantem. Nie wpadłam też na żadne nowe pomysły, kim może być dziewczyna o włosach barwy zmierzchu.

Nadal nie wolno nam było z nikim rozmawiać. *Baba* był rewolucjonistą, a na ulicach wciąż dochodziło do rozruchów. Zachowanie milczenia przychodziło mi jednak z trudem. Wszyscy byli bardzo ciekawi Amerykanów, a ja nie chciałam wyjść na nieuprzejmą, zamieniłam więc w windzie parę słów z sąsiadką, która postanowiła wyswatać mnie ze swoim najstarszym synem.

– Gdzie mieszkasz? – zapytała.

Nacisnęłam guzik czwartego piętra i odparłam idealnym arabskim:

– U madame.

Godzinę później sąsiadka zapukała do naszych drzwi. Przyproceedziła ze sobą syna. Schowałam się w sypialni.

– Amerykanka?

Nawet Nisrine była zgorzozona.

– Bea, teściowe nie zapewnią ci miłości.

– Sio, idźcie sobie – usłyszałyśmy głos madame. – Ona wcale nie zamierza za ciebie wychodzić. Już was tu nie ma.

Potem nikomu nie wolno mi już było mówić, że mieszkam u madame.

– Ludzie są wścibscy. Nie muszą wiedzieć. Gdyby pytali, mów, że jesteś guwernantką.

– Guwernantką?

– Ale nie zostajesz na noc, wieczorem wychodzisz.

– Gdzie w takim razie mieszkam?

Madame rzuciła mi poirytowane spojrzenie.

– Na miłość boską, Beo, jesteś z Ameryki. Mów, że mieszkasz sama.

Oto lista rzeczy, których nie wolno mi było robić:  
Wychodzić do ogrodu w pojedynkę. Jeszcze wróciłabym jako mężatka.  
Prać swoich rzeczy. Raz pomieszałam białe z kolorami i pofarbowałam sweter na różowo.

Wracać późno.

Wchodzić w butach na dywan.

Wymawiać imienia Boga w toalecie.

Bawić się z dziećmi, kiedy powinny już położyć się spać.

Nosić chusty przeznaczonej tradycyjnie dla mężczyzn.

Pić z fioletowego kubka Abudiego.

\*\*\*

Kiedy po raz pierwszy zjawiłam się w tym mieście, było ono pełne kolorów. Zielone minarety meczetów, lśniące niczym rubiny nasiona granatów, które Nisrine dla mnie rozkrawała.

Miasto przypominało mi język arabski – ile słów bym się nie nauczyła, to wszystko były odcienie koloru, który widziałam.

Jednak potem oprócz kolorów zaczęłam dostrzegać też pył. Wbity pod moje paznokcie, szary czy w zgaszonej zieleni.

Zaczęłam czuć piach, który zgrzytał mi w zębach, kiedy rozgryzałam nasiona granatu.

W amerykańskim college'u nauczyłam się uważności i szacunku dla wiedzy. Umiałam już czytać dzieła literatury i wyszukiwać w nich temat przewodni. Zresztą zawsze byłam zdania, że jeden ze sposobów na zdobycie mądrości to czytanie książek.

Kiedy po raz pierwszy przekroczyłam próg mieszkania madame, sądziłam, że nie będę w nim spędzać zbyt wiele czasu w ciągu dnia. Zamierzałam zapisać się na uniwersytet i znaleźć sobie korepetytora, a potem wreszcie przeczytać niesamowity tekst.

Oczywiście teraz zaczynałam już rozumieć, że to, co wydawało mi się takie proste, będzie trudne do osiągnięcia. Nawet w przypadku obywateli tego kraju nic nie działało się tu szybko. Pomyślałam o amerykańskich znajomych, którzy teraz pewnie prowadzą na zajęciach głębokie dysputy.

A tymczasem ja mieszkalam u madame i starałam się wykraść drobne dowody niezależności: dodatkowy listek papieru toaletowego, łyk napoju z fioletowego kubka Abudiego, kiedy madame nie patrzyła.

Nisrine powiedziała: „Dobrze jest kochać, Bea, bo dzięki temu człowiek czuje, że do czegoś przynależy”.

A ja pragnęłam do czegoś przynależeć.

Ale ten wiersz na nowo stworzył między nami dystans.

Żeby wynagrodzić Nistrine obcięcie włosów, wysłałam na miasto i kupiłam dwie buteleczki perfum: jedną dla niej, drugą dla madame. Madame wzięła obie. Obie były tej samej wielkości.

– Nie martw się, Beo, znajdę coś, co będziesz mogła jej dać – powiedziała, a potem zaczęła szperać w swojej szafie w poszukiwaniu tańszego prezentu, który mogłabym podarować Nistrine.

Pod koniec miesiąca odbyła się grzecznościowa sprzeczka na temat opłaty za mieszkanie.

– Nie, nie, nie mogę tego przyjąć – wzbraniała się madame.

– Ależ musi pani.

– Jesteś dla nas jak rodzina.

– Musi pani, nalegam!

Chciałam zapłacić. Tutaj tylko płacąc madame, mogłam nadal czuć się wolna.

\*\*\*

Raz w miesiącu odbierałam w ambasadzie pieniądze. Zawsze musiałam wtedy przynieść z tamtejszego sklepu butelkę whisky dla *baby* i paczkę virginia slims dla madame. Ale pewnego dnia, zanim zdążyłam wręczyć *babie* whisky, madame mi ją zabrała i wcisnęła Nistrine, która od razu schowała butelkę. Wtedy zrozumiałam, że wszystko się zmieniło. Kolejny z przyjaciół *baby* został aresztowany i pobity. Teraz *baba* często dzwonił, żeby nie czekać na niego z kolacją.

Leżałyśmy w poprzek łóżka i rozmawiałyśmy.

– Nie sądzę, żeby Lema kiedykolwiek wyszła za mąż – orzekła Nistrine. – Mężowie są tacy przygnębiający.

Madame popatrzyła na nią.

– Bzdura, tylko ja mam takiego pecha. Jej poszczęści się bardziej.

– Wyszłabyś po raz drugi za mąż, Nistrine? – zapytałam.

– Nie mogę, przecież już jestem mężatką.

Nadal próbowałam wynagrodzić jej te włosy.

– Twój mąż na ciebie czeka?

– Czeka, ale nie zajmuje się moim synkiem. Mama to robi.

– Tacy właśnie są mężczyźni – wtrąciła madame. – Nie umieją zajmować się dziećmi. Tylko dają pieniądze.

Leżałam na łóżku i żeby nie martwić się o *babę*, starałam się myśleć o jasnowłosym policjancie. Jak uroczo się uśmiechał i jak cudowne miał dołeczki w policzkach. Jak zaczął mi opowiadać o poezji, choć dopiero co się poznaliśmy. Albo jak bardzo zaimponowało mu to, że znam arabski. Zawsze lubiłam rozmawiać o poezji w tym języku.

Obok mnie leżała Nistrine, z dłonią spoczywającą na piersi niczym małeńki ptaszek.

Już prawie zasypiałyśmy, kiedy usłyszałyśmy warkot auta za oknem.

– To na pewno Hassan, czuję to – powiedziała madame.

Odsłoniłyśmy żaluzje, żeby móc popatrzeć, jak *baba* wysiada z samochodu. Przynal dłoń do oczu, żeby osłonić je przed światłami reflektorów komisariatu. Kiedy powoli ruszył w stronę domu, światła podążyły za nim niczym ślepia jakiegoś zwierzęcia. Dały spokój, dopiero kiedy zniknął we wnętrzu budynku.

\*\*\*

Od następnego ranka strach był moim nieodłącznym towarzyszem. Zamartwiałam się, że zostanę aresztowana. Schowałam wiersz Adela i nie miałam odwagi na niego spojrzeć, tak bardzo obawiałam się policji. Bałam się nawet wyglądać przez okno na billboardy z obserwującą mnie podobizną prezydenta.

Przestało mnie interesować to, co się działo pod dachem madame. To, że Nisrine nie umie dobrze sprzątać, a Abudi nie chce odrabiać lekcji, nawet to, że *baba* wraca do domu późnym wieczorem. Bałam się. Nie chciałam mieć z nimi wszystkimi do czynienia, więc zamykałam się w sypialni. Niegrzecznie z mojej strony, ale już o to nie dbałam.

Tyle że mieszkanie było niewielkie, za oknem zawsze pełnili wartę policjanci, a dzieci ciągle dobijały się do drzwi. W końcu zamknęłam się w łazience. Do toalety można było wrzucać tylko określone rzeczy. Nie papier, bo do tego był przeznaczony specjalny kosz. Ani smarki, bo nos wydmuchiwało się w chusteczkę. Zawsze można było poznać po zapachu, kto właśnie korzystał z toalety. Nisrine pozostawiała po sobie zapach wilgotnego szpinaku.

Dounia zgasiła mi światło.

– Mamo! – zawołała Lema. – Tylko popatrz, co robi twoja córka. No, sama zobacz!

– Dounia, ty nieznośna dziewczyno! – Madame zapukała do drzwi. – Beo, po wyjściu możesz dać jej klapsa, a ja nawet się na ten temat nie zająknę.

Wyszłam z łazienki.

– Idź spać, Beo, wyglądasz na zmęczoną.

– Nie jestem zmęczona – odparłam, ale rzeczywiście ruszyłam do sypialni.

Wtedy odezwał się *baba*:

– *Baba...*

Milczałam.

– *Baba...* – powtórzył.

– Beo – odezwała się Lema – *baba* cię woła.

– Tak, *baba*, chciałeś czegoś?

– Nescafé.

– Nescafé.

W rezultacie zamiast do sypialni poszłam do ciasnej kuchni, żeby zaparzyć kawę. Nisrine akurat chowała szklanki do szafek, nucąc przy tym po angielsku.

– *My love is your love* – podśpiewywała.

Kiedy wróciłam z kawą, *baba* wciąż siedział na kanapie, a oczy same mu się zamykały.

– Dziękuję, *baba* – powiedział, kiedy weszłam, a ja uświadomiłam sobie, że mówi

do mnie „baba”, tak jak do swoich dzieci. To wtedy zrozumiałam, że wszystko się zmieniło.

Abudi jeździł blaszaną ciężarówką między moimi stopami. Nocami trzymałam Lemę za rękę. Należałam do tej rodziny składającej się z rodziców oraz trójki dzieci i służącej. Siadaliśmy razem do kolacji, a Dounia zawsze próbowała opowiedzieć dowcip, tak jak robiła to Nisrine, tyle że jej kawały nigdy nie miały pointy, były po prostu zwykłymi historyjkami. Wszyscy myliśmy ręce, a potem rwaliśmy na kawałki płaskie chlebki i palcami wybieraliśmy z nich oliwki. Tylko Lema brała z szafki miseczkę oraz widelec i nóż, żeby pokroić mięso, bo akurat weszła w taką fazę. I do wszystkich nas zwracano się „baba”. Jakbyśmy stanowili jedną istotę o czternastu rękach, zwaną „baba”, jakby nie było żadnej różnicy między nami a *babą*. I właśnie dlatego nie mogłam już chodzić do ogrodu i rozmawiać z nieznajomymi, musiałam siedzieć w domu z madame, a jeśli zjawi się policja, będę przerażona, ale nie ruszę się na krok, dopóki sobie nie pójda. Bo nie byłam już dłużej wolna, mimo że pozostałam Amerykanką.

Podobał mi się ten jasnowłosy policjant, czasami wyobrażałam sobie nawet, że jestem Leilą, a on Qaisem. Obciąłam włosy służącej. Ale byłam młodą kobietą, na którą wołano „baba”. Nie miałam innego wyjścia, jak tylko stać po stronie tej rodziny.

## CZEŚĆ

Większość Amerykanów nie rozumie, że aby nauczyć się nowego języka, trzeba mu się poddać. W przypadku arabskiego chodzi nie tylko o nowe słowa, ale o całkowicie odmienny alfabet czy dźwięki. Podczas mówienia mój język i gardło działały zupełnie inaczej. Należało zmienić nie tylko sposób myślenia, ale nawet operowania własnym ciałem, musiałam więc zrezygnować z logiki, do której uciekałam się podczas mówienia po angielsku. Zupełnie jak w dzieciństwie język znów stawał mi kołkiem, dopóki nie nauczyłam się go na nowo używać. Ale koniec końców pokochałam tę konieczność całkowitego poddania się. Wymawiałam głoski, których istnienia Amerykanie nawet sobie nie wyobrażali. Chrapliwą *ghayn*, przywodzącą na myśl chrzęst żwiru, *saad* niczym warkot motorówki. Poddałam się tym dźwiękom i w ten sposób wyzwoliłam swój język.

Tak jak w przypadku nauki języka mieszkanie u madame wymagało rezygnacji z pewnych przyzwyczajzeń. Tutaj pijało się kawę późnym wieczorem. Przywykłam do samodzielności, a jednak co rano madame przygotowywała mi ubranie. Martwiliśmy się nadmiarem oliwy, każdy talerz miał oddzielną łyżkę.

Kiedy opisałam to wszystko w liście do przyjaciółki ze Stanów, ta odpowiedziała mi: „Nie przeszkadza ci, że traktują cię jak dziecko? Masz dwadzieścia jeden lat, a gdybyś chciała zaprosić do domu faceta? Wyjdź z domu i zacznij poznawać świat!”.

Ale ja przecież już go poznawałam, tylko nie tak, jak to sobie wyobrażała moja przyjaciółka.

Każdego dnia, który spędzałam pod dachem madame, odsłaniały się przede mną nowe słowa. Zapisywałam je w notesiku, a potem, wieczorami, przeglądałam wszystkie, uczyłam się ich na pamięć, wyobrażając sobie, jak mogłyby wyglądać w niesamowitym tekście. Czasami Nisrine mi w tym pomagała.

Wciąż pamiętałam podekscytowanie, które czułam podczas lektury moich pierwszych tekstów po arabsku. Nawet najprostsze słowa otwierały przede mną zupełnie nowe światy. Wyobrażałam sobie, że biegłość języka będzie niczym pąki jaśminu z wiersza Adela, rozchylające płatki po długim deszczu.

Oczywiście nie było mi obojętne, że mam dwadzieścia jeden lat, jestem dorosła i niezależna. Ale podobało mi się mieszkanie u madame. Kiedy jesteś jedynakiem, przyzwyczajasz się do samotności. Nie chcesz tego, ale to element twojego życia. Tutaj po raz pierwszy w życiu stanowiłam część dużej rodziny. I na razie to mi wystarczało.

Jak w przypadku arabskiego, którego nauczyłam się, całkowicie mu się poddając, zaczynałam rozumieć, że zależność od innych to również sposób zdobywania wiedzy. A uczenie się to forma wolności.

\*\*\*

Przed madame *baba* miał inną żonę i rodzinę. Wszyscy mieszkali w tych samych słonecznych pokojach, co my teraz, ale w przeciwieństwie do Lemy tam pierwszym dzieckiem był syn. Urodził się zaledwie kilka lat przede mną.

W latach osiemdziesiątych, kiedy synek miał dwa lata, *baba* trafił do więzienia. Z warsztatu, w którym zajmował się oprawianiem egzemplarzy Koranu, zabrano go kilku mężczyzn. Wepchnęli go do samochodu, jeden z nich wcisnął mu głowę między kolana towarzysza, żeby aresztowany nic nie widział. A kiedy dziesięć lat później *baba* opuścił wreszcie mury więzienia, nie miał już rodziny. Przebywał w celi zaledwie kilka kilometrów od domu, gdzieś w podziemiach, ale nikt o tym nie wiedział, nawet on sam. Teraz jego warsztat prowadził brat, więc nie miał już nawet pracy, żona uznała go za zmarłego i pokochała innego mężczyznę. Musiał zaczynać wszystko od zera. Został mu jednak dom. I wola przetrwania.

Kiedy zbyt długo myślałam o *babie*, stawałam się sentymentalna, a jego pobyt w więzieniu był dla mnie odpowiedzią na wszystkie moje wątpliwości. To dlatego jego dłonie wydawały mi się takie stare, zwłaszcza wokół knykci, a podeszwy jego stóp, które ukazywał nam podczas modlitwy, były tak pomarszczone. Te wszystkie rzeczy były efektem bicia w więzieniu.

*Baba* lubił jedzenie, zawsze kupował je w najlepszym gatunku. Wyposażył też mieszkanie w komputer z dużym monitorem. W kuchni znajdowało się wielkie okno, przez które mógł wyglądać. W więziennej celi, pozbawionej okna, rytm jego dnia wyznaczała żarówka – kiedy była zapalona, panował dzień, kiedy gasła, zapadała noc. Poza tym miał troje nowych dzieci, urodzonych już po jego wyjściu z więzienia, i nową żonę – madame. I wszystko to osiągnął w pojedynkę. Miał być z czego dumny.

Uczyłam się żyć pod dachem opozycjonisty, akceptować strach, ciągle obecny gdzieś w tle niczym głuchy pomruk burzy. A jednak nadal się martwiłam, zwłaszcza kiedy pomyślałam o tajnej proklamacji *baby* z żądaniem przeprowadzenia wolnych wyborów. Niby taki drobiazg – zebrać razem wszystkie zastrzeżenia wobec władz i je podpisać. To niesprawiedliwe, żeby coś takiego było powodem równie wielkich problemów. Gdybym tylko wiedziała, co się z nami stanie.

*Baba* mieszkał naprzeciwko komisariatu policji od bardzo dawna. Od trzydziestu lat (z tego dziesięć spędzonych w więzieniu) działał w opozycji i przez cały ten czas miał za sąsiadów policyjnych funkcjonariuszy.

Przypomniało mi się, jak wybierałyśmy najprzystojniejszego policjanta, a mnie podobał się tylko ten jasnowłosy, na co *baba* wcale się nie zezłościł, tylko parsknął śmiechem. Jak można się śmiać, kiedy dziewczyna, bliska ci niczym córka, bawi się w wybieranie najprzystojniejszego policjanta? Ale może reakcja *baby* dowodziła tylko, jak łatwo my, ludzie, potrafimy się przystosować. W chwilach konieczności jesteśmy w stanie znieść niemal wszystko. Zupełnie jak Nisrine, która początkowo prawie się do



mnie nie odzywała, kiedy obciąłem jej włosy, i która wychodziła z domu właściwie tylko po zakupy. Ale nawet jeśli jej to przeszkadzało, w ogóle nie dawała tego po sobie poznać. Wciąż starała się rozwijać swoje serce. Rankami trzepała dywaniki. Śpiewała w kuchni i minami rozśmieszała Dounię.

Może umiejętność przystosowywania się to forma odwagi?

\*\*\*

Pewnie zgadliście już, w kim zakochał się jasnowłosy policjant, ale ja miałam jeszcze wątpliwości. W tym mieście roilo się przecież od ciemnowłosych kobiet. Zatrzymałam jego wiersz, połączył nas ten intymny sekret, o którym nie rozmawialiśmy.

Z biegiem czasu przystosowaliśmy się do tego, tak jak do tylu innych rzeczy.

Nadal jednak się zastanawiałam. I nadal marzyłam.

Czasami, kiedy nie mogłam spać, ostrożnie wstawałam z łóżka, które dzieliłam z Lemą, a potem wymijałam bezszelestnie niczym rozwiewany wiatrem pył posłania Nisrine i dzieci, by wyjść do kuchni, gdzie wreszcie miałam okazję pobyć sama. Nie zapalałam światła. Po prostu siedziałam w ciemnościach, z głową wspartą na stole.

Nocą miasto stawało się takie obce. Kiedy wyglądałam przez okno, widziałam jedynie ciemność, zarysy pomników prezydenta, nieoświetloną czeluść ogrodu. Pewnej nocy chyba zauważyłam Adela. Zdawał się pochylać i prostować w mroku, jakby czegoś szukał. Czy on też odczuwał niepokój?

Teraz już wiem, czego szukał. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale było mi go żal. Samotnego mężczyzny rozkoszującego się swoją samotnością, tak jak ja.

Ten ogród przypominał pamiątkowy album, dało się z niego wyczytać wszystko. Na jego ścieżkach można było znaleźć drobne świadectwa życia, które toczyło się w mieszkaniu madame i na komisariacie: skórki pomarańczy, niedopałki papierosów, obcięte pasma włosów Nisrine. Od tamtego zdarzenia, o którym tak bardzo pragnęłam zapomnieć, minęło już tyle czasu, a jednak ciągle natykaliśmy się na te włosy w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach. Zaplątane wokół łańcuchów huśtawki, wplecione w jaskółcze gniazdo, które znalazły dzieci, przyczepione do ogona bezpieczeństwa kota.

Ale ogród był pełen nie tylko włosów Nisrine. Wśród krzewów, wzdłuż ogrodzenia kwitły jaśminowce. Niewielkie kwiaty o białych płatkach pochylały swoje główki, rozsiewając wokół słodki zapach, który wędrował wysoko, w kierunku naszego balkonu i dalej, aż do gwiazd. Gdyby świeciły jasno, pewnie dostrzegłabym, jak Adel starannie przeczesuje krzewy, sprawdza listek po listku, by wreszcie wyprostować się niczym zwycięzca. Ciemna postać na tle szarego jak dym nieba, z pasmem włosów Nisrine w dłoni.

Ale była noc, a ja znajdowałam się za daleko.

W bladej poświacie księżycy widziałam jedynie wysokiego mężczyznę z odkrytą głową. A potem nagle jego ruchy nabrały lekkości. Uniósł rękę, popatrzył na swój palec, a moje serce rozśpiewało się radością, że oto znalazł to, czego szukał.

\*\*\*

Tygodnie mijały, a ja nadal nie miałam żadnych wieści z uniwersytetu. W końcu *baba* zadzwonił do znajomego, a ten znalazł mi nauczyciela. Człowiek ów studiował przez rok w Londynie, a teraz udzielał korepetycji z arabskiego, zresztą głównie cudzoziemcom. Przez telefon, zanim jeszcze się spotkaliśmy, powiedział mi, że ma na imię Imad, ale jego londyńscy przyjaciele wołali na niego pieszczotliwie Matt, co bardzo rozśmieszyło madame.

– Matt? – rzuciła. Po arabsku „mat” oznacza „martwy”.

– Matt.

– *Mat Matt, Allah yerhamo.*

Tak właśnie się mówiło, kiedy ktoś umarł: „Allah yerhamo”. Niech spoczywa w pokoju.

Madame pokręciła głową.

– Beo, wy tam, na Zachodzie, dziwnie okazujecie sobie sympatię.

Przed pierwszą lekcją wpadłam w wir szalonych przygotowań, a cała rodzina starała się mi pomóc. Nisrine przejechała wałkiem czyszczącym po moich džinsach, Lema pożyczyła mi swoje czerwone koraliki.

Natomiast madame przyglądała się temu wszystkiemu z bardzo sceptyczną miną.

– Nic mu nie mów, Beo. Żeby dawać lekcje, trzeba mieć specjalne zezwolenie. A to oznacza, że ten człowiek musi rozmawiać z władzami.

A potem kazała mi się obrócić, żeby mogła sprawdzić, czy bluzka na pewno zakrywa mi pasek džinsów.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Imada, miał ciemnoczerwoną kamizelkę i spierzchnięte usta. To od słonej morskiej bryzy, tak mi wyjaśnił. Jego rodzice mieszkali nad oceanem. Na zajęciach byliśmy tylko ja i Maria z Hiszpanii – obie o bardzo różnicowanym zasobie słów. Kiedy zwierzyłam się Imadowi, że chciałabym kiedyś przeczytać ten niesamowity tekst w Bibliotece Narodowej, obiecał, że postara się mi pomóc. I zacznie mnie uczyć poezji klasycznej.

Tamtego dnia na dobry początek przeczytaliśmy wiersz, a potem wymyślaliśmy rozmaite porównania. Nawet Maria się rozgadała i porównała swoje dłonie do twardych ametystów. Ja powiedziałam, że moje oczy są okrągłe jak ziarna soczewicy, co bardzo rozbawiło Imada.

– Och, czy to kaszmir? – zapytała Maria, a kiedy Imad przytaknął, poprosiła: – Mogę dotknąć?

A potem obie wyciągnęłyśmy ręce, żeby dotknąć jego czerwonej kamizelki.

– Cudowny materiał – orzekła Maria.

– Vintage.

Ja też paplałam jak najęta, co przychodziło mi bez najmniejszego trudu. Na szyi

miałam czerwone koraliki od Lemy. Dla nabrania większej wprawy w mówieniu Maria zaczęła snuć przydługą opowieść o sandałach ze spiczastymi noskami, po których przejechał jej samochód. Chodziło jej o to, że auto przejechało jej po palcach u stóp, a może raczej po tych spiczastych noskach. W historyjkach Marii strój był zawsze najważniejszy. Kiedy przyszła kolej na mnie, opowiedziałam o tym, jak w czasach liceum upuściłam sobie szklankę z korniszonami na stopę. Złamałam wtedy palec, ale szkło pozostało nienaruszone.

Imad nachylił się w moją stronę, żeby mnie poprawić.

– Mówi się słoik, nie szklanka, Beo. – Powiedział to naprawdę uprzejmym tonem.

Kiedy wracałam do domu, w głowie mi szumiało. Drzwi otworzyła mi Lema.

– Ależ ty jesteś śliczna, Beo. – Kazała mi się obrócić, żeby mogła mnie jeszcze trochę popodziwiać, a potem zawołała matkę.

– Oho, widzicie, co potrafią zdziałać zwykłe koraliki? Teraz wreszcie wyglądasz jak dziewczyna.

Akurat tego dnia zadzwoniła ze Stanów moja mama. Paplałam przez telefon jak najęta, zasypując ją rozmaitymi mądrościami.

– Tutaj robimy herbatę z kardamonem – powiedziałam. – Próbowalaś takiej? – Tutaj nigdy nie jemy w pośpiechu. A ty jadasz w pośpiechu, mamó? Trzeba pozwolić żołądkowi spokojnie wszystko strawić. – Zabawiłam się też w szcudrą córkę. – Ile będzie kosztować ta rozmowa? Może wolisz się rozłączyć, a ja do ciebie oddzwonię?

Doskonale widziałam ją oczyma wyobraźni, jak stoi w drzwiach, bo wszystkie tak robiłyśmy – mama, moje ciotki, nawet ja: głowa i brzuch do przodu, szyja i plecy wygięte w tył, tak że wyglądałyśmy zupełnie jak muszla małża. Ręką na pewno wykonywała rozmaite esy-floresy na wysokości biodra albo podpierała łokieć drugiej.

– Tylko nie zamień mi się tam w Arabkę, Beo.

\*\*\*

W mieście nie było żadnych ptaków, poza gołębiami wypuszczanymi wieczorem z meczetów. Krążyły leniwie nad dachami, a ich skrzydła były niczym smoliste ślady na tle wyszorowanego do czysta nieba, które po ich zniknięciu stawało się jeszcze bardziej puste. Mieszkaliśmy niedaleko meczetu, więc widzieliśmy je z oddali – niewielkie plamki na horyzoncie. Teraz też krążyły nad naszymi głowami, obwieszczając swoją rychłą nieobecność. Niesione wiatrem przemknęły nisko nad komisariatem, na którego dachu stał jasnowłosy policjant i machał.

Abudi puszczał na balkonie latawiec zrobiony z foliowej torby.

– Patrz, Bea, to ptak!

– To latawiec.

– To ryba!

Latawiec pomknął za stadem gołębi, próbując je dogonić. Wiatr szeleścił w koronach drzew. Latawiec zanurkował w stronę ogrodu, gdzie zaplątał się między krzewami.

Rzuciłyśmy się z Nistrine na ratunek.

– Abudi, twój latawiec!

– To nie latawiec, tylko ryba!

– To nie ryba, tylko serce!

– Złamane serce!

Szarpiąc za sznurek, uwolniłyśmy torbę z zarośli. Rozerwaną, w dwóch kawałkach. Abudi chwycił oba i wbiegł z powrotem do środka.

Jasnowłoso policjant nadal machał.

Stałyśmy z Nistrine na balkonie. Kiedy Abudi sobie poszedł, Nistrine wyniosła dywanik do wytrzepania.

A Adel wciąż machał.

Odpowiedziałam mu tym samym, ale chyba tego nie zauważył.

Nistrine trzepała dywanik.

A on machał i machał.

Nistrine przerzuciła dywanik przez balustradę i popatrzyła na policjanta, mrużąc oczy. Adel nie odrywał od niej wzroku. Czekał tak od miesięcy.

W końcu Nistrine westchnęła i wskazała na siebie.

– Czy on macha do mnie?

Dotknęła palcem piersi, a wtedy machanie ustało równie nagle, jak się zaczęło. Adel stał bez ruchu, jego jasne włosy lśniły w promieniach zachodzącego słońca. A potem na moich oczach powoli opuścił rękę i położył ją na sercu. I nawet jeśli dotąd Nistrine i mnie dzielił jeszcze jakiś dystans, to w tamtym momencie nastąpiło ostateczne pojednanie.

Nistrine odwróciła się w moją stronę.

– Nie masz nic przeciwko, Beo?

Miałam, ale bardzo się starałam, żeby było inaczej.

Oczy jej błyszczały.

– Nie.

– Nikomu nie mów – dodała.

Była służącą, która próbowała rozwijać swoje serce, by nie tęsknić tak bardzo za domem. A ja byłam studentką, która marzyła o przeczytaniu pewnego tekstu i pielęgnowaniu własnego serca, by wszystko odczuwać jak najgłębiej.

Obciąłam Nistrine włosy, ale teraz biedaczka nie miała innego wyjścia, jak tylko mi zaufać. A mnie nie pozostawało już nic innego, jak tylko nie mieć nic przeciwko. Bo choć to ja pierwsza zwróciłam uwagę na jasnowłosego policjanta, obie doskonale wiedziałyśmy, dla kogo był przeznaczony jego wiersz.

Adel trzymał dłoń na sercu.

Nistrine też.

Ujęła moją rękę, tak jak już kiedyś to zrobiła, a potem przycisnęła ją do swojej piersi.

– Czujesz, Beo?

Jej serce zaczęło rosnać.

## MIŁOŚĆ SIĘ ZACZYNA

(odtworzone na podstawie listów Adela)

Adel ciągle dzwonił na nasz domowy numer, kiedy madame nie było.

A Nisrine zgrywała onieśmiałą.

– Dzień dobry, kochanie, jak się miewasz?

– Dobrze. – (Chichot).

– Gdzie jesteś? Tęsknię za tobą!

Nisrine popatrzyła na mnie.

– Nie jestem sama.

– Kiedy cię zobaczę?

– Nie wiem. Może później.

Zabrała dzieci do ogrodu, gdzie Adel już czekał. Madame widziała z okna, że nie ma tam nikogo poza policjantem, dlatego pozwoliła im zejść.

– Z nikim nie rozmawiajcie – przestrzegła ich jak zwykle. – I wracajcie natychmiast, gdy pojawi się za dużo dzieci.

Ale w ogrodzie był tylko jasnowłosy policjant, który usiadł na ławce obok Nisrine. Kosmyk włosów wymknął się jej spod chusty, a on tak bardzo pragnął go dotknąć. Ale zamiast to zrobić, zapytał:

– Dlaczego nie prostujesz włosów?

– Bo nie lubię. A tobie podobają się proste?

– Naprawdę, Nisrine, zakochałem się w tobie w chwili, gdy cię ujrzałem.

Dwie głowy skłaniające się ku sobie.

Dzieci biegały wokół huśtawki, podczas gdy madame i ja obserwowałyśmy całą scenę z okna.

– Ile masz lat? – zapytała Nisrine.

– A na ile wyglądam?

– Tylko nie kłam.

– Kocham cię, Nisrine. Nigdy bym cię nie okłamał.

– No więc ile masz lat?

– A ty?

– Zapytałam pierwsza.

– Mam dwadzieścia jeden lat.

– Kłamiesz.

– Nie, chcesz zobaczyć moje dokumenty?

– Tak.

– Nie mam ich przy sobie.

Popatrzyła na niego roziskrzonymi oczami, ciemnymi niczym dwa krańce pustyni

pograżonej w mrokach nocy.

- No dobrze, ja mam dwadzieścia trzy.
- Położył rękę obok jej dłoni. Dwa lata różnicy.
- To bardzo dobrze – powiedział.

Sami nie wiedzieli, co z tym począć. Obserwował ją, kiedy zamiatała, wpatrywał się w jej pupę w kształcie serca. Wydzwaniał bez końca i odkładał słuchawkę, kiedy odebrała madame.

- Później Nisrine robiła mu z tego powodu wyrzuty.
- Nie dzwoń do mnie, głuptasie, bo napytasz mi biedy! – mówiła ze śmiechem.

Spróbowali jeszcze raz, znów w ogrodzie. Tym razem Adel był przygotowany.

– Nisrine, znasz pustynię? – Znała. – Mój dziadek stamtąd pochodzi. Mówi, że rośnie tam taki kwiat, piękniejszy od wszystkich innych, który kwitnie raz na sto lat. Myślę, że ty możesz być takim właśnie kwiatem.

– Naprawdę?

– Tak sędzę. Mój dziadek to ważna figura. Walczył po stronie prezydenta i dostał się do niewoli.

- A mój dziadek znał ocean – odparła Nisrine. – Kiedyś zawrócił laską powódź.
- Twój dziadek miał magiczną moc! – orzekł Adel.

Spodobało jej się to.

– A twój jest chyba bardzo odważny.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wiatr szarpnął za wystający spod jej chusty kosmyk, a on znów zapragnął go dotknąć. Ale zamiast tego powtórzył tylko:

– To bardzo dobrze.

\*\*\*

Istnieje język, który rozwija się w miłości. Jeśli okoliczności są wyjątkowe (spoglądanie z dachu budynku czy z balkonu, wysoko ponad światem), język również może się taki stać. Ich język okazał się rodem z eposu.

Rozmawiali dłońmi, przesyłali sobie w ten sposób bezgłośnie słowa nad ulicą i ogrodem. On stał na dachu komisariatu, ona na balkonie. Ponieważ znajdowali się tak daleko od siebie, ich język składał się głównie z energicznych gestów – ramion rozkładanych szeroko, wyprężonych piersi, rozstawionych nóg, by wyrazić wielkie rzeczy. Wspominając po latach tamte dni, Adel nadal będzie dostawał gęsiej skórki, choć minęło już tyle czasu od tych wydarzeń.

Nisrine wychyliła się z balkonu, z dłońmi wyciągniętymi przed siebie, jakby próbowała objąć ukochanego. A wtedy on dotknął oczu ręką. Znaczyło to: „Dam ci wszystko, czego zapragniesz”. Znaczyło: „Nawet moje oczy są twoją własnością, zachowałem je specjalnie dla ciebie”.

Wieczorem Nisrine prasowała przy odsłoniętych żaluzjach. Dounia i Abudi bawili się w odgrywanie hadżdżu. Położyli na stole pudełko, które miało symbolizować Al-Kabę, a potem okrążyli go siedem razy; wreszcie wychylili się przez okno, żeby poczuć pustynię, spojrzeć w stronę gór.

Nisrine zdjęła wierzchnią chustę i odłożyła ją na blat, a potem zrobiła to samo z drugą. Rozplotła kok i pozwoliła, by włosy zwisały jej luźno wokół twarzy, kiedy prasowała.

Obserwował ją z dachu komisariatu, czuła, jak jego wzrok przenika ciemności.

Siedzieliśmy razem z dziećmi wokół niej, popijając wodę, jednak żadne z nas nie zaproponowało jej pomocy.

W pewnym momencie popatrzyła na dzieci i spytała:

– *Baby* jeszcze nie ma, prawda?

Ale one nie odpowiedziały.

Włosy trochę jej już odrosły. Po podcięciu były równe. Wiły się jej na karku niczym pasma dymu.

Zerknęła na mnie przelotnie.

– Chyba ci to nie przeszkadza, Bea? Tak tu gorąco.

Adel wrócił do kolegów na dach komisariatu.

– Zakochałem się w cudzoziemce – powiedział, wskazując na służącą z dziećmi siedzącymi obok Amerykanki. Mężczyźni popatrzyli poprzez mrok we wskazanym przez niego kierunku, na jasno oświetloną kuchnię. Na biegające dzieci. Na plecy zajętej prasowaniem Nisrine.

– Adel się zakochał w dziewczynie z zagranicy – zaczęli się z nim droczyć. – Teraz będzie strzegł tylko jej.

Ale mieli na myśli mnie, Amerykankę. Ze śmiechem spoglądali na moje jasne włosy, bo Nisrine stała plecami do nich, tak że nie mogli dostrzec jej urody. A Amerykanka była przecież cudzoziemką.

\*\*\*

Tworzył dla niej wiersze. Zapisywał je na bibułkach, jedna kopia dla niej, druga dla niego, a potem wkładał je do różowych plastikowych toreb, których używaliśmy w łazience, zawiązywał i rzucał na nasz balkon, gdzie znajdowała je Nisrine. Kiedy dowiedział się, że Nisrine nie potrafi odczytać literackiego arabskiego, zaczął się uczyć swoich wierszy na pamięć, by później recytować je dla niej. Używał długich, opatrzonych komentarzami tłumaczeń na prosty język, a kiedy Nisrine ich nie rozumiała, wyjaśniał jej wers po wersie, by wiedziała, co tak naprawdę oznacza jego miłość.

„Kwiatu piękniejszemu nawet od jaśminu”.

*Kocham kwiaty jaśminu*, wyjaśniała uproszczona wersja. *Naprawdę kocham, ale ty*

*jesteś piękniejsza nawet od nich.*

„I będzie wiedziała *inshallah*,

Że po niej nie ma innych kobiet,

A przed nią tylko pył”.

*Jesteś jedyną kobietą w moim życiu. Zawsze będę bronił twego honoru i zawsze będę ci mówił prawdę. Powiem ci wszystko, co zechcesz, należę do ciebie, wszystko jest twoje. Rozmawiam z tobą od trzech dni, wiem o twoim istnieniu od dwóch miesięcy. Jeśli skłamię ci choć jednym słowem, masz to na piśmie! Muszę to zapisać! Jeśli cię okłamię, masz prawo zarzucić mi publicznie: Nie jesteś prawdziwym mężczyzną! Nie mam powodów, by cię okłamywać.*

„Bo na pustyni ona jest całą wodą,

W jej ramionach uwolnię się od pragnienia”.

*Jesteś dla mnie wszystkim. Bo czyż człowiek na pustyni nie pragnie jedynie wody? A kiedy już ma wodę, czyż ta nie podtrzymuje go przy życiu? Jestem otwartą księgą, Nisrine. Wybierz rok, a wszystko ci opowiem. Pomogę ci. Dziewięćdziesiąty czwarty. Miałem dziewięć lat. Zakochałem się po raz pierwszy. Wybierz inny. Proszę, Nisrine, wybierz inny. To piękne, kiedy kobieta zadaje pytania, a mężczyzna odpowiada. Powiem ci, co zechcesz. Odetchnę z ulgą, kiedy wyznam ci już wszystko. Kiedy będziesz wiedziała.*

„I niczym biały kwiat siedzi sama,

Lśniąć wśród nocy”.

*Wskaż jaśmin, Nisrine. Nie, wskaż jaśmin. Kto jest całym moim życiem? Ach, któż nim jest? Zgadza się, Nisrine Kadmani, ona jest całym moim życiem.*

Nie opowiedziałam wam jeszcze o moich uczuciach ani o uczuciach Nisrine, na to przyjdzie pora później. A na razie daję wam Adela, który potrafił mówić o miłości bez końca i pisać wiersze o pąkach jaśminu.

W jego wierszach roilo się od obrazów pustyni, pyłu i księżycy w pełni. Nie było w nich drzew ani oceanu, bo rzadko je widywał, a pisał o tym, co dobrze znał: o bezkresnej pustyni, szarym komisariacie. Tutaj biel była rzadkością, więc pisał wciąż o jaśminie, bo jedyną białą rzeczą, do której mógł porównać serce Nisrine, były kwiaty tego krzewu.



## HISTORIA MIŁOSNA ADELA

Rodzice Adela się kochali, więc i on wierzył w miłość. A teraz sam kochał ciemnowłosą służącą, która miała męża i synka i której czas nie należał do niej. Ale wierzył w równość i po prostu w miłość. Skoro sam darzył uczuciem Nistrine, ona również z pewnością go pokocha. To im wystarczy, nie będzie potrzebowała niczego więcej poza jego uczuciem. Będzie ją kochał, a ona będzie kochać jego. I dzięki tej ich miłości wszystko inne, praca, dzieci czy kwestia wykształcenia, ułoży się samo. Wierzył w uczucie rodziców, a dzięki temu miał odwagę, by wierzyć też we własną miłość.

Opowiedział o Nistrine matce.

– Zakochałem się w cudzoziemce.

– Cudzoziemce? – zapytała matka. – Z Paryża?

– Ze Wschodu.

– Nowy Jork. Podoba jej się w naszej metropolii?

Nie chodziło o Nowy Jork.

– Bardzo. Praktycznie nigdzie nie bywa.

– To twoja wina, głuptasie! – obruszyła się matka. – Zaproś ją gdzieś. Dam ci pieniądze. Ma jasne włosy, tak jak ty?

– Nie, ciemne.

– Ciemne włosy, jasna skóra?

– Twarz niczym księżyc w pełni.

– Lubię takie dziewczęta – orzekła matka. – A ona cię kocha?

– Ja ją kocham.

– Skoro ją kochasz, to i ona musi kochać ciebie.

Adel uświadomił sobie, że tak jak koledzy z komisariatu matka nie rozumiała, co miał na myśli, mówiąc o cudzoziemce. Dlatego następnego wieczora spróbował ponownie. Akurat była u nich w odwiedzinach ciotka ze swoją służącą. Siedzieli w salonie, aż w końcu ciotka posłała Lilene do kuchni po herbatę.

– Całusy dla twojego chłopca, Lilene – zażartował Adel, a potem zwrócił się do matki: – Mamo, dlaczego służąca jest taka nadąsana?

– Wiecie, co powiedziała mi dzisiaj Lilene? – odezwała się ciotka. – Powiedziała: „Jestem taka powolna, *mama*, bo nie brałam dziś prysznic”. – Ciotka wybuchnęła śmiechem. – Bawi się ze mną jak dziecko.

– Naprawdę tak powiedziałaś, Lilene?

Dziewczyna nie zareagowała.

– Lilene je waciki – dodała matka.

– To prawda, Lilene?

– A przecież moja siostra nie żałuje jej jedzenia – dodała matka. – Za to Adel zakochał się w dziewczynie z zagranicy.

– Z zagranicy? Jaka ona jest?

Mógłby im opowiedzieć, ale wciąż martwiły się o Lilene.

\*\*\*

Chociaż wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy, w tamtym okresie *baba*, który bywał na komisariacie, spotkał Adela dwukrotnie. Każdy, kto siedział w więzieniu, przed wyjściem podpisywał zobowiązanie, że dwa razy w miesiącu będzie się stawał na takim to a takim komisariacie o tej i o tej godzinie, i informował policję o wszystkim, co widział i robił. Taka deklaracja obowiązywała już do końca życia.

Na komisariacie byłych więźniów przesłuchiwali najmłodszy funkcjonariusze, bo było to dość ogłupiające zajęcie: po prostu zadawali pytania i zapisywali odpowiedzi, nie musieli oceniać tego, co słyszą, nie musieli myśleć. Obowiązek ten spadał na Adela trzy, cztery razy w tygodniu. Adel siadał wtedy przy metalowym biurku w piwnicy, a mężczyźni pobierali numerki z czerwonego podajnika (w amerykańskiej ambasadzie korzystało się z identycznego w kolejce po wizę). Potem Adel wzywał ich po kolei po numerze, jakby byli klientami czekającymi na obsłużenie, doładowanie konta komórki czy kupno blendera, a tymczasem to oni dzielili się tu informacjami.

Adel nie oceniał tego, co od nich słyszał, po prostu zadawał określone pytania i zapisywał odpowiedzi w cienkim notesie ze szczeniactkami na okładce.

Teraz ten notes leży przede mną.

Monad Halwani, zanotował Adel. Wzrost: 1,83, wiek: 25.

Zatrudnienie: nadal żadnych wieści. Cierpi z powodu bezrobocia.

Poczynania: sąsiedzi musieli wyjechać, zmarła babcia? Udali się w niewiadomym kierunku. Powrót w niedzielę wieczorem. W sobotę był w Sheraton Club. Tańczył z Rosjankami, ale nie stawał im drinków.

Wydane pieniądze: 10 000 L. Czyje: ojca.

Spotkane osoby: Mohamad Ikhvani, Kerim Morsim, Simo Rohana, Hicham al-Kurdi.

Jeśli *baba* trafił na odpowiedni dzień, jego też przepytował Adel:

Hassan al-Bakari, wzrost: 2,1, wiek: 66.

Zatrudnienie: introligator, 25 zleceń w zeszłym miesiącu.

Oprawia: książka dla dzieci uczących się modlić, *Łatwe pozycje modlitewne*, nowe wydanie.

Adel nie wypytywał *baby* o kobiety z jego rodziny. To byłoby niegrzeczne, a poza tym podczas przesłuchań nie zagłębiano się przecież aż tak bardzo w sprawy prywatne. Pytał więc o pracę, ludzi, z którymi *baba* się widywał, odwiedzane miejsca. Celem takiego wywiadu było odnotowanie wszystkich poczynąń dawnego skazańca, wykrycie

ewentualnych rewolucjonistów i upewnienie się, że *baba* pozostaje lojalny wobec władzy. Nikogo nie interesowało zdrowie jego służącej.

Mimo wszystko od czasu Nistrine Adel zdawał się zwracać na *babę* szczególną uwagę.

Przy jego nazwisku zapisał: (sir) Hassan al-Bakari, wzrost: 2,1, wiek: 66.

A potem dodał parę uwag od siebie, opinii na temat charakteru siedzącego przed nim mężczyzny.

Zatrudnienie: introligator (Szlachetnego Koranu Karim),

Zlecenie w zeszłym miesiącu: 25 (przedsiębiorczy człowiek!).

Adel przebiegł listę pytań dwukrotnie, a potem wreszcie popatrzył na *babę*. Nie chciał jeszcze kończyć tej rozmowy.

– Służąca? – rzucił, bo żadne inne pytanie nie przychodziło mu do głowy.

– Nie mam służącej, moja żona ma.

– Mój błąd – mruknął Adel.

Jego przełożeni czytali te raporty. Oni też zauważyli zmianę w tekstach Adela, odkąd pojawiła się Nistrine. Adel miał na komisariacie przyjaciół, także wierzących w miłość, ale nawet oni wiedzieli, że ich obowiązkiem jest obserwować go. Im bardziej zakochiwał się w Nistrine, tym częściej odwracał się do nich plecami. W końcu poszli z tym do przełożonych.

– Adel kocha się w cudzoziemce. Pilnuje tylko jej.

A ponieważ Adel był synem swojego ojca, oficerowie udali się z tą sprawą właśnie do niego.

– Adel pisze zbyt łagodne raporty. Zwraca uwagę na charakter i inteligencję przesłuchiwanego.

Ojciec wezwał Adela do salonu.

– Dlaczego jesteś policjantem? – zapytał.

– By służyć mojej ojczyźnie i religii.

– I dlaczego jeszcze?

– By służyć mojej rodzinie i ojcu, bo jestem synem mego ojca. Nie chcę brać od niego pieniędzy, tylko zarabiać na siebie. Muszę przestrzegać najwyższych standardów. Zachowywać się tak, by wszyscy od razu wiedzieli, że jestem synem mego ojca.

– Strzeżesz cudzoziemek? – zapytał ojciec.

– Jeśli przebywają w tym kraju, muszę ich strzec.

– Tylko ich?

– Nie, wszystkich.

– Ale przede wszystkim ich?

– Przede wszystkim naszych obywateli.

– Słyszałem co innego – odparł ojciec. – Jesteś synem mężczyzny, więc zachowuj się stosownie.

Adel nie posiadał się z oburzenia.

– Ależ tak właśnie robię! – wykrzyknął. – Strzegę wszystkich! Strzegę kobiet i dzieci!

Przez kilka następnych dni Adel pełnił wartę dziesięć minut zwrócony twarzą do Nisrine, dziesięć – plecami do niej. Ale wciąż był zakochany. I w swoim zaślepieniu wkrótce zapomniał o ostrożności. Znowu spotkał się z Nisrine w ogrodzie. Obserwował biegającą wokół nich Dounię i wymyślał rozmaite historie, żeby udowodnić Nisrine, że w ogóle nie dba o status społeczny.

– W naszym domu wszyscy są równi – przekonywał. – Służąca czy ogrodnik, to bez znaczenia. Nawet kierowca mojego ojca, który jest jazydem, też jest równy. Wiesz, kim są jazydzi?

– Ludzie, którzy czczą ogień.

– Czczą diabła. Ale dla mojego ojca to bez znaczenia. Nie pozwalamy mu tylko korzystać z naszej łazienki. Wiesz, jak jazydzi się podcierają? Palcem, który potem wycierają o ścianę. W ich domach ściany są całe w brązowych smugach. Ale ojciec twierdzi, że nawet w łazience masz wybór, woda czy papier. Byle nie palec, tak możesz robić we własnej łazience. Chociaż ja nie, ja jestem sunnitą. Jasne? Tak czy inaczej, jazydzi wychodzą na zewnątrz.

Roześmiała się z jego definicji równości.

– To zupełnie jak powiedzieć, że służąca sypia na podłodze, bo tak wybrała.

Nie obraził się. Miłość to śmiech i takie zwierzenia.

– Często myślę o tym, gdzie sypiasz, Nisrine. Powiedz mi coś więcej o sobie.

Zacząła więc snuć opowieść:

– Moja mama nigdy nie jest zazdrosna. Aż do przesady, bo czasem ojciec chciałby, żeby była. Jego zdaniem zazdrość stanowiłaby dowód jej miłości.

– Ty też nie jesteś o mnie zazdrosna.

– Jestem.

Nie była. Nie miała kiedy, nie była panią swego czasu.

– Któregoś razu ojciec ubrał się w swój najlepszy strój, który wkładał tylko na śluby. Zabrał motocykl, nie mówiąc mamie, dokąd się wybiera. Mama smażyła w kuchni ryż, czytała w salonie. Zapytaliśmy ją: „Mamo, *baba* wyszedł w swoim najlepszym stroju, nie wiesz, dokąd pojechał? Może wziął trochę pieniędzy?”. To mama zarządza w naszym domu pieniędzmi, ale ojciec wie, gdzie leżą. Nie odpowiedziała, tylko dalej zajmowała się swoimi sprawami. A kiedy nadszedł wieczór, zaczęła szykować się do snu. W końcu, trzy godziny później, ojciec zjawił się z powrotem. Pachniał wodą kolońską, którą skropił się przed wyjściem. Zapytał mamę: „Nie jesteś ciekawa, gdzie byłem?”. „Nie jestem. Ufam ci”. A ponieważ mu ufała, powiedział jej. Był z zupełnie niewinną wizytą u braci. Ograł ich w karty, a teraz wręczył mamie wygrane pieniądze. Widzisz, mężczyźni uważają, że to miłe, kiedy kobieta jest zazdrosna, ale moja mama wiedziała, że miłość oznacza zaufanie.

Ale też troskę i zwierzenia.

– Ufam ci, Nisrine. I kocham cię nad życie w tej twojej różowej piżamie.

Kiedy stała na balkonie, a on znajdował się daleko, unosiła rękę, a on robił to samo – i było zupełnie tak, jakby łączyło ich niebo.

Oczywiście marzył o różnych rzeczach: skradzionym pocałunku, czułych słówkach (z nich dwojga to on je prawił), zerknięciu z bliska pod jej biały hidżab.

Nisrine nie była taka pewna ich miłości. Czasami, kiedy zamiatała podłogi, zapominała nawet o nim, ogarnięta tęsknotą za domem. Starła się z tym walczyć, wołała raczej pamiętać o Adelu, który siedział teraz przed nią. Był kimś, kto mógł ją uszczęśliwić. Kiedy w ciszy poranka wołał do niej, miał wrażenie, że słyszy bicie jej serca.

Rozumiał, dlaczego o nim zapominała, i cierpliwie czekał, aż sobie przypomni.

Zawsze lubił się znajdować w centrum wydarzeń. Uwielbiał zatłoczone ulice miasta i grupki mężczyzn, zajmujące całą szerokość chodnika.

Ale odkąd w jego życiu pojawiła się Nisrine, wołał patrzeć na miasto z wysoka. To właśnie tam, w górze, toczyło się prawdziwe życie, z dala od rynsztoków pełnych plwocin. Teraz już wiedział, że tak jak Nisrine prawdziwi mieszkańcy tego miasta nie znali świata poza obrębem czterech ścian własnych domów – zerkali na niego tylko czasem przez wizjer w drzwiach. Ale przecież było to piękne życie. Kochając ją, dowiedział się, jak działa taka podniebna miłość na odległość. Wiedział, że mógłby to ciągnąć bez końca, gdyby mu tylko pozwoliła. Potrzebował jedynie dachu, na którym mógłby stać, i okna, przez które mógłby zaglądać. Opowiadała mu o zazdrości, ale ufał jej, tak jak ona ufała jemu.

A potem któregoś dnia poprosiła go, żeby pozwolił jej skorzystać ze swojej komórki.

– A Bea ci nie pożyczy?

– Nie ma połączeń międzynarodowych.

– Do kogo chcesz dzwonić?

– Do męża i synka.

Cisza. Miłość to zaufanie.

– Mówiłaś przecież, że to pijak.

Adel poczuł pył pustyni w oczach, w nosie. Wyciągnął chusteczkę higieniczną, ale wiatr mu ją wyrwał, wytarł więc oczy rękawem swojej skórzanej policyjnej kurtki.

– Cokolwiek zechcesz, Nisrine. Chcesz mojej duszy? Dam ci ją. Chcesz moją komórkę? Dostaniesz. Chcesz, żebym rzucił się na ulicę?

Zrobił ruch, jakby zamierzał skoczyć pod koła przejeżdżającego auta.

– Adel, przestań sobie żartować.

Cofnął się o krok.

– A widzisz? Jednak byś za mną tęskniła.

Tego popołudnia Adel zszedł z dachu, żeby kupić doładowanie komórki za tysiąc lyr. Nisrine próbowała wcisnąć mu pieniądze, chciała mu zrzucić sto lyr do ogrodu.

– Daj spokój – powiedział. – Nie potrzebuję twoich pieniędzy.

Karty telefoniczne kosztowały tysiąc, ta setka byłaby tylko kroplą w morzu potrzeb, naprawdę niczym. A jednak Nisrine się upierała – Adel wyświadczał jej przysługę, więc chciała mu się jakoś odwdziaczyć. Wyjęła sto lyr i starannie zawinęła je w ten sam woreczek, w którym Adel rzucił jej swój ostatni wiersz. Razem miała wszystkiego zaledwie dwieście lyr. Nie chodziła do sklepów, nie miała pojęcia, że zwykły chleb kosztuje pięćdziesiąt.

Adel poszedł przecznicę dalej do niewielkiego, prostokątnego kiosku z kartami telefonicznymi, gdzie półki aż ugięły się od towarów. Przed oczami mieniły mu się dziesiątki kolorów, które pewnie spodobałyby się Nisrine. Fioletowe opakowania ciastek, amerykańskie cukierki w złoto-brązowych pазłótkach, wydęte niebieskie paczki chipsów – całe rzędy błyszczących opakowań. Chciałby obsypać Nisrine tym wszystkim. Wydałby na nią całą swoją pensję, gdyby tylko mu na to pozwoliła.

Ale jej zależało na telefonie. Zastanawiał się, ile jednostek Nisrine zużyje. Schowany za budynkiem komisariatu, starał się wykonać jak najwięcej rozmów, żeby wykorzystał choć część jednostek, zanim ukrył komórkę w ogrodzie. Wiedział, że nie powinien tak myśleć, ale dopiero co doładowywał telefon. Wydawało mu się to takie kosztowne, że już musiał kupić kolejną kartę.

Tego wieczora wrócił na kolację do domu i starał się nie myśleć o Nisrine. Na stole stała miska bulgur z mięsem i pomidorami. Chciał poprosić matkę, żeby podała mu pomidory. Otworzył usta i...

– Mamo, ile kosztuje telefon do Indonezji?

– A kto jest w Indonezji, Adelu?

Po kolacji Adel pomógł matce posprzątać ze stołu, a potem poszedł za nią do salonu.

– Mamo, czego byś mi życzyła? – zapytał.

– Dobrego życia, porządnej pracy i kochającej kobiety – odparła matka.

– Cudzoziemki?

– W porządku, cudzoziemki.

– A skąd konkretnie?

– Skądkolwiek. Z Londynu, Paryża, Bagdadu. Najważniejsze, żeby była podobna do nas. Wolna jak Europejczycy. Bo widzisz, mamy z Europejczykami wiele wspólnego. Dobrze jemy. Czytamy te same książki. Mówimy po angielsku. Co byśmy poczęli, gdybyśmy nie mówili tym samym językiem? Na przykład gdyby nie znała arabskiego, tylko chiński? Jak by to wyglądało? Przecież bylibyśmy jak Niemcy!

– Mamo, kocham dziewczynę z zagranicy.

– Mówiłeś mi, z Nowego Jorku.

– Nie z Nowego Jorku.

– W porządku, Adelu, nie musisz zdradzać mi szczegółów. Nie potrzebuję tego wiedzieć. Zachowaj to dla siebie.

\*\*\*

Następnego ranka Adel znalazł swój telefon w ogrodzie. Sprawdził wybierane numery. Nisrine dzwoniła trzy razy: o szóstej cztery, szóstej siedem i szóstej trzydzieści sześć. Zajrzał do połączeń przychodzących – nikt do niej nie oddzwonił. Nie pamiętał już, którym przyciskiem sprawdza się ilość pozostałych jednostek.

Kiedy wszedł na dach, Nisrine była na balkonie. Wieszala pranie. W ustach trzymała klamerkę, w rękach ogromne spodnie *baby*. Kiedy go zauważyła, przytrzymała mokre spodnie brodą, tak że spływały aż do ziemi, i pomachała. Paznokcie miała pomalowane na czerwono, żeby na pewno je zauważył.

Wzruszył lekko ramionami i uniósł telefon.

– Wszystko w porządku?

Skinęła głową.

– To dobrze.

Czasami potrafił być taki skąpy. Bo przecież miał nadzieję, że nie poprosi go znów o pożyczanie komórki na miesiąc czy dwa, dopóki nie uzbiera stu lyr. A jednak ją kochał, a ona kochała jego. I teraz wszystko układało się między nimi tak wspaniale.

Obserwował ją przy pracy.

I kiedy zajmowała się dziećmi.

Kiedy madame ucinała sobie drzemkę, dzwonił na ich domowy telefon. Nisrine wychodziła z aparatem na balkon, żeby porozmawiać. Któregoś razu wskazał jej wejście do sklepu z ubraniami po drugiej stronie ulicy.

– Jeśli chciałabyś coś stamtąd, jeśli coś ci się podoba, kupię ci to.

Nisrine wychyliła się, żeby popatrzeć.

– Dziękuję, ale nie musisz.

– Kocham cię. Chcę, żebyś ty też kochała mnie, tak jak ja ciebie.

– Kocham cię z głębi serca. Nie za pieniądze czy ubrania.

– Wiem, wiem. Po prostu chcę, żebyś wiedziała. Potrzebujesz skorzystać z mojej komórki?

– Dziękuję, nie trzeba.

– Kupię więcej jednostek.

– Nie musisz.

– Ale chcę. Wiem, jacy są ludzie. Następnym razem, kiedy będziesz potrzebowała wykonać rozmowę międzynarodową, wystarczy, że mi o tym powiesz, Nisrine.

– Naprawdę, kiedy kogoś kocham, to prosto z serca.

Czasami jednak potrzebowała różnych rzeczy.

– Wiem. Jesteś taką dobrą dziewczyną.

Przez chwilę obserwowali auta przemykające ulicą pod nimi.

– Chcesz wiedzieć, co powiedziałem o tobie mamie i *babie*? – odezwał się Adel.

– Co?

– Powiedziałem im, że jest taka dziewczyna z zagranicy. Ale ja wcale nie uważam

jej za cudzoziemkę. Dla mnie jest nawet lepsza niż Arabki. Nie chodzi obnażona, bo przecież nosisz długie stroje, tak jak one, więc kiedy na ciebie patrzę, nie widzę nawet skrawka gołej skóry.

Nisrine parsknęła śmiechem.

– *Aiwa!* Twój śmiech jest jak blask słońca! Mrugnij do mnie.

– Nie mogę.

– Proszę cię, tylko ten jeden raz. Chcę zobaczyć, jak przymykasz powieki. Mrugnij do mnie.

– Adel! – rzuciła rozbawiona.

– Jedno maleńkie mrugnięcie.

Dla niego wszystko sprowadzało się do jasnych włosów i czystego słońca. Po drugiej stronie ulicy stała jego kobieta. Oboje byli więźniami niewielkich powierzchni – ona w kuchni, on na dachu komisariatu. W tym mieście życie toczyło się na parterze, na ulicach i targach czy w drzwiach domostw i sklepów. A oni oboje, samotni tam, w górze, cieszyli się, że wreszcie mają towarzystwo. Dzięki temu nawet tak prozaiczne zajęcia, jak zamykanie podłogi czy pełnienie warty, stawały się ekscytujące.

Teraz, podczas zamykania, Nisrine starała się trzymać plecy prosto, świadoma, że Adel na nią patrzy. Wstawiała wcześniej, starannie poprawiała piżamę i chustę, żeby Adel zobaczył, jaka jest piękna, kiedy już zajrzy w nasze okno. Żeby ujrzał jej proste plecy i zręczne ramiona i pomyślał sobie, jak pełna jest gracji, nawet w trakcie zamykania. (Któregoś dnia może zobaczy ją z bliska, sam na sam – ta perspektywa trzymała ich przy życiu).

Adel obserwował ją, kiedy gotowała, sprzątała i zajmowała się dziećmi. Nie słyszał połowy z tego, co mówiła, nawet kiedy zwracała się do niego, z powodu jej silnego akcentu, a poza tym dzieliły ich przecież ulica i ogród. Ale doskonale ją rozumiał. Miał swoją służbę na dachu komisariatu i miał Nisrine, która nigdy go nie opuszczała. Wszystko, czego pragnął, było na wyciągnięcie ręki. Zawsze wiedział, gdzie może znaleźć swoją kobietę.



## BUTLE Z GAZEM

W następnym tygodniu obserwowałam, jak Nisrine powoli zapomina arabski. Nie pamiętała już słowa „patelnia”, teraz mówiła na nią „to gorące”. Za to pamiętała wszystko, co dotyczyło się romansu. Nazywała czajnik „słodkim śpiewakiem”, a szklanki „gwiazdami”.

Madame pokręciła głową.

– Zupełnie jakby cofała się w rozwoju. Słownictwo niczym u nastolatki. – Uniosła biały talerz. – Nisrine... Halo, Nisrine! Co to jest?

Nisrine nie mogła sobie przypomnieć.

– Czy to... księżyc w pełni?

Oczywiście, że byłam zazdrosna. Przecież to ja pierwsza zwróciłam na niego uwagę.

Wciąż pytałam: A co z twoim mężem?

Pytałam: Czy kochasz Adela? Czy w ogóle obchodzi cię, że to mnie pierwszej się spodobał?

Nisrine była dla mnie taka dobra. Wiedziała, że Adel mi się podoba, więc starała się mi to wynagrodzić ostrożnymi wyznaniem.

Teraz też podchwyciła moje spojrzenie nad stołem.

– Pytam go: Dlaczego mnie pokochałeś? Dlaczego właśnie ja? Są miliony kobiet, które byłyby lepsze dla ciebie. A on odpowiada: Nisrine, dlatego że gotujesz i sprzątasz, a poza tym widzę, jak dobrze zajmujesz się dziećmi. A wtedy ja mówię: Tak, potrafię gotować i sprzątać.

Kiedy tu przyjechałam, Nisrine zwierzyła mi się, że marzy o wielkim domu i restauracji. Miała słabość do mężczyzn, którzy chwalili jej kuchnię.

Lubimy, kiedy inni chwalą nas za rzeczy, które sami w sobie cenimy. Moją pasją były słowa i ich znaczenia. Pragnęłam być kochana za moją wiedzę i pomimo moich wiecznie rozczochranych włosów. Madame chciałaby być kochana za gładką skórę i kształtne ramiona.

Nisrine rzadko wychodziła z mieszkania. Kiedyś spryskiwałyśmy się jednym dezodorantem niczym perfumami, a w żartach to ona zawsze mnie szturchała: „Śmieję się, Beo, to tylko żarty, śmieję się”.

Teraz wskazywała za okno i pytała: „Dlaczego mnie pokochałeś?”. A jej policjant odpowiadał: „Dlatego że gotujesz i sprzątasz, a poza tym tak dobrze zajmujesz się dziećmi”, i te komplementy sprawiały jej radość.

Jej policjant.

Pytałam, co z jej obowiązkami.

Upominałam Dounię: Nie przebieraj się przy oknie, nigdy nie wiadomo, kto na ciebie patrzy.

I pytałam znowu: A co z twoim mężem?

Nisrine przycisnęła dłoń do piersi.

– Kocham go.

Ignorowałam ją przez cały lunch, a ona, kiwając na mnie, przypaliła chleb.

Nisrine podrzuciła mi liścik. Z jednej strony było parę słów od niej po angielsku, z drugiej – wiersz Adela.

„Bea, jesteś moją przyjaciółką. Proszę, pomóż mi. Chcę korzystać z twojego telefonu, żeby z nim porozmawiać. To dla mnie bardzo ważne. Jeśli chcesz mi pomóc, daj mi telefon. Tylko na minutkę, bardzo cię proszę”.

Kocham arabski język za jego elastyczność. Za to, że można nim pisać na dowolnej powierzchni – na szklanych miskach, płytach terakoty w meczecie, ziarenkach ryżu – i za to, że w przeciwieństwie do angielskiego wyrazy wcale nie muszą się w nim układać w prostą linię, by mieć znaczenie czy wyglądać pięknie. Znałam wszystkie dziewięćdziesiąt dziewięć arabskich słów na określenie miłości. Studiowałam je, na wypadek gdyby pojawiły się w zdumiewającym tekście. Znałam słowa „seplenić” i „błąd”. Znałam słowo *khyat*, oznaczające „szyć”, i *khyan*, czyli „zazdrość kochanka”.

Pragnęłam być tak elastyczna, jak język arabski, szczodra w każdym aspekcie życia. Ale nie mogłam się powstrzymać, żeby nie porównywać wierszy policjanta dla Nisrine do liścików, które sama otrzymywałam: informacji od madame, że zbliża się pora zapłaty czynszu, karteczki od Lemy z pytaniem, czy nie widziałam jej drewnianej szczotki, listu od Nisrine, Bea, proszę, pomóż.

Odpisałam:

„Ja też uważam cię za przyjaciółkę. Kochasz go? Obchodzi cię w ogóle, że to ja pierwsza zwróciłam na niego uwagę? Na ulicach panuje ostatnio istne szaleństwo. Pożyczę ci komórkę, ale bateria jest na wyczerpaniu”.

\*\*\*

Gaz dostarczano do mieszkania w okrągłych, pomalowanych na biało butlach. Jakiś mężczyzna rozwoził je na wózku zaprzężonym w osła. Zimą okrywał blaszane butle kocem, żeby je ogrzać, a latem po to, by osłonić je przed słońcem. Kiedy szedł ulicą, obwieszczał swoje przybycie przez megafon, żeby wszyscy o tym wiedzieli. Słyszałam

wcześniej rano, jak woła: „*bi-ismi Allahi ar-Rahmani ar-Rahim*”, zupełnie jakby się modlił, zamiast sprzedawać gaz. Dzięki temu madame wiedziała, że pora wyciągnąć opróżnione butle i posłać z nimi Abudiego, żeby wymienić je na pełne.

W domu madame dzieci i ja nie dotykaliśmy kuchni. Każda butla miała specjalny zawór bezpieczeństwa, który trzeba było odkręcić po wstawieniu butli do szafki, żeby móc gotować. Madame pokazała mi to wszystko tuż po moim przybyciu. Ostrożnie odkręciła zawór i go zakręciła, a potem ja powtórzyłam te same czynności. Ale i tak ani mnie, ani dzieciom nie wolno było dotykać kuchenki, mogli to robić tylko madame, *baba* albo Nisrine.

Nisrine stała przy kuchence z wierszem Adela w ręku, a ja podczytywałam go przez jej ramię.

Abudi był już dużym chłopcem. Sam nalał sobie herbaty, nie pytając nas o pozwolenie.

– Och, herbatka! – mruknął.

– Abudi, ty niegrzeczny chłopcze! – skarciła go Nisrine. – Myślisz, że masz palce równie mocne jak moje? Porozlewałś wodę, zawsze dokładasz mi pracy.

Abudi chciał uciec z kuchni, ale Nisrine zdążyła go złapać.

– Kiedy będziesz czegoś potrzebował, masz mnie o to poprosić.

– Wytrzymaj to, indozjko – powiedział nieskładnie.

Nisrine wskazała komisariat za oknem.

– Widzisz tego człowieka? On wie o wszystkim, co tu wyprawiasz. Kocha mnie. Zawsze wie, kiedy jesteś dla mnie niegrzeczny, obserwuje cię.

Abudi próbował się jej wyrwać.

Na to weszła madame.

– Nisrine, nie strasz go.

Abudi ciągle wił się w uścisku Nisrine. W końcu wyśliznął się z koszuli i przy okazji wpadł całym ciałem na mnie i na Nisrine, a wtedy wiersz wysunął się jej z ręki. Abudi uciekł i tym sposobem zostałyśmy w kuchni same: madame, Nisrine i ja, a między nami koszula Abudiego i karteczka na podłodze.

Madame podniosła papier. Z jednej strony był zachlapany herbatą, więc madame starannie go wytarła. Wcześniej nie zauważyła, która z nas go upuściła.

– Beo, czy to twoja kartka?

– Tak... Nie.

Kartka należała do Nisrine, ale nie zamierzałam jej wydać.

– Potrzebuję tego do nauki.

Madame uniosła brew. Kartka była odwrócona słowami: „Mojemu kwiatu, pąkowi jaśminu”.

– Uczysz się pisać wiersze, Beo?

– Żeby ćwiczyć słownictwo.

– Ach, żeby ćwiczyć słownictwo.

Madame zmierzyła nas obie spojrzeniem, a potem oddała mi kartkę i patrzyła uważnie, jak wkładam ją do segregatora, z którym chodziłam na zajęcia, między ćwiczenia z gramatyki.

– Wiesz, to stara sztuczka – dodała. – Ćwiczyć się w arabskim za pomocą poezji miłosnej. Twój korepetytor nie jest pierwszym, który na to wpadł. Mężczyźni ciągle powtarzają, że w arabskim istnieje dziewięćdziesiąt dziewięć słów na określenie miłości. Nie wierz im. To określenia na miłość do Boga, Allaha. Istnieje dziewięćdziesiąt dziewięć imion Allaha, a jego imię oznacza miłość. To coś zupełnie innego niż romanse.

Do kuchni weszła Lema. Rozmawiała przez telefon z koleżanką, która zakochała się w chłopcu chrześcijańskiego wyznania. Wsiadła z nim sama do samochodu i ufarbowała dla niego włosy, co znaczyło, że chłopak widział ją bez hidżabu. Po zakończeniu rozmowy Lema zaczęła się zastanawiać na głos, czy powinna powiedzieć o wszystkim matce przyjaciółki.

– Moim zdaniem nie – orzekłam. – Przyjaciółka ci zaufała, a miłość to sekret.

– Tę dziewczynę trzeba powstrzymać, zanim będzie za późno – obruszyła się madame.

– Może w końcu sama się odkocha – nie przestawałam się upierać. – A jeśli powiesz jej mamie, nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Matka zamknie ją w domu – wtrąciła Nisrine.

– Nie zamknie. – Madame rzuciła jej ostre spojrzenie. Potem popatrzyła twardo na mnie, zanim wreszcie przeniosła wzrok na córkę. – Może ja z nią porozmawiam? Przeprowadź ją tu, a ja jej wytłumaczę, że źle postępuje.

– Nie, nie mieszaj się do tego – zastrzegła Lema. Tyle że madame nie była w stanie trzymać się od całej sprawy z daleka.

Wieczorem piliśmy w salonie herbatę, a madame flirtowała z mężem. Kiedy poprosił ją o cukier, podała mu najmniejszy palec.

– Bea pisze wiersze na zajęcia – powiedziała, wpatrując się w Nisrine.

*Baba* uniósł brew.

– Pamiętasz historię Qaisa i Leili, Beo?

Oczywiście, że ją pamiętałam.

Ale *baba* i tak postanowił mi ją przypomnieć.

– Qais został wygnany na pustynię z powodu swoich miłosnych wierszy.

– To na zajęcia – broniłam się. – Żeby ćwiczyć słownictwo.

Abudi natychmiast zacytował:

– „Mojemu kwiatu, pąkowi jaśminu”.

– Uważaj, Beo – przestrzegł mnie *baba*. – Nauczyciele są jak byli skazańcy. Oni też rozmawiają z policją.

\*\*\*

Nisrine poczuła się zaniepokojona insynuacjami madame.

– Myślisz, że *mama* coś podejrzewa? – zapytała, marszcząc brwi.

Nie byłam pewna.

– Sądzisz, że nie będzie mnie już chciała?

Nadal odczuwałam zazdrość, ale i tak nie potrafiłam sobie wyobrazić, że ktoś

mógłby nie chcieć Nisrine.

Nisrine tymczasem pokręciła głową, wciąż pełna niepokoju.

– Nie będę mogła tu zostać, jeśli *mama* nie zechce mnie zatrzymać. Muszę ją przekonać.

– Na pewno zechce.

Tak jak nie mieściło mi się w głowie, że ktokolwiek mógłby nie chcieć Nisrine, tak nie potrafiłam sobie wyobrazić *madame* bez Nisrine. Moim zdaniem ta dziewczyna stanowiła nieodłączny element tego domu, podobnie jak książki *baby* i niebo nad naszym balkonem – jego częstkę, bliską memu sercu. Policjant tego nie zmienił.

Nisrine też miała powody, by zostać. Rodzinę, której wysyłała pieniądze, wymarzony dom, no i podpisany kontrakt.

Poza tym przecież to tylko jeden wiersz.

– Mój ojciec pracuje u obcych ludzi – powiedziała Nisrine. – Wszyscy w naszej rodzinie tak robią. Ale zawsze stawiamy sobie za punkt honoru, że pracujemy wyłącznie tam, gdzie jesteśmy chciani. Jesteśmy dobrymi pracownikami, więc zawsze nas chcą. Muszę po prostu bardziej się przyłożyć.

– *Mama* chce cię zatrzymać.

Ale rzeczywiście od tamtej pory *madame* zaczęła się nam uważnie przyglądać.

Bardzo przywiązałam się do Nisrine, która była taka dobra i honorowa. Dlatego właśnie postanowiłam, że ja też mocniej się postaram.

Ale nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły.

Wiatry wiejące z północy nad naszą niewielką górą przywiały do domu zmartwionego *babę*. Kolejni z jego przyjaciół zostali aresztowani. Nie mógł się już spotykać z innymi mężczyznami w pogrążonych w półmroku salonach. Po prostu nie pozostało ich wystarczająco wielu.

– Chyba mamy wśród nas kreta – orzekł *baba*. Miał na myśli donosiciela.

Dobrze wiedziałam, jak to jest z donosicielami. To z obawy przed nimi nie rozmawialiśmy z taksówkarzami czy kierowcami autobusów, bo ci ludzie też często przekazywali informacje policji.

*Madame* opowiadała, że jej matka o mało nie trafiła kiedyś do więzienia przez takiego człowieka. Szkołę się na sprzątaczkę pierwszych w tym kraju samolotów, ale zakochała się w mężczyźnie, który spijał z jej ust każde słowo. A potem powtarzał wszystko swoim przyjaciołom z policji. Okazało się, że niektóre z jej słów były bardzo niebezpieczne.

– I co się stało? – zapytałam.

– Zabrali ją na przesłuchanie, a kiedy jej ukochany dowiedział się, co zrobił, był tak załamany, że chciał umrzeć. Nie miał zamiaru na nią donosić. Koniec końców *mama* została wypuszczona, ale nigdy więcej się do niego nie odezwała.

Myślałam o tej historii i o tym, że tutaj mówienie mogło napytać człowiekowi biedy. *Baba* wraz z przyjaciółmi pisał proklamację z żądaniem przeprowadzenia wolnych wyborów, ale przecież nie mogli robić tego potajemnie, jeśli jeden z nich jest

donosicielem – poinformuje o wszystkim władze, zanim dokument zostanie ukończony. Wyobrażałam sobie, jak ogłaszają go drukiem – jeśli za mówienie o wyborach można było trafić do więzienia, to co mogło cię spotkać za pisanie o takich rzeczach?

Gdy zaczynałam się nad tym wszystkim zastanawiać, czułam lekki ucisk w piersi, zwłaszcza na myśl o *babie*, który robił to, co chciał, nie przejmując się zagrożeniem.

Tak jak madame i Lema, byłam z niego dumna, ale też bałam się o niego. Czułam dumę, że zaangażował się w stworzenie tak odważnego dokumentu, ale i przerażenie tym, co może to oznaczać dla niego i dla nas. Tak jak nie potrafiłam sobie wyobrazić życia bez Nisrine, tak nie wyobrażałam sobie tego domu bez *baby*.

A jednak w pewnym sensie *baba* też był informatorem – jako dawny więzień musiał rozmawiać z policjantami.

– Tak – powiedział, kiedy go o to zapytałam. – Ale wszyscy o tym wiedzą. Wiedzą, kiedy chodzę na te przesłuchania i co na nich mówię. Nie stanowią zagrożenia. Niebezpieczne jest to, czego nie wiemy.

– Co to znaczy?

– Czasami człowiek zostaje donosicielem, choć wcale tego nie chce, bo chlupnie coś przypadkiem w nieodpowiednim momencie albo przyjaźni się z kim nie trzeba.

Tak jak ukochany matki madame, który w swoim zaślepieniu miłością zdradził ją przypadkiem.

– To właśnie jest najgorsze w tym kraju, Beo – dodał *baba*. – Fakt, że uczciwy, dzielny człowiek nieświadomie może się stać donosicielem.

\*\*\*

Po tych wydarzeniach obie z Nisrine bardzo się starałyśmy przypodobać madame. Żadna z nas nie chciała zostać donosicielką. Nisrine każdego ranka zaplatała Dounii warkocze, śpiewając przy tym, a ja ścieliłam łóżka.

Na strychu nad kuchnią znajdowało się coś na kształt spiżarni, do której można się było dostać tylko po drabinie. Nisrine nie lubiła ciasnych pomieszczeń ani drabin, ale wdrapała się tam razem z madame, żeby pomóc w przeglądaniu słoików. Skulone w kucki, oddzielały oliwę od dżemu (a Nisrine mamrotała przy tym pod nosem: „U siebie nigdy nie będę miała strychu”).

Stałam na dole i odbierałam od nich słoiki, które od czasu do czasu mi podawały. Ręce Nisrine drżały, kiedy to robiła – tak źle się czuła w tej ciasnej klitce. Czasami jednak słyszałam z góry śmiech. Rozmawiały z madame o miłości.

– Kto był pani pierwszym chłopcem?

– Miałam trzynaście lat, a on mieszkał po sąsiedzku.

– Mój mąż jest kobieciarzem – wyznała Nisrine. – Za bardzo lubi kobiety. Kiedy wpadłam mu w oko, przyniósł mi koguta, żeby jego pianie przypominało mi o miłości ofiarodawcy. Całymi dniami siedziałam w domu z mamą i słuchałam. Wtedy wydawało mi się to takie romantyczne. A powinnam była wiedzieć, że z niego też jest taki kogucik.

– Kiedy Hassan zobaczył mnie po raz pierwszy, powiedział, że jestem jak wino – rzuciła madame. – Przyszedł przekazać mi złe wieści. Byłam porządną dziewczyną i nigdy nawet nie próbowałam wina. Ostatecznie wszechmocny Bóg zakazuje picia

alkoholu. Ale teraz chciałam go spróbować, skoro Hassan mnie do niego porównał. A po jakimś czasie doszłam do wniosku, że mogłabym pokochać Hassana tak, jak on kochał wino.

Po zejściu ze strychu Nistrine wysprzątała wszystkie szafki w kuchni, a potem wzięła drabinę i miotełkę, żeby omieść sufit. A jednak kiedy madame weszła do kuchni, drzwiczki zamrażarki były otwarte, a Nistrine stała z nosem przyciśniętym do okna.

– Na co tak patrzysz?

– Na rzekę.

– Rzeka jest w przeciwnym kierunku.

\*\*\*

Madame nie była jedyną osobą, która podejrzewała cudzoziemki o romanse.

Pod koniec tygodnia moja studencka legitymacja straciła ważność, wybrałam się więc do biblioteki, żeby wyrobić nową. W dyżurce przy wejściu przyjął mnie młody policjant.

– Nazwisko.

Podaliśmy mu swoje imię i nazwisko.

– Adres.

To też podałam.

Wtedy podniósł na mnie wzrok.

– To naprzeciwko komisariatu – zauważył.

– Tak.

Mężczyzna zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Podobno tamtejsi policjanci lubią cudzoziemki. Skąd dokładnie jesteś?

– Z Ameryki.

Pokiwał głową z uznaniem.

– Ameryka!

– Wydaje mi się, że pan się pomylił – powiedziałam. – Nie chodzi o mnie, policjantom wpadła w oko inna cudzoziemka.

Ale to go nie przekonało. Podstemplował moje dokumenty, a potem powiedział, żebym przyszła po nową legitymację za dwa tygodnie.

– Za dwa tygodnie? Nie można tego przyspieszyć?

Z uśmiechem pokręcił głową.

– Ameryka, masz wielbicieli w policji – rzucił. – Jeśli chcesz mieć dokumenty szybciej, poproś ich.

Próbowałam wyrzucić ze swojego serca jasnowłosego policjanta. Wciąż go wypatrywałam, a potem, gdy tylko go dostrzegłam, natychmiast odwracałam się plecami.

Kochałam Nistrine za jej śpiew, za determinację i żarty. Pracowałyśmy razem,

bardzo się starając, żeby madame była zadowolona i niczego nie podejrzewała, ale nadal zazdrościłam Nistrine jej łopatek – kiedy składała pranie, wyglądały niczym dwa całujące się ptaki.

A ona próbowała mnie w to wszystko włączyć.

Któregoś razu, kiedy stałyśmy przy oknie, chwyciła mnie za rękę.

– Pomachaj do niego, Beo. Na pewno ci odpowie.

Kiedy po raz pierwszy spotkałam Adela, usłyszałam, że jest prawdziwym Qaisem, czyli romantycznym kochankiem. Polubiłam go za to, zanim jeszcze go poznałam, zanim przeczytałam jego idealne wiersze i zrozumiałam, że on też kocha słowa i ich znaczenie, zupełnie jak ja.

A skoro Adel był Qaisem, Nistrine była Leilą. Kiedyś śniłam o tym, że sama nią jestem. Teraz miałam ją przed oczami, jej proste plecy, smukłą szyję. Nistrine była piękną Leilą, choć ona sama zdawała się nie dostrzegać własnej urody, była to dla niej rzecz tak naturalna jak wszystko inne – jej uśmiech czy myśli – a nie jedyna jej zaleta. To też mi się w niej podobało. Chciałam myśleć tak jak ona, nie zwracać uwagi na takie sprawy. Kiedy zacisnęła palce na moim ramieniu, żeby nakłonić mnie do pomachania Adelowi, pomyślałam, że mogłoby tak zostać już na zawsze.

Ale jednocześnie zastanawiałam się nad czymś – jeśli on jest Qaisem, a ona Leilą, to kim jestem ja?

Pomachaj do niego, Beo. Na pewno ci odpowie.

I rzeczywiście tak się stało.

Bo ona mu kazała.

Czekając na nową legitymację, rozmyślałam o rozmaitych bohaterach tej historii. Ojciec Leili – podejrzliwie traktował uczucie młodych kochanków. Świeżo poślubiony mąż Leili – był jej karą. Dla siebie nie potrafiłam znaleźć odpowiedniej roli.

Wybrałam się ponownie do Biblioteki Narodowej. Tym razem postanowiłam zapewnić sobie dostęp do niesamowitego tekstu za pomocą flirtu. Zupełnie jak Nistrine.

Za kontuarem siedzieli kobieta i mężczyzna. Skierowałam się od razu do niego. Miał długą brodę i białą szatę pobożnego uczonego, ale wcale się tym nie przejęłam.

– Czy mogę prosić o pewien tekst? – rzuciłam zalotnie, wypinając pierś.

Mężczyzna zerknął na mnie, a potem natychmiast spuścił wzrok i poszedł po koleżankę.

– W czym mogę pomóc? – zapytała bibliotekarka.

– Chcę przeczytać ten tekst – odparłam, po czym usłyszałam, że muszę poczekać w klatce. – Pani kolega był bardzo pomocny, właśnie miał mi go przynieść – próbowałam przekonywać.

Kobieta spojrzała na mężczyznę, który siedział z boku i nie odrywał oczu od ekranu komputera.

– Ten człowiek jest bogobojnym, oddanym mężem. Tutaj nie flirtujemy z żonatymi



mężczyznami.

Na następnych zajęciach z arabskiego okazało się, że Imad sprawił sobie bieżnię. Wymyślił, że obie z Marią będziemy ćwiczyły na tym urządzeniu i jednocześnie mówiły po arabsku. Żeby wszystko odbywało się w bardziej naturalny sposób – wyjaśnił. Żebyśmy nie zastanawiały się nad każdym słowem. Arabski czasownik określający używanie maszyny to „laub”, czyli „bawić się”. Od tamtej pory obie z Marią często mówiłyśmy na zajęciach, spływając potem: „Chcę się pobawić na tym urządzeniu”. „Chcę się pobawić na tym urządzeniu. A ty skończyłaś już się bawić ciężarkami, Mario?”. „Chciałam się pobawić na rowerze”. A pot spływał mi po plecach.

– Powiedz coś po arabsku, Beo – rzucił Imad. – Pierwszą rzecz, jaka przyjdzie ci do głowy. Powiedz to z odpowiednimi samogłoskami.

Ale ja myślałam tylko o tym, że chciałabym, żeby pewien policjant pisał dla mnie wiersze.

Przez telefon poskarżyłam się matce: Nistrine ciągle papla o swoim policjancie, jakbyśmy nie miały dość zmartwień z podejrzeniami madame, rewolucją *baby* i moimi studiami.

Pytałam wciąż od nowa: A co z twoim mężem? Aż w końcu Nistrine odwróciła się i powiedziała:

– Przestań, Bea.

Wreszcie pewnego ranka zbudził mnie dotyk jej dłoni na ramieniu.

– Bea, nie wiem, co robić. Kocham Adela, ale kocham też mojego synka, który został w ojczyźnie.

Na paluszkach ruszyłam za nią przez uspiony dom. Nistrine przypominała drżący promień słońca. Minęłyśmy salon, nie budząc śpiącego spokojnie *baby*. Minęłyśmy kuchnię, a potem Nistrine chwyciła mnie za rękę i wyciągnęła na balkon.

– W Indonezji też mieliśmy problemy, zupełnie tak jak tutaj. Zanim urodziłam synka, często zdarzały się burze, a drugi kraniec kraju nawiedziło tsunami. Byłam w bardzo zaawansowanej ciąży. Wicher uderzał w ściany naszego domku, słychać było, jak przewraca motocykle. Dużo wcześniej mój mąż zawiesił wokół domu mnóstwo wietrznych dzwoneczków. Zabraliśmy do środka wszystkie doniczki z kwiatami i rower, ale zapomnieliśmy o tych dzwoneczkach. Dzwoniły tak głośno, że nie mogliśmy spać przez całą noc, ale nikt nie miał ochoty wychodzić na ulewę, żeby je zdjąć. W środku nocy zerwaliśmy się z łóżka przerażeni. Drzewo zważyło się na nasz dom. Kiedy mąż otworzył drzwi sypialni, do środka wdarły się deszcz i masa liści. Ale dokąd mielibyśmy iść? Zamknęliśmy z powrotem drzwi i schowaliśmy się pod łóżkiem, na wypadek gdyby

przewróciło się kolejne drzewo. A potem już tylko nasłuchiwałam wiatru. Wicher był tuż za drzwiami, a my spędziliśmy tak resztę nocy. Dziecko czuło moje zdenerwowanie, bo całą noc wierciło mi się w brzuchu. Czułam jego kopniaki. Rano zobaczyliśmy rozmiary zniszczenia. Z kuchni, na którą spadło drzewo, rozciągał się widok aż po ocean. I taka ociężała, z dzieckiem w brzuchu, ruszyłam na przechadzkę. Mąż poszedł się dowiedzieć, czy będziemy mogli zatrzymać się u jego rodziny, zdobyć coś do jedzenia. Kiedy wrócił, ciągle krążyłam po okolicy. Wszystko tak się zmieniło, że z daleka go nie poznałam. Próbował mnie pocałować, ale spuściłam głowę, zupełnie jakbym spotkała go po raz pierwszy, więc cmoknął mnie w czubek głowy. Powiedział: „Tyle tu wody, nawet twoje włosy mają słony smak”. Potem przeprowadziliśmy się do rodziny męża. Zajmowałam się jego matką i ciotkami. To były starsze kobiety. Wszystkie dotykały mojego brzucha i mówiły, że skoro nasze dziecko przeżyło tę burzę, to już miało mnóstwo szczęścia. Oby było dobrym człowiekiem, modliłam się w duchu. I taki był – od momentu swoich narodzin. Ale mój mąż nie mógł znaleźć pracy, więc nie odbudował naszego domu, a pieniądze przetracił.

W porannym słońcu chodnikiem przetoczył się wózek. Zniknął nam z oczu za ogrodzeniem ogrodu.

– Bea, kocham Adela, ale tęsknię za mężem. On dał mi syna.

Nisrine była służącą o coraz większym sercu. Opuściła ukochanych bliskich, a teraz pracowała na nowy dom, który miał zastąpić ten zniszczony. Pracowała, by wysłać rodzinie pieniądze i budować nowe życie. A jednak żeby była tu szczęśliwa, musiała znaleźć coś, co mogłaby pokochać. By pracować dla jednej miłości, potrzebowała podekscytowania płynącego z innej.

Splotłyśmy ramiona na piersi i wychyliłyśmy się przez balustradę. Wiatr owiewający nasze twarze niósł zapach policjantów.

A potem zauważyłyśmy dłoń machającą do nas z dachu.

– To on! – krzyknęła Nisrine.

Dłoń zawisała w powietrzu wyczekująco. Nisrine powoli rozplotła ramiona, żeby pomachać w odpowiedzi, i wtedy ujrzałyśmy Adela w całej okazałości. Jego jasne włosy błysnęły w słońcu złotem, brązowe medale zalśniły mu na piersi.

Nisrine skorzystała z mojej komórki, żeby do niego zadzwonić.

– Porozmawiaj z nim, Beo.

– Nie wiem, co powiedzieć.

– Porozmawiaj z nim. On wie, jak bardzo cię kocham. Bo bardzo, bardzo cię kocham, wiesz?

– Halo? – powiedziałam.

– Cześć, Bea! Czy twój ojciec ma samochód? Bo mój ma taki jak ten, tylko zielony.

Ulicą pod nami przejeżdżało właśnie czerwone auto.

Nisrine wzięła ode mnie telefon.

– Cześć, *habibi*. Kochasz mnie?

Słyszałam jego głos po drugiej stronie.

– To piękne, kiedy kobieta ma takie wątpliwości.

Nisrine cmoknęła w słuchawkę.

– Do widzenia, na razie, pa. To telefon Bei. Pożegnaj się z nią, kochaj mnie, do zobaczenia.

– Twoja twarz lśni jak gwiazda. Jestem niczym otwarta księga. Pytaj, o co chcesz.

– Pa, to telefon Bei, kochaj mnie...

– Pa, Bea!

– Pa!

Nisrine się rozłączyła.

Wzięłam od niej telefon.

Adel uniósł rękę ku niebu.

Z wnętrza mieszkania dobiegły nas odgłosy świadczące o tym, że madame już wstała, więc czym prędzej wróciliśmy do kuchni. Przez okno widziałyśmy, że Adel nadal macha do nas z dachu.

Arabski jest językiem fonetycznym, a dzięki temu również bardzo ekonomicznym. Każde słowo składa się jedynie z niezbędnych liter. Moje imię składa się z dwóch dźwięków: B oraz E, więc w arabskim dostałam jedynie dwie litery, nie trzy, a w języku potocznym nie jest nawet imieniem, tylko przyimkiem oznaczającym „na”, „w” lub „wokół”.

Nisrine też pochodziła z zagranicy, ale jej imię było powszechniejsze od mojego, poza tym składało się z trzech dźwięków, więc nadal miała trzy litery, tak jak Arabowie, niezależnie od tego, czy pisała swoje imię po arabsku, angielsku czy indonezyjsku. Po arabsku można je było zapisać na dwa sposoby, ponieważ na dźwięk „sri” składały się dwie litery. Z miękkim „s” litery te tworzyły rdzeń słów „handel” lub „zakup”. Z bardziej gardłowym „s” rdzeń oznaczający „rozpoczynanie” albo „przeznaczenie”.

Czasami czułam się dokładnie taka jak moje imię – niczym niewiele znaczący łącznik. Miałam wrażenie, że nasze imiona tylko podkreślają różnicę między Nisrine a mną. W arabskim ona była jednocześnie rzeczownikiem i czasownikiem. Jej imię działało, było w ruchu, moje jedynie tkwiło pomiędzy innymi wyrazami.

Ale miłość ma w sobie pewną lekkość, nawet jeśli to nie twoje uczucie. We wspólnym machaniu kryje się poczucie koleżeństwa. Nisrine ujęła moją dłoń. Adel stał po jednej stronie ulicy, my po drugiej, machając i machając.

Nisrine opowiedziała mi kiedyś o słowie, które oznacza jednocześnie „służącą”, „bohaterkę” i „przenośny dom”.

– Za czasów mojego dzieciństwa, kiedy jakaś rodzina z sąsiedztwa chciała się przeprowadzić, zbierała się cała wioska i zwyczajnie przenosiła ich dom w nowe miejsce. Tak właśnie odbywała się u nas przeprowadzka. Po prostu zabierało się dom ze sobą.

Jej ostatni dom też był przenośny. Zbudowany przez jej braci, po jej ślubie stał się własnością także męża. Przenośny dom był niczym serce służącej czy bohaterki. Elastyczny, ale mocny, by wszędzie znaleźć dla siebie miejsce, niezależnie od okoliczności, ale też stanowiący schronienie dla tych, którzy na niego liczyli.

– Lubiałś w nim mieszkać?

– Oczywiście, Bea. Przecież to był mój dom.

Ten, który zniszczyło wywrócone drzewo, jeszcze przed narodzinami jej synka. Nisrine się uśmiechnęła.

– Przenośne domy są piękne, ale też trudne i staromodne. Kiedy przychodzi wichura, musi w nim siedzieć ze dwadzieścia osób, żeby się nie przewrócił. W oknach nie mieliśmy szyb, tylko drewniane okiennice, więc nocami do środka wpadało mnóstwo robactwa. Po powrocie zbuduję dom z betonu, z betonowymi fundamentami. Dzięki temu mój syn będzie miał w życiu coś stałego.

Coś stałego: beton, który nie ustąpi, nawet kiedy cała wioska spróbuje go podnieść.

Wychowałam się w domu o betonowych fundamentach, którego nie dałoby się ruszyć. Mieszkałam w nim całe swoje życie, a tak naprawdę od zawsze próbowałam się od tych betonowych fundamentów uwolnić. Przyjechałam tutaj, żeby poczuć coś innego, bo w domu nie czułam dość.

Mimo wszystko ucieszyłam się, że poznałam historię domu Nisrine. Dzięki temu znajome słowa zyskały nowe znaczenie.

Przenośny dom to taki, który zabierałeś ze sobą, który mieszkańcy twojej wioski po prostu przenosili w nowe miejsce.

Społeczność – ludzie, którzy nie zmuszają cię do zostania, ale pomagają ruszyć naprzód.

Dom – to, co zabierasz ze sobą, kiedy odchodzisz.

Popatrzyłam na Nisrine, wdzięczna, że ofiarowała mi te nowe znaczenia, nad którymi mogłam się teraz zastanawiać.

Obie z Nisrine byłyśmy obce w tym mieście i obie miałyśmy marzenia. Ona marzyła o domu, ja o moim tekście. Cieszyłam się, że znam jej marzenia. I że nie muszę marzyć sama.

A Adel nadal machał z dachu. Nisrine westchnęła, a potem z uśmiechem pomachała do niego.

– Allah mi go zesłał, Bea. Wiedział, że nikogo tu nie mam, że jestem zupełnie sama.

– Chociaż miała przecież mnie, machającą razem z nią ramię w ramię. – To dar od Boga.

\*\*\*

Tego wieczora ponownie przeczytałam historię Qaisa i Leili, szukając w niej pozytywnych bohaterów. Nisrine mnie na tym przyłapała.

– Co robisz, Bea?

Takie głupstwo.

– Nic, czytam sobie.

Ale Nisrine uważnie śledziła każdy ruch mojego palca, zatrzymującego się nad postaciami matki Leili, jej sióstr.

A potem zapytała:

– Słyszałaś o pasterzu?

Słyszałam. Pomógł znaleźć wodę wygnanemu na pustynię Qaisowi.

– Ten człowiek zrobił znacznie więcej – powiedziała Nisrine. – Zaopiekował się Qaisem, został jego przyjacielem. Niektórzy twierdzą, że to on ocalił wiersze Qaisa i uczynił je nieśmiertelnymi.

– Naprawdę?

– Tak, poczytaj o tym.

Strażnik wierszy. Ale to nadal nie to samo, co być Leilą. Mimo wszystko.

– Może rzeczywiście tak zrobię.

## NIEPOKOJE

W wieczorną ciszę wdarły się strzały. Wszyscy podskoczyliśmy jak oparzeni, a *baba* rzucił się do okna. W ciemnościach niczego nie dostrzegł, więc otworzył drzwi na długi, pozbawiony okien korytarz. Sąsiedzi też wyglądali ze swoich mieszkań. Wszyscy staliśmy w drzwiach i rozmawialiśmy o tym, czy strzały te oznaczają, że na mieście doszło do antyrządowych protestów. Krążyły pogłoski o ewentualnym zamachu stanu.

Madame zagoniła nas wszystkich do salonu, a potem nastawiła wodę na herbatę. W radiu nic nie mówili o strzałach, puszczali za to audycję o życiu i czasach sławnego poety.

– Pójdę się rozejrzeć – powiedział *baba*.

– Na dwór? – zaniepokoiła się madame. – Zostań z nami, Hassanie. Ciemno, i tak niczego nie zobaczysz.

Ale *baba* już rozglądał się za swoimi okularami, sprawdzał na kanapie i przy stole świeżo oprawionych książek.

Madame westchnęła.

– Jesteśmy takimi tchórzami – powiedziała. – Wszyscy słyszeli strzały, ale nikt nawet nie wyszedł na balkon, żeby to sprawdzić. Po prostu stoimy na korytarzu, skąd nic nie widać, bo tam przynajmniej policja nie może nas dopaść. Ale nie Hassan. Tylko on jest wystarczająco uparty, żeby wyjść w takiej chwili na zewnątrz. Sąsiedzi dopytują jedynie, co się stało, ale nikt nie ma odwagi wyściubić nosa za drzwi.

Następnego dnia odbyły się kolejne prorządowe manifestacje. I to z samego rana. Tyle że tym razem zjawilo się na nich znacznie mniej osób. Nie wolno nam było rozmawiać o polityce przy Dounii – uczniowie powtarzali w szkole rewelacje zasłyszane w domu, a ich rodzice trafiali do więzienia. Chociaż i tak bez trudu można było się zorientować, po której stronie opowiadają się rodzice uczniów, podczas zabawy dzieci w przeciąganie liny: po jednej stronie stali zwolennicy prezydenta, po drugiej – zwolennicy demokracji.

Na następnej lekcji u Imada obie z Marią pojawiłyśmy się wcześniej. Na popołudnie zaplanowano kolejne prorządowe demonstracje i trasy autobusów znów miały zostać zmienione, a my nie chciałyśmy znaleźć się w takim, który akurat wiezie manifestujących ludzi.

Podczas zajęć Maria była wyjątkowo nadąsana i nie chciała ćwiczyć. Bez słowa obserwowała tylko, jak oboje z Imadem pedałujemy na rowerku czy robimy brzuszki.

– Brakuje mi Starbucksa – powiedziała w końcu. – A tobie, Beo? Pączków też. No i Benettona. Marzę o tym, żeby wejść do klimatyzowanego centrum handlowego ze świadomością, że będą tam mieli sklep Benettona.

– Z samogłoskami, Mario – upomniał ją Imad. – Powtórz to z odpowiednimi samogłoskami.

Ale dziś Maria nie była zainteresowana nauką wymowy. Dzisiaj obchodziły ją nocne strzały i racjonowanie benzyny, bo to z ich powodu miała dość tego kraju.

Ciągle musiała wydmuchiwać nos, więc Imad co rusz przerywał ćwiczenia, żeby podać jej chusteczki. Jego ramię mijało moje ucho o centymetry.

Po pewnym czasie Maria uznała, że nie ma głowy do nauki, jest za bardzo rozkojarzona, sięgnęła więc po torebkę, żeby wyjść, zanim zaczną się demonstracje.

Ja też ledwie wytrzymałam, choć nie przerywałam ćwiczeń. Było mi jednak ciężko. Nie mogłam przestać myśleć o nocnych strzałach, o Nistrine i o amerykańskiej kawie z ekspresu.

Imad odprowadził Marię do wyjścia, a kiedy wrócił, wręczył mi chusteczkę.

– Masz podpuchnięte oczy – powiedział.

– Naprawdę? Dziwne! To pewnie jakaś alergia.

Podeszłam do lustra, żeby przyjrzeć się swojej twarzy, a Imad podążył za mną. W lustrze odbijało się jego mieszkanie. Wyłącznie proste linie i puste przestrzenie, bo Imad mieszkał sam. Zupełnie inaczej niż u madame. Tam aż się roiło od miękkich kanap w pokrowcach w kwiatowe wzory, od haftowanych tkanin na ścianach.

– Wszystko w porządku, Beo? – zapytał Imad.

– Oczywiście.

Przyjechałam tu, żeby się uczyć. Na ulicach strzelali, *baba* pewnie podpisze proklamację z żądaniem przeprowadzenia wolnych wyborów, wciąż nie miałam dostępu do niesamowitego tekstu, ale przecież jestem tu po to, żeby się uczyć.

Za oknem zaczęli się gromadzić ludzie. Imad włączył radio, żeby zagłuszyć odgłosy dobiegające z ulicy, ale ze względu na manifestację wszędzie nadawali piosenki ludowe. Zdażyłam do tego przywyknąć.

Imad nie zdołał znaleźć żadnej dobrej stacji, więc wyłączył radio.

– Może po prostu ci zaśpiewam – zaproponował. – Znasz *Warde*, Beo?

Nie znałam.

– A *Umm Kulsum*?

Wszyscy ją znali. Więc Imad zaśpiewał mi jej piosenkę.

– „Pytam cię, co pocznę, jeśli mnie porzucisz? Odpowiadasz: pokochaj innego. Ale zdołam pokochać innego, tylko jeśli będzie wyglądał tak jak ty. Mogę kochać dwóch mężczyzn, tylko jeśli będzie was dwóch”.

Jego głos brzmiał cicho i miękko niczym szum lasu odległego od miasta. Właśnie dlatego pokochałam jego głos, tak jak kochałam spokojną, rozległą przestrzeń na tyłach domu. Mieszkanie madame miało okna tylko od frontu.

Imad skończył śpiewać i podszedł do okna.

– Mam nadzieję, że wkrótce zacznie padać. Lubisz deszcz, Beo? Tutaj go uwielbiamy. Deszcz jest jak niebieskie oczy – to coś naprawdę wyjątkowego.

– Dawniej mama też mi śpiewała – wyznałam.

– Więc potraktuj mnie jak swoją mamę. Chcesz wiedzieć, co śpiewam mojej mamie? „Będzie ze mną już na zawsze, moja kobieta...”.

Pieśń okazała się nacjonalistyczna, bo kobieta była metaforą ojczyzny. Całość brzmiała zupełnie jak hymn narodowy. Potem Imad zaśpiewał mi jeszcze piosenkę o mężczyźnie uwięzionym na Wzgórzach Golan, który uczynił z własnego ciała czyste płótno, by pisać na nim o miłości. O swojej miłości. Natychmiast pomyślałam o niesamowitym tekście, który miał moc poruszania serc nawet uczonych i wiekowych mężczyzn. Wciąż czułam, że muszę go przeczytać. Nie ustawałam w próbach zdobycia go, ale kolejne dni mijały, a ja tylko się uczyłam i uczyłam, podczas gdy moja determinacja przybierała na sile, zamieniała się w coś na kształt uporczywego ćmienia gdzieś w głębi serca, gdzie kryli się też Nisrine i Adel.

– Znasz może jakieś dowcipy, Beo? – zapytał Imad. – Przy żartach czas szybciej nam zleci, dopóki manifestacje się nie skończą.

Znałam. Ale głównie antyrządowe, które *baba* opowiadał przyjaciołom. Raczej nie mogłam ich powtórzyć, nawet Imadowi.

Opowiedziałam mu więc angielski dowcip:

– Co mówi zakatarzona dziewczyna do zakatarzonego chłopaka? – Imad nie wiedział, więc odpowiedziałam sama: – Kicham cię.

Rozbawiony, postanowił mi się zrewanżować:

– Pewien mężczyzna jeszcze nigdy nie spał z kobietą, więc przyjaciele zaproponowali, że znajdą mu dziewczynę. I rzeczywiście znaleźli mu fajnego kociaka – tak potocznie mówi się u nas na dziewczyny – a potem zostawili tych dwoje razem. Kobieta pyta go: „Co mogę dla ciebie zrobić?”, a on prosi o kawę. Więc ona robi mu kawę i znów pyta: „Czy mogłabym dla ciebie zrobić coś jeszcze?”, a on odpowiada: „Chętnie zjadłbym kolację”. Więc kobieta przygotowuje mu kolację i pyta: „Czy mogłabym zrobić dla ciebie coś jeszcze?”, a on odpowiada: „Raczej nie”. Ona mówi: „W porządku”, a wtedy on pyta: „Kim jesteś?”. „Jestem kociakiem”, odpowiada kobieta, a on stwierdza: „A ja osłem”.

Imad roześmiał się bardzo głośno z własnego dowcipu i poprosił, żebym opowiedziała mu jeszcze jakiś. Kiedy zastanawiałam się, jaki byłby odpowiedni, zaczął mi śpiewać kolejną piosenkę Umm Kulsum:

– „Kocham cię Leila i Nahari (noc i dzień)”.

Leila to po arabsku „noc”.

Rozmyślałam nad tym i nad dwuznacznym żartem, który opowiedział mi Imad. Qais i Leila nigdy się nie pocałowali, bo nie mieli okazji; ich miłość pozostała platoniczna. A potem uświadomiłam sobie, że Nisrine i Adel pewnie też się nie całowali. Przesyłali sobie pocałunki, takie wymyślane, ale czy brakowało im tych prawdziwych?

Przez cały czas marzyłam o takiej miłości, jaka ich połączyła.

Pod oknami przechodziła manifestacja. Za demonstrantami podążał człowiek ze stadkiem kóz, ale policjanci kazali mu zejść na bok. Po chwili pochłonęło go brzydkie, betonowe miasto.

– Gdzie uciekłaś, Beo? – zapytał Imad. – Do Ameryki i z powrotem?

– Nie, słuchałam uważnie.

Więc zaśpiewał mi kolejną piosenkę. Śpiewał, podczas gdy manifestanci niknęli w oddali. Miasto pnące się na szczyt wzgórza – równie brzydkiego jak ono – pustoszało,



a tymczasem pokój wypełniał głos Imada. Uświadomiłam sobie, że śpiewał mi, dopóki manifestacja się nie skończyła. Miał taki piękny głos.

Kiedy w końcu mogłam wrócić do domu, Imad w drzwiach ucałował mnie jeszcze w oba policzki, tak jak to robią Francuzi, chociaż żadne z nas nie pochodziło z Francji.

– Cieszę się, że przyszłaś.

– A co innego miałabym robić?

– Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, jak bardzo się cieszę.

\*\*\*

Imad zaśpiewał mi też piosenkę o więźniu, który pisze o swojej miłości na własnej nagiej piersi. Nie ma papieru ani pióra, żeby poruszyć serce ukochanej, pozostały mu jedynie wyobraźnia, wspomnienia i własne ramiona. Czyni więc samego siebie tekstem.

Tego wieczora Adel zaczął uczyć Nisrine pisać po arabsku, ale ponieważ znajdował się daleko, poprosił mnie o pomoc.

– *Ayn* – zawołał do mnie, na balkon, z dachu komisariatu, a ja narysowałam stosowną literę. Długi owalny kształt z lekko zakrzywionym czubkiem.

– To ty? – zapytała Nisrine. – Twoja litera?

Imię Adel zaczynało się właśnie od *ayn*.

– Tak – odparł.

Przesunęła opuszką po literze, starając się ją zapamiętać, zatrzymała palec na dłużej na wygiętej części, potarła zawijas. A potem nagle zażartowała:

– Też masz takie krągłości? Kobiety je lubią.

Pomyślałam o pocałunkach, a potem o Qaisie i Leili.

Za naszymi plecami słońce schodziło już za horyzont. Twarz Adela poczerwieniała jak ono.

Czasami nadal czułam go niczym arak.

Obie z Nisrine parsknęłyśmy śmiechem.

Nisrine ciągle się starała, a ja jej w tym pomagałam.

Kiedy wróciliśmy z balkonu do mieszkania, madame stała w kuchni. Wcześniej jej nie zauważyłyśmy.

– Herbata się zagotowała – mruknęła. – A was nigdzie nie widać.

– Zamiatalam.

Madame nie odpowiedziała.

Nisrine sięgnęła po imbryk, wyrzuciła wygotowane liście i zabrała się do przygotowywania świeżej herbaty. Nucila przy tym piosenkę po angielsku.

– To piosenka o miłości – zauważyła madame. – Znam ją z radia.

Wszystkie puszczane w radiu piosenki były o miłości. Ale madame tak tego nie

postrzegają.

Czasami próby wsparcia Nisrine psuły moje relacje z madame. Któregoś dnia przy śniadaniu *baba* dotknął mojego policzka.

– Beo, zrobił ci się pryszcz.

– Bea je za dużo czekolady – orzekła madame. – Dlatego ma pryszcz. – Tutaj jadałam czekoladę naprawdę rzadko. Ale nie mówiliśmy przecież o pryszczach. – Powinna być mądrzejsza – dodała madame. – Prawda, Beo?

Przez jakiś czas Nisrine starała się trzymać z dala od Adela. Czasami odwracała się do niego plecami, tak jak robił to on, kiedy martwił się reprimendą ojca.

Teraz starałam się zadowolić zarówno Nisrine, jak i madame – pomóc Nisrine, a jednocześnie zachować dystans.

Mimo wszystko:

Nisrine wyszła na balkon wczesnym rankiem o umówionej porze, a on już czekał na dachu. Na jej widok natychmiast rozpromienił się w uśmiechu. Stali po dwóch stronach ulicy, jak zawieszeni nad przepaścią.

Podniosłam wzrok znad książek i zobaczyłam, że chwytają w powietrzu swoją miłość. Długie ramiona Nisrine, kiedy do niego wołała. Linia jej szyi, która przywodziła na myśl krzywiznę arabskiej litery *yeh* z mojego podręcznika.

Adel rozłożył ramiona, odsłonił przed nią oczy. Chociaż nie rozmawiałam z nim o tym, wiem, że to były dla niego piękne dni. Jego wiersze mi to zdradziły. Kiedy Nisrine zażartowała na temat kształtu litery *ayn*, jej słowa zapadły mu w serce.

Ich miłość zawsze była miłością na odległość. Nisrine nauczyła go cenić piękno dwojga oczu, tylko czekających na to, by je przyjąć.

A on patrzył na chustę, miękko otulającą jej twarz. A gdybym to ja był tym skrawkiem materiału? – pytał w myślach. Gdybym mieszkał w którejś z tych fałdek przy jej policzku, gdzie zawsze mógłbym dosięgnąć jej szyi, pieścić skórę?

Czasami Nisrine wychodziła do niego poważna, a czasem w żartobliwym nastroju.

– Uciekniesz ze mną? – wołała na przykład, a on wiedział, że to taka gra.

Przymykał oczy, żeby wyobrazić sobie, jak razem uciekają. Głuche stuknięcie o beton, jej lekko kołyszące się piersi, dotyk jej dłoni na jego ramieniu niczym muśnięcie jedwabiu.

Musiał jednak myśleć o kimś jeszcze – o swoim ojcu. Wciąż nie powiedział rodzicom o Nisrine. To jego milczenie stało pomiędzy nimi tak jak mąż Nisrine. Oboje

mieli powody, które uniemożliwiały im wspólną ucieczkę. A jednak chętnie wracali do tej myśli.

– Kiedy tylko zechcesz, kochanie.

– A pieniądze?

– Zarobimy na ropie. Znasz jakieś amerykańskie koncerny paliwowe? Bo mam takiego kuzyna...

Tam, na dachu, zrobiłby dla niej wszystko. Oddawał jej swoją pierś, swoje usta – dotykając ich po kolei.

– Chcesz mojej duszy? – Przycisnął dłoń do szyi. – Wszystko, czego zapragniesz, należy do ciebie – dodał, wykonując taki ruch, jakby chciał poderżnąć sobie gardło i wyrwać z siebie duszę. – Przypomniały mu się słowa ojca: „Jesteś synem mężczyzny”.

– Kiedy będzie ci smutno, Nisrine, idź nad rzekę. Popatrz na wodę i pomyśl sobie: byłam kochana przez mężczyznę.

A Nisrine?

Teraz rano często budził mnie dotyk jej dłoni na ramieniu.

– Bea, jestem taka zakochana. Kocham Adela, ale kocham też synka i męża, którzy zostali w Indonezji.

A potem znów po cichu wykradałyśmy się na balkon. Nisrine ścisnęła w kieszeni moją komórkę. Przed nami rozciągało się niebo rozświetlone pierwszym brzaskiem, mgła spowijała miasto niczym zwoje koronki.

Nisrine miała własne zmartwienia. Kochała męża i syna. Musiała powiększyć swoje serce na tyle, by pragnąć tu zostać, a teraz na dodatek bała się o to, czy madame będzie chciała ją zatrzymać. Nie mogła stracić pracy, to było jej źródło utrzymania. Nie mogła stracić pracy, bo to stanowiłoby plamę na jej honorze: ostatecznie członkowie jej rodziny zawsze pracowali tylko tam, gdzie ktoś ich chciał. A poza tym nadal musiała oszczędzać pieniądze, by odbudować dom.

Ponieważ i dla mnie, i dla niej arabski był obcym językiem, nie dostrzegałam jej akcentu ani błędów, które robiła, zwłaszcza gdy mówiła o miłości lub jedzeniu – bo w obu tych dziedzinach dysponowała bogatym słownictwem.

Angielski znałam jednak lepiej od niej, w odróżnieniu od arabskiego, więc natychmiast zwracałam uwagę, kiedy przedstawiała sztywny wyraz w zdaniu albo zamiast użyć przymiotnika, dla emfazy powtarzała jakieś słowo.

– Kocham Adela, ale bardzo kocham też męża i synka w Indonezji.

Wyczulona na takie drobiazgi, z czasem zauważyłam lekką zmianę w jej sposobie mówienia. Teraz nie mówiła już „kocham go, ale...”. Teraz było to raczej „kocham go i...”.

– Kocham Adela i kocham synka i męża. – A potem dodawała: – Kocham ich i modłę się za nich, a oni kochają mnie.

\*\*\*

Poczytałam trochę o pasterzu.

Na pustyni Qais spotkał wielu podobnych mu tułaczy. Natknął się też na pasterza, który ulitował się nad nim i pomógł mu znaleźć wodę. Qais recytował mu swoje wiersze,

aż wreszcie obaj mężczyźni się zaprzyjaźnili. I tak Qais resztę swoich dni – zakochany w Leili – spędził u boku pasterza, tak że w pewnym sensie (choć nie tak jak w przypadku mnie, Nisrine i Adela) była to historia miłosna całej trójki: stęskniony kochanek, utracona ukochana i pasterz, słuchający bez końca, jak Qais woła Leilę, podczas gdy on zajmuje się owcami.

Przed moją następną lekcją arabskiego madame kazała dzieciom ubrać się do wyjścia, a potem wszyscy wybraliśmy się do sklepu przy naszej ulicy, gdzie przekłułam sobie uszy. Madame wybrała sztyfciki z niebieskimi kamykami, żeby pasowały do moich oczu. Dzieci wystroiły się odświętnie, jakby to było jakieś wielkie wydarzenie. Stały wokół i patrzyły, jak sprzedawca chwyta płatek mojego ucha i przykłada specjalny pistolet do robienia dziurek. Po założeniu kolczyków wtarł mi jeszcze w skórę trochę oliwy z oliwek. Madame z zadowoleniem pokiwała głową.

– Widzisz, Beo, wreszcie jesteś kobietą.

– Nauczyciel Bei nie rozpozna jej w tych kolczykach – orzekła Lema.

Nadal myślałam w ten sposób raczej o Adelu niż o Imadzie. Ale i tak powiedziałam:

– Na pewno rozpozna.

Madame zgodziła się jednak z Lemą:

– Nie, wcześniej byłaś jak książka, bo nie używaś żadnego makijażu. A ludzie nie mogą kochać książek, Beo. Ludzie kochają kobiety.

W drodze powrotnej zauważyliśmy na balkonie Nisrine. Wyciągała rękę do nieba, jakby próbowała go dotknąć.

– Co ona wyprawia? – zdziwiła się madame.

Wtedy Nisrine narysowała w powietrzu serce.

– Może wiesz pranie?

– Nie ma kosza z praniem.

## ZAPACHY

Po południu siedziałam w salonie, czytając i podjadając czekoladki, które Dounia ciągle mi podsuwała. Grałyśmy w pewną grę. Dounia miała na sobie koszulę i kapelusz, który opadał jej na oczy – odgrywała kelnerkę, podczas gdy ja wcielałam się w rolę gości zatłoczonej restauracji. Dounia zapisywała imiona klientów, którzy mieli ochotę na kawałek czekolady, a ja jednocześnie próbowałam się uczyć.

W powietrzu czuć było gaz. Otworzyłam okna, ale nadal cuchnęło.

Madame wyszła z sypialni, gdzie smarowała sobie twarz kremem i słuchała w radiu wiadomości o manifestacjach.

– To ona – powiedziała, mając na myśli Nisrine. – Ona nie zakreśliła gazu.

Nie zauważyłyśmy nawet, kiedy intensywny odór rozszedł się po całym mieszkaniu. Teraz czuć go było już wszędzie. Nawet miękki dywan i ciężkie zasłony zdawały się nim przesiąknięte.

Madame poszła do kuchni, gdzie krzątała się Nisrine. Tutaj zapach gazu był jeszcze bardziej intensywny.

– Próbujesz nas zabić – oburzyła się. – Czy za to ci płacę?

Dounia przerwała zabawę, a potem obie siedziałyśmy w salonie z naszymi czekoladkami i książkami, bacznie nasłuchując. Wstrzymałyśmy nawet oddech. Staraliśmy się nie umrzeć od gazu i wściekłości madame. Potem rozległy się jakieś krzyki, łomoty, aż wreszcie madame wróciła do salonu. Podobno smród gazu w kuchni był tak silny, że zbierało się jej na mdłości.

– Ona ma siano w głowie, Beo – orzekła. – W ogóle nie myśli!

Obie z Dounią tkwiłyśmy bez ruchu pośród książek i czekoladek. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że cała ta sprawa z gazem to wypadek. Nisrine tak bardzo się starała zadowolić madame. Z pewnością nie zostawiła odkręconego gazu celowo, jeszcze wszystko można było naprawić.

– To na pewno niechcący – powiedziałam.

Ale madame nie słuchała.

– Sama widzisz, dlaczego nie wychodzę z domu. Przecież ona mogła nas zabić.

– Czy Nisrine nic się nie stało?

– A co mnie to obchodzi? Mogła zabić moje dzieci.

Przez chwilę wszystkie trzy milczałyśmy, rozmyślając o ludziach, którzy mogli zginąć przez to niedopatrzanie.

Ale przecież chodziło o Nisrine.

– To na pewno niechcący – powtórzyłam.

Nisrine pojawiła się w salonie. Próbowwała zrzucić winę na Abudiego, ale on nawet nie zbliżał się do kuchenki. Włączyła gaz, żeby nastawić herbatę, a potem poszła powiesić pranie. Kiedy wróciła, płomień się nie palił, ale gaz nadal był odkręcony. Teraz

zapewniała żarliwie, że bardzo jej przykro.

– Niedobrze, niedobrze – powiedziała, mając na myśli swoje zachowanie i próbę obarczenia winą Abudiego. – To już się nie powtórzy, *mama*. Obiecuję.

Ale madame nie słuchała.

– Przecież ma już dwadzieścia trzy lata, Beo, dwadzieścia trzy – żołądkowała się dalej, jakby Nisrine wcale nie stała obok nas. – Naprawdę powinna być mądrzejsza.

Nisrine nie broniła się już więcej, mrużyła tylko zaczerwienione od gazu oczy.

– I jeszcze te oczy, te oczy. Nie podoba mi się to. Patrzy na człowieka jak wariatka. Boże, te oczy!

Nisrine słuchała tego wszystkiego z kamienną twarzą, a potem, po chwili wahania, wróciła do kuchni.

– Ona przestała mi się podobać – dodała madame. – Chcę inną służącą.

Wstałam, żeby pójść za Nisrine, ale madame chwyciła mnie za rękę.

– Zostań ze mną, Beo.

Posłała Dounię, żeby sprawdziła, czy Nisrine wzięła się do mycia podłogi.

– Dounia, idź zobacz, co robi ta dziewczyna. Ja nie mogę na nią patrzeć.

Gaz rozszedł się po całym mieszkaniu, wgrzył się w meble i afgańskie dywany. Wniknął w zawieszoną na ścianie makatkę: „Boże, chroń ten dom”. Sącył się z wilgotnej łazienki. Utrzymywał się w szafach, wśród świeżo upranych poszewek. „Ta dziewczyna mogła nas zabić”.

Ale przecież chodziło o Nisrine. To był wypadek, który mógł się przytrafić każdemu.

Na balkonie Nisrine rysowała serca w powietrzu, a madame ją na tym przyłapała.

„Mogła nas zabić”, zdawał się szeptać gaz.

Zanim *baba* wrócił z pracy, Nisrine zdążyła się spakować. Dzieci i ja jeszcze nie spaliśmy, więc madame zagoniła nas wszystkich do samochodu, w którym czekał *baba*. Nisrine wcisnęła się na siedzenie obok mnie, a Dounia umościła się na kolanach Lemy. Na ulicy zrobił się korek.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, ale Nisrine milczała.

Nie odzywała się przez cały dzień, odkąd madame powiedziała, że chce nową służącą. Zastanawiałam się gorączkowo, jak ratować sytuację. Sugerowałam, że wcale nie chcemy nowej służącej. Ale ani Nisrine, ani madame nie słuchały.

Siedzieliśmy w aucie bez słowa, dopóki Abudi nie przypomniał sobie, że miał dziś umówioną wizytę u dentysty w celu poprawienia aparatu ortodontycznego. Zapomnieliśmy go zawieźć! Zapanowało straszne poruszenie, bo wszyscy zaczęli się wzajemnie obwiniać o to zaniedbanie.

– Teraz sobie o tym przypomniałeś? Teraz?

– Co z ciebie za matka?

– Abudi *kareem*, przecież masz komórkę. Zapisuj sobie przypomnienia.

Nisrine wciąż siedziała bez słowa, z zaciętą miną. Samochody bardzo powoli posuwały się do przodu. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się u celu, *baba* zaparkował na drugiego, a potem oboje z *madame* wysiedli.

– Nie martw się o swoje rzeczy, Nisrine – powiedziała *madame*. – Jutro ci je przywiozę. Zabierz tylko piżamę, żebyś miała w czym spać.

Nisrine nawet nie drgnęła.

– Dokąd teraz pójdzie? – zapytałam.

– Pospiesz się, Nisrine – popędziła *madame*.

*Baba* otworzył tylne drzwiczki, żeby Nisrine mogła wysiąść. Sięgnął po jej walizkę, a potem ostrożnie zamknął za nią drzwi.

– Jesteś dla mnie jak ojciec – wyznała Nisrine.

– Zostańcie tutaj – przykazał nam *baba*. – Bea, pilnuj ich.

Upewnił się jeszcze, że drzwiczki są zamknięte od zewnątrz.

– Kocham twoje dzieci jak własne – dodała Nisrine.

Patrzyliśmy przez tylną szybę, jak odchodzą. Żadne z nas nie miało pojęcia, co teraz się stanie z Nisrine. Czy jeszcze wróci. W jednej chwili jedliśmy czekoladki w salonie, a w następnej znaleźliśmy się tutaj. To wszystko wydarzyło się tak nieoczekiwanie.

Patrzyliśmy, jak Nisrine idzie między *madame* a *babą*, uczesana w ten swój koczek. Była bardzo silna, zwykle sama nosiła wielkie gary z gotowanym mięsem, ale teraz niemal się ugiwała pod ciężarem małej walizki. W połowie drogi *baba* przystanął i próbował wziąć od niej bagaż, ale mu nie pozwoliła.

Lema zaczęła się wiercić nerwowo. Włosy ciągle wymykały się jej spod chusty.

– Pomóż mi z tymi włosami – poprosiła siostrę.

Dounia wetknęła jej koniec kucyka pod bluzkę, ani na moment nie odrywając oczu od sceny rozgrywającej się za oknem.

– Nie tak – mruknęła Lema, odpychając jej dłoń. – Głupia.

Potem zdjęła płaszcz i zarzuciła go na głowę, żeby w ukryciu poprawić sobie chustę. Dounia popukała ją w ramię.

– Lema, już?

– Daj mi spokój!

Dounia i Abudi zgodnie pacnęli w płaszcz.

– Lema, już?!

– Och, ależ wy jesteście głupi!

Ja w tym czasie targowałam się w myślach. Wszystkie arabskie słowa, które znam, w zamian za powrót Nisrine. Bo cóż tak naprawdę znaczą słowa? Można się ich nauczyć od nowa. Za to Nisrine jest wyjątkowa.

Lema wysunęła głowę spod płaszcza. Chusta wyglądała dokładnie tak samo jak przedtem, tyle że nie wystawały już spod niej włosy.

Dotąd to Nisrine zawsze poprawiała jej chustę. A raz nawet uszyła taką białą miniaturą dla Barbie Dounii.

Rozmyślałam o tym, jak bardzo próbowałam zadowolić madame. I o Adelu. Chociaż naprawdę starałam się o nim nie myśleć. Raczej o tym, jak stałyśmy ramię w ramię z Nistrine i machałyśmy.

Nistrine wróci, przekonywałam się w duchu.

– Otwórzmy drzwi – odezwał się Abudi – i zamknijmy je z powrotem.

– Daj spokój, Abudi – rzuciłam.

Nistrine wróci, wróci.

Abudi przecisnął się na przednie siedzenie. Wciąż wypatrywaliśmy madame i *baby*. Samochody musiały nas wymijać, bo *baba* zaparkował na drugiego i zajął jeden pas jezdni.

\*\*\*

W końcu wróciła. Wciąż ścisnęła w ręce swoją czarną walizkę, idąc między *babą* a jego żoną. *Baba* się uśmiechał, madame nie.

Nistrine otworzyła drzwiczki i wcisnęła się na siedzenie między nas. Tym razem Dounia usiadła jej na kolanach.

– Nie mają teraz innych służących – powiedziała madame. – Musimy ją zatrzymać.

Wszyscy na tylnym siedzeniu odetchnęliśmy z ulgą.

Chciałam Nistrine. Wszyscy jej chcieliśmy. A teraz, kiedy już wróciła, żadne z nas chyba nie wierzyło, że w ogóle mogłaby odejść.

Przez całą drogę powrotną szczypaliśmy ją w ramiona i ściskaliśmy, żeby się upewnić, że ciągle z nami jest. Nistrine milczała. Ale kiedy ją przytulaliśmy, poklepywała nas po plecach. Jej ciepła skóra przypominała jedwab.

Zanim dotarliśmy do domu, razem z dziećmi zaczęliśmy udawać, że nic takiego w ogóle nie miało miejsca. Że wcale omal nie straciliśmy Nistrine. Dzieci grzecznie umyły zęby, przy czym Dounia cały czas obejmowała Nistrine w pasie.

W kuchni Nistrine ostrożnie odstawiła walizkę na podłogę. Podgrzałam jej mleko, a potem wszyscy znów zaczęliśmy ją ścisnąć ze śmiechem. I właśnie wtedy weszła madame.

– Co was tak bawi?

Nistrine odwróciła się w jej stronę.

– Przepraszam, *mama*. To się więcej nie powtórzy. Naprawdę będę się starać.

Madame podeszła do Nistrine, przysunęła twarz do jej szyi i pociągnęła nosem.

– Śmierdzisz, ha, ha. Śmierdzisz, to naprawdę zabawne.

Nistrine zamarła.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał żonę *baba*.

– Muszę zająć się praniem.

– Wróc potem i posiedź ze mną – poprosił.

Ale madame nie wróciła. Przez cały wieczór nie chciała przebywać w tym samym pomieszczeniu, co Nistrine, która wedle jej słów śmierdziała.



Minęła noc. Wszyscy cieszyli się z powrotu Nisrine, tylko nie madame. Ona nie mogła pozbyć się zapachu gazu. Tylko to czuła, kiedy Nisrine wchodziła do pokoju. Ten odór przybierał na sile, aż wreszcie, po tych wszystkich awanturach, zaczęliśmy zapominać, jak bardzo tęsknilibyśmy za Nisrine, jak szczęśliwi byliśmy, że do nas wróciła. Teraz wszyscy czuliśmy już tylko smród gazu, zupełnie jak madame.

Minął kolejny dzień. Starannie wywietrzyliśmy dom, a madame pozwoliła Nisrine znów używać kuchenki. Ale zapach wciąż nie dawał nam spokoju.

## LEILA

W noc przed incydem z gazem Adel śnił o Nistrine. Miała na sobie czerwone sari. Co prawda w tym śnie powiedziała: „Jesteśmy muzułmanami, nie nosimy sari!”, ale tak to właśnie wyglądało.

Pas czerwonego materiału, zielone mango, dziecko przytulone do jej piersi. Patrzył na materiał zwisający z jej ramienia i wyobrażał sobie niewielkie białe kreseczki pokrywające skórę jej piersi – obrzmiałych po ciąży, o sutkach ciemnych niczym ziemia.

Później w rozmowach ze mną Nistrine miała się zastanawiać, skąd wiedział o takich rzeczach. O mango i rozstępach. No bo skąd wiedział o rozstępach? Czy w ten sposób chciał jej pokazać, że jest obytym mężczyzną i naprawdę dobrze zna kobiety? Była zaskoczona, że nawet w snach wyobrażał sobie rozmaite niedoskonałości. Jak starcy w jej ojczyźnie, którzy zostawiali drobne skazy w dmuchanym szkle, by nie przyciągnąć diabła. Zupełnie jak arabskie zdanie *Masha Allah*, które ma chronić piękno przed złym okiem, taki przesąd. Nawet w snach nie miał odwagi wyobrazić sobie zbyt wiele, więc dał jej rozstępy, przygryzione wargi, krzywe ucho i siny paznokieć palca u stopy, jakby te drobiazgi mogły ją obronić przed większymi nieszczęściami. Jakby dzięki tej siateczce białych blizn, znaczących jej piersi niczym koronka, oboje mieli prawo kochać, kogo tylko zapragną, kiedy i gdzie zechcą, przez resztę życia, a ich uczucie będzie mogło sięgnąć ideału.

Policjanci to tylko ludzie, są niczym strażnicy i lubią się tak czuć. Przez wiele miesięcy każdego dnia Adel obserwował Nistrine, czekał na nią każdego ranka, stając na samym skraju dachu. Była służącą, rozkład jej dnia nie zależał od niej, więc zakochany Adel bardzo szybko poznał go na pamięć – wiedział, że o szóstej będzie się zajmowała sypialniami, a o siódmej pójdzie sprawdzić gaz. Takie przewidywanie jej poczynań było jego sposobem na to, by ją kochać. Znał każdą krzywiznę jej ciała, wiedział, jaki cień rzucają jej ramiona, kiedy padnie na nie słońce. Dzięki tym drobiazgom należała do niego, tak jak kobieta może należeć do mężczyzny, który poznał smak jej skóry.

Kiedy wydarzył się incydent z gazem, Adel miał akurat służbę. Widział, jak cała rodzina zebrała się w kuchni, obserwował przez okno tę przerażającą scenę. Nistrine stała naprzeciwko madame, plecami do niego. Widział, jak bardzo była zmartwiona. Zastanawiał się, czy któreś z nas ją uderzy. Gdyby tak się stało, odczułby ten cios, tak jakby sam go otrzymał. Zastanawiał się nawet, czy nie powinien zadzwonić po policję. Oto siła miłości – w całym tym zamieszaniu kompletnie zapomniał, że sam jest policjantem.

„Strzeżesz cudzoziemek?”, zapytał kiedyś jego ojciec.

„Strzeżę wszystkich”.

Więc tak po prostu – stał i patrzył.

Był przerażony własną biernością. Naprawdę kochał Nistrine. Usiadł na dachu i podparł głowę dłońmi, by pomyśleć, a potem zerwał się na równe nogi, gotów do działania. Ale w uszach znów zabrzmiały mu słowa ojca: „Strzeżesz cudzoziemek?”. Był kochankiem, prawdziwym Qaisem, policjantem, synem swojego ojca.

Z zawstydzeniem i przerażeniem patrzył, jak Nistrine tamtego wieczora opuszcza dom. Ale mimo wszystko nic nie zrobił.

Nie było jej dwie godziny. A on nie wrócił do domu na kolację, tylko został na dachu, żeby sprawdzić, co się dalej stanie. Obserwował ciemne okna naszego mieszkania i czuł, jak niebo i betonowe mury coraz bardziej na niego napierają, aż brak mu tchu. Uczucia w jego sercu wzbierały nieprzebraną falą, aż wreszcie nie było w nim już miejsca na bicie. Tkwił więc tak na dachu, z zamartwionym sercem, nie oddychając, dopóki wieczorem nie zobaczył przez kuchenne okno Nistrine z czarną walizką.

Wyszła do niego z otwartymi ramionami. Tak bardzo pragnął się w nie rzucić.

– Nistrine, gdzie byłaś? Myślałem, że cię straciłem. Serce o mało mi nie pękło!

Zbyła jego pytania śmiechem, wzruszeniem ramion. To była jej wina, nie chciała o tym mówić.

– Uciekniesz ze mną?

– Kiedy tylko zechcesz, kochanie.

Taki ich stary żart.

Wiedział, że stało się coś złego, bo inaczej nie wychodziłaby z domu. Rzadko opuszczała mieszkanie, więc te dwie godziny to była cała wieczność.

Musiała dostrzec jego zdenerwowanie; jego poszarzała twarz przypominała betonowe mury komisariatu.

Popatrzył na nią i po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bezbronna jest kobieta, którą pokochał. Jak drobna – brzuchem ledwie sięgała balustrady, a wzrostem niewiele przewyższała dzieci. Kiedy opierała się o barierkę, jej łokcie odstawały na boki niczym niewyrośnięte skrzydła.

A potem gdzieś z głębi napłynęło inne uczucie, rozlewające się coraz szerszą falą, aż po jego klatkę piersiową i nogi.

Tak bardzo pragnął jej dotknąć.

Ich miłość zawsze była uczuciem na odległość. Nistrine nauczyła go siły spojrzenia, potęgi dwojga oczu, czekających na to, by zostać przyjętymi.

Musiał jej dotknąć.

Kiedyś zażartowała sproszenie na temat kształtu litery *ayn*. Ten żart nie dawał mu spokoju przez wiele dni. Pragnął, żeby znów powiedziała coś takiego. Otworzył usta, żeby ją zapytać...

– Nistrine, mogę go włożyć?

– Co takiego? – Ciągle była rozkojarzona po zdarzeniach tego wieczoru.

Poczuł, że po policzkach rozlewa mu się żar. Ale jednak nie powiedziała „nie”.

– Pytałem, czy mogę go włożyć.

W dawnych opowieściach Qaisa i Leileę łączyła wyjątkowa forma intymności na odległość. Tych dwoje praktycznie nigdy się nie dotykało, ale kochali się za pomocą

spojrzeń i wierszy. Ojciec Adela mówił, że w ten sam sposób aniołowie uprawiali miłość w Koranie. Tak archanioł Gabriel uczynił Maryję Dziewicę brzemienną.

– Myślałam, że nigdy nie miałeś kobiety – powiedziała Nisrine.

Tak było.

– Nie miałem, jeśli ty tego chcesz, Nisrine. Mogę go włożyć?

Stała na skraju balkonu. Dotąd była rozkojarzona, ale teraz wychyliła się, tak jak wtedy, kiedy się pokochali. Kiedy by ofiarować jej swoje oczy, musiał ich tylko dotknąć, a ona rozumiała go bez słów.

– Ucieknij ze mną, Adelu, a wtedy będziemy się kochać naprawdę.

– Mogę go włożyć?

– Kochasz mnie, Adelu?

Pragnął jej tu i teraz, nawet w ten niedoskonały sposób. Tak bardzo ją kochał.

W Koranie nawet dziewicza miłość pozwala spłodzić dzieci.

– Mogę go włożyć?

– Możesz.

– Nisrine, kocham cię tak bardzo, że czuję wokół siebie twoją delikatną duszę. Zupełnie jakby otulały mnie płatki najpiękniejszego kwiatu.

Potem on oparł się o ścianę budki strażniczej, a ona o balustradę, spoceni i zgrzani.

Nisrine znów zmarszczyła brwi z niepokojem, więc zaczął jej prawić komplementy, żeby odwrócić jej uwagę.

– Jest tu pewien osioł, który uważa cię za tak piękną, że chyba byłby w stanie napisać dla ciebie wiersz.

– Naprawdę?

– Tak. Znasz go?

– Owszem.

– I co o nim myślisz?

– Jest osłem. – Powiedziała to z taką słodyczą, a potem oboje śmiali się i śmiali.

Adel rozłożył ramiona.

– Tak bardzo cię kocham, skarbie. Nigdy mnie nie opuszczaj, bo złamiesz mi serce.

Kiedyś bawili się w wymyślanie sposobów, w jakie mógłby ją uratować, gdyby znalazła się w tarapatach. Latanie. Wąż strażacki. Skrzydła.

Teraz powiedziała w nawiązaniu do jego słów o złamanym sercu:

– Nawet tak nie żartuj!

– Ale to prawda.

Cisza.

– Bea uważa, że jesteśmy jak Qais i Leila – odezwała się Nisrine.

Leila odeszła, a Qais nic z tym nie zrobił.

Wyciągnął rękę.

– Widzisz, jak drzę? To nie słabość, Nisrine. Drzę, bo kocham.

\*\*\*

Tego wieczora pomogłam Nistrine ułożyć Dounię do snu. Ten codzienny rytuał wydał się słodszy, odkąd niemal nie straciłyśmy go na dobre. Nistrine chwyciła Dounię za rękę, a ja za nogi, żeby przez chwilę huśtać ją dla zabawy.

Wyrzwałyśmy przez zasłony na rozgałęzione cienie latarni.

– Bea, mam problem – wyznała Nistrine.

Nie musiała mi tego mówić. Wiedziałam po jej zachowaniu i po zachowaniu madame, że mamy problem. Wiedziałam, że to się zbliża, ale przez jakiś czas starałam się udawać, że nic się nie dzieje, i cieszyć się chwilami szczęścia.

– Nie wiem, jak mogłabym tu zostać. *Mama* już mnie nie chce.

– Wszystko jakoś się ułoży.

Nistrine miała kontrakt, dziecko i rodową dumę: nie zostajemy tam, gdzie nas nie chcą. W obcym kraju kimże byśmy byli bez honoru?

– Bardzo się starałaś, po prostu musisz postarać się mocniej.

Ale widziałam już to jej dalekie spojrzenie.

– Myślisz, że gdybym przeniosła się do nowego domu, nadal mogłabym się widywać z tobą, Dounią i Adelem? – zapytała.

Nie wydawało mi się to prawdopodobne, dlatego tak bardzo nie podobał mi się ten pomysł.

Nistrine chyba sądziła podobnie, bo westchnęła i popatrzyła na mnie ze zmartwioną miną. Przez chwilę czułyśmy, jak wiele nas dzieli. Ja wyrosłam w świecie, w którym jeśli sytuacja wyglądała naprawdę źle, zawsze można było odejść. W świecie, w którym zawsze miało się wybór. W którym spodziewałam się wyzwania, a nie przeciwności.

Wszyscy członkowie rodziny Nistrine żyli pełnią życia, jednak wykonywali zajęcia, których z własnej woli by nie wybrali. Z nią było podobnie. A tymczasem ja sama podjęłam decyzję o przyjeździe tutaj. Przez chwilę już sam ten fakt wydawał mi się nie do przebycia.

A potem Nistrine się uśmiechnęła.

– Nie martw się, Bea. Nie mogę stąd odejść, o ile sami nie zechcą mnie odprawić.

Nie było to tak do końca prawdą, ale przynajmniej odetchnęłam z ulgą.

A potem Nistrine dodała:

– Ale mój honor...

Kiedyś, dawno temu, Nistrine ujęła moją dłoń i przycisnęła ją do piersi, żebym poczuła bicie jej serca. Teraz ja zrobiłam dokładnie to samo, a ona doskonale zrozumiała, o co mi chodzi. Starła się wyczuć bicie mojego serca.

– Ojej, Bea, ależ mocno bije! Kim jest twój ukochany? – zapytała w żartach.

Ale ja nie miałam żadnego ukochanego. Byłam młodą samotną kobietą, którą miłość otaczała ze wszystkich stron. Za całe towarzystwo miałam Nistrine i rodzinę *baby*. To oni to uczynili. Sprawili, że moje serce tak się rozrosło.

– Spróbuj, Nistrine. Postaraj się jeszcze trochę. Obie się postaramy. – Jej dłoń wciąż spoczywała na mojej piersi. – Właśnie tu jesteś – dodałam.

## PROBLEMY

Przez cały następny tydzień my wszyscy – w domu madame – i Adel przez okno obserwowaliśmy, jak Nisrine powoli zapomina arabski. Wcześniej, odurzona miłością, myliła słowa i na przykład nazywała patelnię „tym gorącym”. Teraz jej myśli zaprzętały głównie problemy, próby wykazania się w domu, w którym jej nie chciano. Po prostu zapomniała słowo „patelnia”, w ogóle już jej nie nazywała. Nie mogła też przypomnieć sobie słowa „zimny”. Nisrine, którą policjant pokochał za sprzątanie i gotowanie, zrobiła się niedbała. Przy zmywaniu naczyń opierała się o zlew i pozwalała, by woda moczyła jej ubranie.

Zapominała nie tylko słowa, coraz więcej rzeczy wypadało jej z głowy. Madame wchodziła do kuchni i odkrywała, że mleko się wygotowało, a Nisrine nie ma nigdzie w pobliżu. Nisrine zostawiła swoje gumki do włosów w łazience. A kiedyś zapomniała zamknąć drzwiczki lodówki i zmarnowała truskawki, zamrożone jeszcze latem.

Madame narzekała:

– Pokazałam jej, jak gotować i sprzątać, wszystkiego, co potrafi, nauczyła się ode mnie. I za to jej płacę. *Haram*.

A potem zabroniła Nisrine opuszczać mieszkanie.

Tyle że ona i tak prawie nigdzie nie wychodziła.

Madame wyjęła ciekące truskawki z lodówki i wyrzuciła je do kosza.

– Ludzie z całego świata przyjeżdżają się tu uczyć, bo mamy słuszną religię. Nie tak jak w Indonezji. Ale jestem dobra, nie mogę jej zbić.

Madame zakazała też Nisrine mówić po angielsku i dotykać dzieci, ale w rezultacie Dounia ciągle miała niezaplecione włosy, więc w końcu poprosiła Nisrine o zajmowanie się nimi.

Nisrine spakowała swoją dopiero co rozpakowaną walizkę i stanęła przed *babą*.

– Proszę mnie odesłać. Nie zostanę tam, gdzie mnie nie chcą.

Po części był to bluff. Nadal nas potrzebowała, potrzebowała tej pracy.

*Baba* popatrzył na nią uważnie.

– Ależ my cię chcemy, Nisrine. Ja chcę, żebyś została.

Bo tak było, wszyscy tego pragnęliśmy! Potrzebowaliśmy jej, tak jak ona potrzebowała nas. Dlatego chodziliśmy za nią krok w krok i zbieraliśmy zgubione przez nią gumki do włosów.

Nisrine opowiedziała nam kiedyś historię o dziewczynie, która tak bardzo pokochała tęczę, że zamieniła się w ptaka i odleciała w jej kierunku. Teraz sama coraz częściej wyglądała przez okno, jakby widziała tam tęczę. Szeptalam: „Postaraj się, Nisrine. Postaraj się”. Bo ja też jej potrzebowałam. Te słowa wciąż rozbrzmiewały we mnie niczym piosenka.

A tymczasem Nisrine wpatrywała się w stada gołębi z meczetu.

Ale mieliśmy też inne zmartwienia.

Manifestacje odbywały się teraz w każdy piątek, a całe miasto było poznaczone barykadami z worków z piaskiem, grubych niczym zadowolone z siebie damy. Policjanci za tymi workami chowali swoją broń.

Docierały do nas pogłoski o międzynarodowym dochodzeniu i potajemnych protestach. Władze ogłosiły kolejną listę rzeczy, których nie wolno nam było robić:

- rozmawiać przez komórki w piątki, bo moglibyśmy wzniecać niepokoje;
- gromadzić się w większych grupach nocami, bo to mogłoby prowadzić do protestów;
- przysyłać e-maili na tematy polityczne – rząd wszystko nadzoruje, a nasi znajomi na pewno nas zablokują;
- chodzić na protesty – to sprawa młodych mężczyzn, a poza tym w użyciu będzie ostra amunicja.

W mieście utworzyły się dwa obozy: proprezydencki i antyrządowy. Każdy obywatel musiał opowiedzieć się po którejś stronie.

Oczywiście *baba* był przeciwko władzom. Potajemnie pisał proklamację z żądaniem przeprowadzenia wolnych wyborów. Czuliśmy, że policja obserwuje go coraz uważniej.

Któregoś dnia po powrocie do domu oznajmił, że dokument jest gotowy. Teraz każdy z autorów musiał go jeszcze podpisać.

W domu wszyscy zaczęli panikować. Sądziłyśmy, że prace nad tekstem potrważą dłużej, że będziemy mieli więcej czasu na przekonanie *baby*, by nie składał swojego podpisu.

– Chyba jeszcze go nie podpisałeś, Hassanie? – zapytała madame.

Nie zrobił tego. Nie mógł. Nie wolno mu było.

– Amal, nie możemy wiecznie żyć w strachu – odparł *baba*. – Musimy walczyć o lepszą przyszłość.

– A co z naszymi dziećmi?

– Amal...

– Co z nimi?

*Baba* był rozdarty. Wiedział, że madame ma rację. A politykowanie stawało się coraz bardziej niebezpieczne.

Co wieczór słyszeliśmy wciąż tę samą dyskusję:

– Nie podpisuj, Hassanie.

– Dawno bym to zrobił, ale martwię się o was.

Byłam tego samego zdania, co madame. Podziwiałam *babę* za odwagę, ale gdybym miała do wyboru więzienie albo niepodpisywanie proklamacji, wybrałabym to drugie rozwiązanie. Reszta rodziny zgadzała się ze mną. Tylko *baba* miał w tej kwestii dylemat.

Czekaliśmy, podczas gdy on starannie rozważał wybór między polityką a rodziną,

odwagą a miłością do nas.

\*\*\*

Klepsydry były to długie kawałki papieru rozwieszane na ulicach tuż po czyjejś śmierci. Rzadko je zdejmowano, toteż mury były ich pełne, zawieszonych dokładnie na wysokości wzroku. Jedna została nawet przyklejona na znaku stopu stojącym na rogu. Zbliżało się lato, a ta klepsydra wisiała tam od grudnia. Znajdowała się na czerwonym polu, mocno przytwierdzona klejem. Pęcherz powietrza pośrodku zasłaniał wiek zmarłego, ale już nie jego nazwisko ani nie wielkie litery, które obwieszczały pasażerom zwalniających aut, że zmarły był ukochanym bratem i synem.

Na ścianie naszego domu też pojawiła się nowa klepsydra.

Zmarł nasz sąsiad, zwolennik prezydenta.

Jego córka, która była w wieku Lemy, z krzykiem wybiegła z mieszkania, a potem, szlochając, zerwała z głowy hidżab. Lema wyszła na korytarz, żeby ją pocieszyć, i też zaczęła płakać, pełna współczucia, chociaż nigdy nie były ze sobą szczególnie blisko.

Po śmierci sąsiada jego bliscy przygotowali poczęstunek dla wszystkich mieszkańców bloku. Goście zostali podjęci kawą i słodyczami. Madame, która nawet przed rozruchami nie przepadała za sąsiadem, przyjęła w drzwiach ciasto z rąk tej samej córki, która wcześniej płakała na korytarzu, a potem zgodziła się pożyczyć im łyżeczki.

Córka sąsiadów spokojnie przeczekała nasze poszukiwania.

– To już wszystkie?

– Tylko te są czyste.

– Brudne mogę umyć.

– Cóż, my też będziemy potrzebowali paru, żeby mieć czym jeść.

Przez całe popołudnie z mieszkania sąsiadów dobiegały śpiewy. Zaczęło się od niskich, głuchych recytacji, które szybko przybrały na sile. „Nie ma boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem”. Słowa te rozbrzmiewały wkrótce w całym mieszkaniu, aż makatki i religijne cytaty na ścianach drżały w swoich ramkach.

– Uf, śmierć – sapnęła madame. – Czy wszyscy muszą o tym wiedzieć?

Zaczekaliśmy do wieczora, a ponieważ łyżeczki nie zostały zwrócone, madame posłała mnie do sąsiadów. Czekałam na nie cierpliwie w drzwiach, a kiedy wróciłam do domu, madame przeliczyła je starannie. Potem kazała jeszcze raz je umyć, choć sąsiedzi oddali je czyste.

\*\*\*

W domu madame też utworzyły się dwa obozy. Można było się opowiedzieć po stronie madame albo po stronie Nistrine, ale jeśli rozmawiałeś z Nistrine, znaczyło to, że nie jesteś po stronie madame i nie możesz być częścią tej rodziny. Wieczorem, wystrojona w fartuszek, Dounia próbowała piec z Nistrine ciasteczka. Przy pracy obie zaśmiewały się wesoło. A potem do kuchni wszedł Abudi i powiedział:

– Nistrine nic nie umie zrobić dobrze.

Dounia i Nistrine go zignorowały.

Więc Abudi uderzył Dounię.



– Głupia indozyjka.

Nisrine nie ustawała jednak w wysiłkach. Bez słowa zabrała się do czyszczenia wnętrza piekarnika.

Aby uleczyć zranioną dumę, starała się wynaleźć inne sposoby na zarobienie pieniędzy.

– Bea, znasz jakiś amerykański koncern paliwowy?

– Nie.

– Może powinnaś poszukać. To podobno dobry biznes. Adel ma takiego kuzyna. Powiedział, że jeśli znajdziemy mu taką firmę na sprzedaż, da nam dwa procent.

– Jestem studentką, nie znam nikogo w tej branży – odparłam.

Nie podobały mi się te plany, bo nieuchronnie wiązały się z jej odejściem.

– Może udałoby mi się go przekonać, żeby zapłacił nam trzy procent. Przy milionie to byłoby trzydzieści tysięcy.

– Ale ja naprawdę nie znam żadnych koncernów paliwowych.

Postanowiła więc spróbować czegoś innego.

– Masz dużą walizkę? – zapytała, choć dobrze wiedziała, że tak. – Mam za dużo ubrań. – Kiedy w czasie afery z gazem pakowała się w pośpiechu, część rzeczy musiała zostawić. – Potrzebuję czegoś, w co mogłabym je upchnąć.

Byłam sfrustrowana jej pomysłami. Powinna próbować udobruchać madame, a nie kombinować z jakimiś walizkami.

A jednak. Kiedy madame poszła do łazienki, wyjęłyśmy z szafy moją walizkę na kółkach i cichutko zaciągnęłyśmy ją do sypialni. Bagaż miał tam czekać, aż wydarzy się cud i Nisrine będzie mogła odejść.

\*\*\*

Ocalił ją dom, który zamierzała wybudować. Za jego sprawą nadal kochała to mieszkanie, a dzięki jej miłości i ja patrzyłam na nie inaczej. Piękne zielone płytki niczym chłodne oceany, wielkie okna – jeśli leżało się pod odpowiednim kątem, zawsze było z nich widać niebo.

Wyobrażałam sobie, że tak właśnie musiał widzieć ten dom *baba*, kiedy patrzył na niego oczami pełnymi zachwyty tuż po wyjściu z więzienia.

Nisrine chodziła z pokoju do pokoju, jakby nie było jej dłużej niż te dwie godziny, dotykała ścian, jakby próbowała je zapamiętać – długie białe drogi, które mogły ją kiedyś zaprowadzić do jej własnego domu, a które co miesiąc tak starannie szorowała.

Pożyczyła komórkę od Adela, żeby zadzwonić do rodziny. Obserwowałam ją z kuchni, jak przytrzymała ramieniem telefon przy uchu, bo nawet podczas rozmowy zamiatała.

- I co powiedzieli? – zapytałam później.
  - Chcą, żebym była szczęśliwa. Ale potrzebują pieniędzy.
- Potem przez jakiś czas nie wspominała o rzucaniu pracy.
- \*\*\*

Pomimo tych wszystkich zmartwień z honorem Nisrine i polityką *baby* nadal zdarzały się piękne dni. Pewnego razu madame wyciągnęła wideo ze swojego ślubu, które wszyscy widzieliśmy już wcześniej. Film zaczynał się od ujęcia madame w różowej sukni – suta spódnica spływała aż na kolana jej męża. *Baba* siedział bez ruchu, wyprostowany jak struna. Nawet piętnaście lat temu wyglądał dziwnie niezgrabnie u boku znacznie niższej madame, z jej rozłożystą suknią.

– Która ładniejsza? – zapytała madame. – Ja teraz czy przed piętnastu laty?

– A kim jest ta dziewczyna na filmie? – zaczęłam się z nią droczyć. – Bo chyba jej nie znam.

– Z makijażem wyglądam inaczej, prawda? No więc która ładniejsza, teraz czy wtedy?

– Obie śliczne.

– Nie. Musisz wybrać.

– W takim razie teraz, bez makijażu.

Madame pokiwała głową.

– Hassan też jest tego zdania.

Na filmie zaczęło się wesele. Państwo młodzi dostali jedną szklanekę soku z dwiema słómkami. Muzyka ryczała z głośników telewizora.

– Nawet nie pytajcie, co to był za sok – westchnęła madame. – Bo kompletnie nic nie pamiętam z tego dnia.

Popatrzyła na *babę*, czytającego przy oknie.

– Pamiętasz, jaki to był sok, Hassanie?

– Nie.

Przewinęliśmy taśmę do tańców. Kobiety zaciągnęły *babę* na parkiet, a potem zrobiły kółeczko wokół nowożeńców. Madame tańczyła. Nie patrzyła w kamerę, tylko na tańczącego *babę*. We włosach miała brokat, który połyskiwał w świetle, kiedy to przysuwała się do męża, to odsuwała, potrząsając biustem.

A potem i my zaczęłyśmy tańczyć. Pierwsza poderwała się madame. Kołysząc biodrami, zupełnie jak na filmie, podeszła do *baby* i zalotnie potrząsnęła biustem.

– No dalej, Beo – zawołała, więc ja i Lema też wstałyśmy. Lema ruszyła w ślady matki, każdy fragment jej ciała zdawał się poruszać w rytm muzyki.

Próbowałam naśladować madame, która zbliżyła się do mnie.

– Biodra, nie stopy, Beo. To twoje biodra.

Dounia podskakiwała wokół nas jak mały imbryczek.

A *baba* klaskał głośno ze swojego fotela pod oknem.

– *Baba*, czemu się do nas nie przyłączysz? – zapytałam. – Nie lubisz tańczyć?

Madame odpowiedziała za męża:

– Nie widzisz, że jest nieśmiały?

Nisrine też przysła z kuchni.

– A jak wyglądało twoje wesele, Nisrine?

– Miałam czerwoną suknię. Wcześniej moja siostra brała w niej ślub. Materiał był haftowany i tak ciężki, że o mało się nie przewróciłam.

Tańczyłyśmy i tańczyłyśmy. A potem Dounia się zmęczyła, zaczęła na nas wpadać, pokój nagle zrobił się jakby za mały. Potrącane przez Dounię, straciłyśmy równowagę i ze śmiechem wylądowałyśmy na miękkim dywanie, nadal poruszając kończynami niczym wielki owad. Przez chwilę trudno było powiedzieć, kto jest kim. Moje ręce znalazły się za głową Dounii, która opierała się na ramieniu Lemy, spoczywającym z kolei na plecach Nisrine. Byłyśmy jak jedna istota o wielu kończynach, zwana *babą*.

Madame wyłączyła telewizor i powiedziała:

– Spójrzcie tylko, jaka szczęśliwa jest Nisrine, tak daleko od męża.

– Wcale nie jestem szczęśliwa – odparła Nisrine.

– Jesteś, cała zasapana i rozpromieniona. Widzisz, Beo? Cudzoziemcom się tu podoba. Wcale nie chcą wyjeżdżać.

Jednak Nisrine stawała się coraz bardziej nieobecna. Dobitnie świadczył o tym stan mieszkania – z kurzem czepiającym się sufitów, wżartym w pajęczyny zwieszające się w dół niczym żyrandole.

Pył zaczął się gromadzić nawet w moich książkach.

Wcześniej przeglądałam je bez przerwy, szukając sposobów na zrozumienie miłości. Teraz zaczęłam je wertować, by znaleźć sposób na zrozumienie Nisrine. Chciałam wiedzieć, co mam jej powiedzieć, by była z nami szczęśliwa.

Nisrine się nie stara, myślałam. Po prostu musi postarać się bardziej.

Przynajmniej kocha i jest kochana, myślałam. I w głębi ducha nadal marzyłam o tym samym.

– Jeśli *baba* odejdzie, chyba nie będę w stanie zostać dłużej w tym domu – powiedziała Nisrine.

Miała na myśli: jeśli *baba* trafi do więzienia. Jemu, w przeciwieństwie do madame, zależało na tym, żeby z nami została.

Wieczorami wychylałyśmy się przez balustradę balkonu.

– Co myślisz o *babie*?

– Sama nie wiem. Nie mam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

– Może poprosimy o pomoc Adela?

Ale przecież kiedy musiała stąd odejść, Adel wcale jej nie pomógł.

Nisrine westchnęła i wydeła policzki.

– Pragnę mieć kogoś, z kim mogłabym coś robić. I chcę coś zrobić. Ciągłe siedzimy w domu i nic się nie zmienia. Dlaczego Adel tu nie wpadnie, nie chwyci mnie

w objęcia i nie pocałuje, jeśli rzeczywiście mnie kocha? Dlaczego nie może mnie uratować? Dlaczego my nie możemy uratować *baby*?

Pragnęliśmy tego tak mocno.

W naszym domu to do Nisrine zwracałam się najpierw, to z nią pierwszą rozmawiałam. Teraz nie pamiętała już jednak wszystkich słów. Czasami nie wiedziałam nawet, czy w ogóle mnie rozumie, bo tylko kiwała głową z nieobecną miną. Przez to czułam się samotna.

Nisrine opowiedziała mi kiedyś o słowie oznaczającym zarówno służącą, jak i przenośny dom, a potem wspólnie wymyślałyśmy rozmaite inne znaczenia.

Teraz zaczynałam rozumieć, że służąca to rzeczywiście dom. To ona go tworzy, bez niej dryfowaliśmy, nie mając celu, pochylając głowy w kątach, by ominąć pajęczyny. A na zewnątrz niepokoję.

Kwietniowe wiatry nawiewały piach z pustyni, a miasta nie chroniły przed nim żadne góry, jedynie niewysokie wzgórza. Wichry krążyły wokół jego szczytu, nabierały siły w rozgrzanych prądach powietrznych, czekały. A wieczorami na horyzoncie niczym ptaki pojawiały się niewielkie pasma dymu. Nie otwieraliśmy okien, żeby nie wpuścić do środka swędu spalenizny i sadzy. Czasami Nisrine pamiętała jeszcze o zamieceniu pyłu, ale równie dobrze mogła to sobie darować, bo wiatr i tak przywiewał go wciąż od nowa.

W łazience był karaluch. Siedział tam przez cały ranek. Madame go nie zabiła, tylko weszła do kuchni i powiedziała:

– Nisrine, musimy dziś posprzątać cały dom. Zrobiło się tak brudno, że załęgły się nam robaki. Słyszysz? Musimy wymyć wszystkie podłogi.

Kuchnia była niewielka, w wiosennym upale pachniała oliwą z oliwek i makaronem. Nisrine myła szklanki po soku, jak zwykle podśpiewując przy tym. Madame kazała używać do ich mycia oddzielnej gąbki, żeby nie przeszły zapachem tłuszczu. Nisrine umyła je więc tą specjalną gąbką, a potem użyła innej, żeby wyczyścić brudne łyżeczki. Podczas zmywania cały czas wyglądała przez okno.

Godzinę później karaluch nadal siedział pod umywalką w łazience. Zastanawiałam się, czy nie spryskać go wodą, ale może potrafił pływać. Nie przeszkadzał mi, więc dałam mu spokój. Weszłam do kuchni, gdzie Nisrine śpiewała piosenkę o miłości. Szklanki, ustawione równiutko na blacie, aż lśniły, Nisrine właśnie odkładała wyszorowane garnki.

– *No one wants to see us together* – śpiewała.

Karaluch siedział w łazience cały dzień, dopóki wieczorem nie pożarł go szczur. Z łazienki dobiegł nas krzyk *baby*. Rzuciliśmy się do niej razem z dziećmi.

– Amal! – zawołał *baba*, a potem odwrócił się w naszą stronę. – Biegnijcie po matkę. Powiedzcie jej, że trzeba wymyć wszystkie podłogi.

\*\*\*

Adel obserwował to i myślał sobie, że Nisrine jest niczym gołąb: trudny do

uchwycenia, trudny do zatrzymania. Wciąż wychodziła do niego na balkon, ale czasem jakby wcale go nie poznawała. Po pierwszym zachłyśnięciu się miłością nie było więcej zbliżeń.

– Nisrine – powiedział – myślę o twoim losie w tym strasznym domu i wciąż płacę.

Kochasz kogoś, a kiedy ukochana osoba wpada w tarapaty i musi odejść, nie wiesz, jak jej pomóc.

Nisrine nigdy nie widziała, żeby jej policjant płakał. Widziała, jak się śmiał i bawił, widziała na jego twarzy żar namiętności.

A teraz mówi jej, że często płacze. W jego arabskim „płacz” przypominał słowo określające recytowanie wersetów Koranu: *aya, aya*. Mówił z silnym akcentem, zupełnie jak jego matka, a kiedy się zapominał, ten akcent stawał się jeszcze wyraźniejszy, wszystkie „q” zamieniały się w „g”, a „k” brzmiało zupełnie jak „tsz”; poza tym powtarzał słowo „płacz” dwukrotnie za każdym razem, kiedy o tym wspominał.

– Kocham cię, Nisrine. Wierzysz mi? Ja *aya, aya*.

Tyle że ona zapominała już arabski. Może nadal mu wierzyła, ale była taka zmęczona.

– Nie mów do mnie w swoim języku. Nie rozumiem cię.

Nie znał innego języka. Mógłby jej dotknąć, ale między nimi zawsze rozciągało się niebo. Potrzebowali nowego języka, nie wiedzieli jednak, gdzie go szukać.

– Ja *aya, aya*, Nisrine. Wychodzę na dach i *aya, aya* w samotności.

Trudno powiedzieć, co odmieenia człowieka.

Adel widział, że Nisrine wygląda na coraz bardziej znużoną, coraz bardziej niedbale zawiązuje chustę. Zawsze była taka schludna, malowała paznokcie na czerwono, żeby mu się spodobać. Teraz lakier zaczynał odpryskiwać. Ale Adel wciąż nosił w sobie część jej duszy.

W ciągu ostatnich tygodni uciekał się do tylu rzeczy, by jej pomóc: rozmawiał z nią, próbował ją kochać, pożyczał jej swoją komórkę. Ale nic z tego się nie liczyło. A jemu brakowało już pomysłów, co jeszcze mógłby zrobić. Miał wrażenie, że ją traci. Czy tak czuł się Qais, kiedy Leila odeszła? Czy to właśnie doprowadziło go do szaleństwa?

Wrócił do domu, nie zjadł jednak kolacji. Matka natychmiast zauważyła w nim zmianę, bo twarz miał szarą niczym mury komisariatu.

– Porozmawiaj z Adelem – zwróciła się do męża. – Opowiedz mu, jak to jest z miłością.

Tego wieczora ojciec przyszedł do niego.

– Co się stało? – zapytał.

– Nic.

Wszystko.

– Nie pełnisz już służby jak dawniej.

– *Baba*, czy kiedyś zdarzyło ci się, że dziewczyna, którą kochałeś, wpadła

w tarapaty, a ty nie mogłeś jej pomóc?

Ojciec popatrzył na syna zakochanego w kobiecie, która jemu nie przypadłaby do gustu. A przecież starał się wychować go na dobrego stróża prawa, by potrafił odróżnić dobro od zła i nigdy nie nagiął zasad.

– Adelu, jesteś policjantem. Zawsze możesz coś zrobić.

## FCUK

Rankiem przed lekcją zadzwonił Imad. Na mieście znów było słycać strzały, krążyły pogłoski o kolejnych sankcjach. Maria tak się wystraszyła, że zdecydowała się wrócić do domu.

Nie kryłam zdumienia. Sama zawsze starannie planowałam loty, omawiałam je z matką, rezerwowałam zawczasu.

– To tak można? Któregoś dnia zwyczajnie wskakujesz w samolot i odlatujesz?

– Przyjdziesz, Beo? – W głosie Imada dało się słyszeć napięcie. – Te lekcje to moje jedyne źródło utrzymania. Musisz przyjąć. Maria wyjechała, tylko ty mi zostałeś.

W tym tygodniu czytaliśmy klasyczny wiersz miłosny Ibn Arabiego. Siedziałam sam na sam z Imadem w jego wielkim mieszkaniu i czytałam wiersz z odpowiednimi samogłoskami. Poeta opowiadał o miłości, która pozostawiła go z zielonym sercem, a sam nazwał swoje serce ogrodem wśród płomieni.

W środku lekcji Imad odebrał telefon.

– Gdzie się spotkamy? – rzucił do słuchawki. – Na starówce?

To musiał być nowy uczeń. Większość cudzoziemców mieszkała właśnie na Starym Mieście.

– Teraz nie ma mnie na starówce – powiedział Imad powoli i wyraźnie, tak jak zwykle zwracał się do uczniów. – Do zobaczenia w piątek o osiemnastej trzydzieści.

Rozłączył się, a potem wyjaśnił:

– Rządowe służby bezpieczeństwa.

Popatrzyłam na niego uważnie.

– Czego chcieli?

– Jeszcze nie wiem. Chcą porozmawiać.

– Myślałam, że rozmawiasz z nimi co dwa tygodnie.

– To chyba wyjątkowa sytuacja.

Wróciliśmy do lekcji i zaczęliśmy dyskusję o metaforyce wiersza. O symbolice zielonego serca i umalowanych henną oczu ukochanej poety, symbolu małżeństwa.

– Przepraszam – przerwał mi nagle Imad – ale ten telefon nie daje mi spokoju.

– Kończymy na dzisiaj? – zapytałam.

Ale kazał mi wracać do omawiania wiersza.

– Nie mieszam się do polityki – powiedział. – Jestem nauczycielem.

– Wiem.

– Cudzoziemcy zawsze wyjeżdżają. Kiedy Marii przestało się tu podobać, po prostu wróciła do domu. A kto został na miejscu? Imad. Był w Londynie, zna cudzoziemki, ale sam jest stąd.

Wróciliśmy do wiersza, ale Imad zaraz rzucił znowu:

– Po prostu martwię się tym telefonem. Muszę myśleć o swoim biznesie. Nie mogę

sobie pozwolić na problemy ze służbą bezpieczeństwa.

Pomyślałam o *babie*.

– Wiem.

Przeczytaliśmy kolejny wers, z którego interpretacją miałam problem.

– *Jamia* – rzucił Imad. – „Razem”. Krótkie „a”. To słowo z pierwszego roku nauki, Beo.

– Przepraszam – powiedziałam. Nie mogłam sobie poradzić z tym wierszem.

Imad oparł się o jeden z przyrządów do ćwiczeń.

– Marzę tylko o angielskiej dziewczynie w bieliźnie od FCUK, czystej Brytyjce o gładkich nogach i włosach wyprostowanych żelam. Chciałbym przy niej leżeć, też w bieliźnie, przez bardzo, bardzo długi czas, zanim w końcu tę bieliznę zdejmiesz. Czy proszę o zbyt wiele?

Cisza.

Imad popatrzył na mnie.

– Przepraszam, Beo. Nie mówiłem poważnie.

Usiadłam obok niego na maszynie do podnoszenia ciężarów, a wtedy on położył głowę na moich kolanach. Miał taki ciepły oddech i miękkie wargi, niczym ogród. W jego włosach było widać ślady żelu.

Wyciągnął rękę i pociągnął za kosmyk moich loków.

– Arabskie włosy – mruknął. – Mówiłem ci już, że masz włosy jak Arabka?

– Naprawdę?

– Zupełnie jak Leila w niesamowitym tekście. Zawsze mnie zdumiewało, że Leila tak rzadko pojawia się w tekście, bo przecież znika po pierwszej stronie, a jednak jest wszechobecna za sprawą tego, jak układają się słowa. Twoje włosy kręcą się tak jak u niej.

– Leila miała kręcone włosy?

– Tak ją sobie wyobrażam.

Zawsze myślałam, że Leila miała proste włosy, zupełnie jak Nisrine. Wyciągnęłam rękę i pomacałam kosmyki za uszami, żeby sprawdzić, czy bardzo się skrzyły.

– Imadzie, jaki jest ten niesamowity tekst?

– Piękny. Niesamowity, tak jak mówią. Nie potrafię go opisać. Nie martw się, na pewno go przeczytasz.

Wcale się na to nie zanosilo. Chociaż bardzo tego pragnęłam.

– Płakałeś, czytając go?

– Bea, wtedy dopiero co wróciłem z Londynu. Miałem dziekanę, ojciec był chory, a ja musiałem podjąć decyzję, czy przy nim zostać, czy wrócić do Londynu i skończyć studia, zanim moja wiza straci ważność.

– Czyli płakałeś.

– Płakałem. Po odejściu Leili Qais błąka się po pustyni, aż wreszcie natyka się na pasterza, który przyjmuje go pod swój dach. Chyba właśnie z tego tekstu dowiedziałem się czegoś o miłości. Nie tylko o tej romantycznej, ale też o innych jej rodzajach. O miłości do rodziny. O tym, że marzyć o kimś to jedno, a zostać z nim to zupełnie co innego.

Popatrzyłam na jego gładkie włosy, pięknie wykrojone oczy i nos niczym



piaszczyste wydmy. Czy w Londynie taki nos był na miejscu? Pomyślałam o służbie bezpieczeństwa i o tym wszystkim, z czego Imad musiał zrezygnować, by zostać tutaj – z rodziną i swoimi uczniami. Ze mną.

– A gdybyś miał być postacią z opowieści o Qaisie i Leili, to kim?

– Nie wiem, chyba pasterzem.

– Naprawdę?

Zaskoczył mnie. Właśnie tę postać Nisrine przypisała mnie całe wieki temu, kiedy sama szukałam dla siebie jakiegoś odpowiednika. Polubiłam pasterza, bo był przyzwoitym człowiekiem, ale w głębi ducha pragnęłam być taka jak Leila. Chyba dlatego założyłam, że Imad marzyłby o byciu Qaisem.

Imad pokręcił głową.

– Qais oszalał z miłości, a potem ją stracił. Za to pasterz rozumiał, czym jest przyjaźń. Zaopiekował się Qaisem na pustyni, a niektórzy twierdzą też, że to właśnie on ocalił dla potomności jego wiersze. Został u boku Qaisa do końca jego dni.

– Naprawdę?

Imad skinął głową.

Strażnik wierszy. Ktoś, kto rozumie istotę przyjaźni. Musiałam się nad tym poważnie zastanowić, ale to później.

– Przekłułaś sobie uszy, Beo? – zapytał Imad.

– Tak.

Delikatnie dotknął płatka mojego ucha.

– Podoba mi się. Niebieski ci pasuje.

Nie miałam bielizny od FCUK, którą tak lubił. Nosłam wyłącznie białe figi z Hanes, które zdaniem madame wyglądały jak babcine reformy. Nisrine też ciągle narzekała, że musi moczyć je w wybielaczu. Nie miałam ładnej bielizny ani wdzięku, którym Leila musiała emanować, którym emanowała Nisrine, nawet podczas sprzątania. Ale w tym pokoju, na tym przyrządzie do ćwiczeń, Imad miał tylko mnie. A ja miałam tylko jego. Nasze wargi się spotkały.

Otworzyłam oczy. Imad wpatrywał się we mnie, z ręką zanurzoną w moich włosach. Pocałunek był taki delikatny i ciepły, więc przymknęliśmy oczy i pocałowaliśmy się jeszcze raz. I jeszcze.

A więc to znaczy być kochanką, Leilo.

Imad przesunął dłoń po moim karku, musnął obojczyk.

– Podobasz mi się w tych kolczykach – powiedział.

– Madame też – rzuciłam, przyprawiając go tym o śmiech.

Imad odprowadził mnie do domu. Kazał mi obiecać, że na pewno przyjdę w piątek, chociaż nie miałam wtedy lekcji, żebyśmy mogli wybrać się razem do biblioteki – jeszcze przed jego rozmową z ludźmi ze służby bezpieczeństwa – i razem przeczytać niesamowity tekst.

– Serio?

– Jeśli nas wpuszczą – zażartował Imad. – Może pocałuję cię w tej ich klatce.

Nie pojechałam na górę windą, poszłam schodami, by dłużej rozkoszować się tym cudownym uczuciem oszołomienia. Na wargach wciąż czułam pocałunki Imada, na kolanach wilgoć jego żelu do włosów. A w głowie miałam tylko niesamowity tekst.

Ledwie weszłam do mieszkania, dowiedziałam się, że dzwoniła moja mama. Wiedziała już o sankcjach i nocnych strzałach, więc bardzo się martwiła.

– Ciągłe słyszę wiadomości o zamieszkach – powiedziała, kiedy zadzwoniła ponownie. – Wszystko w porządku?

– No cóż, Maria wyjechała – odparłam.

– Jaka Maria?

– Chodziła ze mną na lekcje. Teraz zostałam na nich sama. – Kiedy wypowiadałam te słowa, nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Ciągłe czułam smak pocałunków Imada. Ale mama zrozumiała to opacznie.

– Wiesz, kochanie – powiedziała – w maju mamy zjazd rodzinny. Przecież ty też nie musisz tam siedzieć.

– W maju ciągle tu będę.

– Tak, wiem, ale to naprawdę wielki zjazd. Może jednak chciałabyś na nim być.

– Miałabym wrócić do domu wcześniej?

„Tylko ty mi zostałeś”, powiedział Imad. „Razem przeczytamy niesamowity tekst”.

– Tylko na ten zjazd. Potem przecież zawsze możesz znów wyjechać. Zastanów się nad tym, dobrze?

Tego wieczora wszyscy w domu się ze mną droczyli. Robili sobie żarty na temat angielskiego imienia Imada – Matt, które po arabsku znaczyło umarłego.

– Jak tam się miewa twój *Allah yerhamo*, Beo? Nadal Matt, niech Allah czuwa nad jego duszą?

– Widziałam, że odprowadził cię dziś do domu. Prawdziwy Qais z niego!

– Mama organizuje w maju zjazd rodzinny – postanowiłam zmienić temat. – Pytała, czy nie chciałabym na nim być.

Na te słowa twarz Nisrine zastygła jak martwa.

– To znaczy wyjechać?

Sama marzyła o wyjeździe. Ale nie miała matki, która by jej na to pozwoliła. Zawstydziałam się.

– Na ten zjazd.

– Przecież miałaś zostać aż do września – odezwała się madame.

To przypomniało mi o jeszcze jednej sprawie.

– W ten piątek mam kolejną lekcję – powiedziałam.

– W piątek? – zdziwiła się madame. – Piątek to dzień dla rodziny. Myślałam, że lekcje masz we wtorki i soboty.

Nisrine wpatrywała się w okno nieruchomym wzrokiem.

Lema pokręciła głową.

– A co z twoim nauczycielem, Beo? *Mat Mattem, Allah yerhamo*. Gdzie indziej znajdziesz martwego chłopaka, jeśli wyjedziesz?

\*\*\*

Imad wcale nie był prawdziwym Qaisem mimo żartów Lemy. Nawet nie chciał nim być. Był opanowany i miły dla mnie, a poza tym podobały mi się jego ciepłe pocałunki.

Poszłam za Nistrine do sypialni.

– Imad mnie pocałował.

– Naprawdę?

W normalnej sytuacji wspólnie uczciłybyśmy taką okazję.

Ale teraz ona myślała o innych sprawach.

– Naprawdę wyjedziesz, Bea? Przecież jesteś tu szczęśliwa.

Bo byłam. Byłam szczęśliwa po części dzięki niej. Ciągle miałam nadzieję, że ona też będzie szczęśliwa, że wszystko się ułożyło, że znajdziemy jakiś sposób.

– Może kiedy będziesz wyjeżdżać, zabierzesz mnie ze sobą – dodała jeszcze.

– Ha, ha, byłoby cudownie!

Leżałyśmy na łóżku i rozmawiałyśmy o naszych wymarzonych domach. W moim Imad układał wszystkie swoje najlepsze książki. W domu Nistrine były: dobre jedzenie, rodzina i kwiaty jaśminu Adela.

A potem Nistrine powiedziała:

– Nie dbam już więcej o domy.

– Nie?

Czasami mówiła rzeczy, których wcale nie myślała. Podejrzewałam, że właśnie tak jest tym razem.

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek odbudowała mój dom.

– Na pewno odbudujesz.

Nistrine pokręciła głową.

– Nie, mam takie przeczucie.

Nie bardzo wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

– Zresztą to przecież tylko dom. Co mnie obchodzi kupa betonu?

A co nas obchodzi cokolwiek? To leży w naszej naturze, miałam ochotę jej powiedzieć, po prostu jesteśmy ludźmi. Wiedziałam, że kocham dziwne rzeczy, takie jak słowa i książki, ale nigdy nie straciłam wiary w tę miłość ani w potrzebę jej odczuwania. Dlaczego mielibyśmy o nic nie dbać? Nigdy nie wątpiłam w to, że zależy mi na Nistrine. Nie musiałam.

A Nistrine nigdy nie musiała zadawać sobie pytania, czemu zależy jej na Dounii, Adelu czy odbudowywaniu domu. Marzyła o przyszłości, o szczęściu swojego synka – i właśnie dlatego niezliczone poranki spędzała z beżową szmatką w rękę, wypatrując najmniejszych smug na szybach. Teraz znieubiła chyba nawet przyszłość.

Wpatrywałam się w nią bez słowa, dopóki nie poddała się i nie dodała z westchnieniem:

– W porządku, Bea, odbuduję dom. Czasami wydaje mi się, że wszystko byłoby w porządku, gdyby choć raz ktoś był po mojej stronie.

Nisrine ciągle miała wątpliwości, *baba* nic nie zrobił, Adel też nie, a ja powtarzałam jej tylko: „Postaraj się, Nisrine”. Jakby takie rady mogły jej pomóc.

Kiedy teraz o tym myślę, mam ochotę wystąpić naprzód, wstać i powiedzieć: Jestem przy tobie, jestem po twojej stronie. Chodźmy stąd razem, znajdę ci nową rodzinę albo jakieś inne zajęcie. Na pewno zdołamy uniknąć tego, co ma się wydarzyć, razem na pewno możemy coś zrobić – nie musimy oglądać się na Adela, *babę* czy *mamę*. Czemu w ogóle kiedykolwiek na nich liczyliśmy?

Ale żyliśmy w tak niewielkim kręgu, gdzie każdy nasz ruch był obserwowany przez madame, policję czy sąsiadów. Uczucie uwięzienia jest bardzo realne – doświadczasz go w ścierpniętych nogach, tak samo jak w zbyt ciasnym umyśle. Przez następne tygodnie to uczucie miało w nas narastać, stawaliśmy się coraz bardziej zaszczuci, aż wreszcie poczuliśmy się zapędzeni w kozi róg, z którego już nie było ucieczki. Zapłaciliśmy za to wysoką cenę.

Ale to miało przyjść później. Na razie w tamtym pokoju wierzyłam jeszcze, że miłość to coś trwałego, że dopóki Nisrine z nami jest, wszystko jakoś się ułoży, a największą tragedią byłoby jej odejście.

W końcu wróciliśmy do rozmowy na temat pocałunków. Nisrine chciała wiedzieć, jaki jest Imad. Brak tchu i poważna rozmowa.

– Bea, czego byś mi życzyła?

– Tobie? – Staralam się przypomnieć sobie, o czym marzyła. – Sama nie wiem. Nowego domu, powrotu do synka i wielkiej miłości.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Chwila przerwy. – A ty czego mi życzysz?

Nisrine zamyśliła się na moment.

– Wolności, żebyś mogła być, kim tylko zechcesz.

– Dziękuję. – Znowu chwila milczenia, zanim wreszcie rzuciłam: – Chciałabym dodać coś jeszcze do moich życzeń. Ja tobie też tego życzę.

## PRZESŁUCHANIE

Ojciec Adela powiedział mu: „Jesteś policjantem, zawsze możesz coś zrobić”.

Oto rzeczy, które Adel mógł zrobić:

Mógł zapukać do naszych drzwi i poprosić madame o rozmowę. Obserwował interakcje Nisrine z tą rodziną, więc wiedział, kto jest prawdziwym źródłem problemów. Policjanci nie wtrącali się jednak w sprawy rodzinne.

Mógł przyjść Nisrine na ratunek w jakiś inny sposób, na przykład wykorzystując wąż strażacki, tak jak kiedyś żartowali. Albo zdobywając pieniądze. (Tylko skąd? Od matki?)

I mógł nie robić nic.

Qais też nic nie zrobił.

A on zrobił, co mógł.

Pod koniec tygodnia Adel zszedł do sutereny, w której przeprowadzano rozmowy z byłymi więźniami. Popatrzył na mężczyzn pobierających numerki z czerwonego podajnika. Ale nie wezwał następnego interesanta z kolejki, tylko człowieka spoza niej. *Baba* zajął miejsce po drugiej stronie metalowego biurka. Adel zmierzył go i zważył niczym pielęgniarka w szpitalu, a potem, jak zawsze, zapisał te informacje w formularzu – dla upewnienia się, że *baba* nie zapłacił komuś za przyjęcie tu zamiast niego.

– Zajęcie? – zapytał Adel.

– Introligator – odparł *baba*.

– Spotkane osoby?

– Nazbyt wiele.

– Spotkane osoby? – powtórzył Adel.

– Mohanad al-Hasbi.

– W jakich okolicznościach?

– Niewielkie przyjęcie u niego w domu.

– Inne osoby?

– Nie znałem zbyt wielu ludzi na tym przyjęciu.

– Inne osoby?

– Haisam Marwani.

– Rodzina? – naciskał Adel.

– Moi bracia byli tam ze mną.

– Zatrudnienie?

– Zajmujemy się oprawianiem książek. Mam mały warsztat.

– Najbliższa rodzina? – dopytywał Adel.

– Co takiego?

– Najbliższa rodzina.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Żona? – rzucił Adel.
- Moją żonę zostawcie w spokoju!
- Żona, syn, córki. Służąca! – naciskał Adel.

*Baba* wstał.

– Powiedziałem to raz i powtórzę. Przychodzę tu, odpowiadam na wasze pytania. Ale moją żonę, moją rodzinę zostawcie w spokoju.

- Macie jedną służącą.
- Jest dla nas jak rodzina.
- Siadać! – warknął Adel. – Jeszcze nie skończyliśmy.

*Baba* usiadł.

– Żona?

– Pytał mnie pan o pracę. Już mówiłem, opraviamy Koran. Pytał pan, gdzie byłem. Więc powiedziałem, że byłem na przyjęciu. Pytał pan o moich braci, więc i o nich panu powiedziałem.

– Żona – powtórzył Adel.

*Baba* kopnął w stół. Metalowe nogi brzdęknęły głośno o betonową posadzkę.

– Służąca – rzucił Adel. – Dokąd się udała? Dokąd ją posłaliście? Wróciła dwie godziny później, a wasza żona jej nienawidzi. Co takiego zrobiła, że zasłużyła sobie na podobne traktowanie?

– Zawołajcie mi tu prawdziwego mężczyznę – obruszył się *baba*. – Nie jesteś mężczyzną, nie będę z tobą rozmawiał. Zawołajcie prawdziwego mężczyznę, z nim porozmawiam.

– Siadać – burknął Adel.

*Baba* posłusznie usiadł. A wtedy Adel go uderzył.

– No właśnie, pobij mnie. – *Baba* znów zerwał się na równe nogi. – Nie jesteś mężczyzną. Uderz mnie jeszcze raz.

Adel poczuł, że rośnie w siłę, serce w nim wzbiera. Uderzył ponownie *babę*, a ten opadł ciężko na stołek, jakby ten cios naprawdę go zabolął.

– Służąca – powtórzył Adel.

– Nie mam żadnych służących. Moja żona ma.

– Nisrine – rzucił Adel. – Co jej zrobiliście? Jest nieszczęśliwa i chce stąd odejść. Co jej zrobiliście?

\*\*\*

Adel był w nieustannym ruchu. W swoich opowieściach zawsze to zrywał się na równe nogi, to przysiadł na murze, by pokazać na przykład, jak przytulał matkę. Jak koledzy ze straży granicznej żartowali sobie z jego akcentu. Kiedy rozmawiał z Nisrine, pragnął, żeby uderzyła go w brzuch, z całej siły, tak jak robią to policjanci, bo chciał poczuć dotyk jej dłoni. Oczywiście, że nie mogła tego zrobić, nie dosięgnęłaby go z balkonu.

Uderz mnie, Nisrine! Uderz mnie w brzuch!

Po awanturze Adel poszedł na dach. Krew ciągle żywiej krążyła mu w żyłach, w głowie miał gonitwę myśli. Zadzwoił do matki. Wciąż myślał o przesłuchaniu, o tym, że pobił *babę*.

– Mamo, czy kiedykolwiek widziałaś bójkę?

– Tak.

– I co wtedy czułaś?

– Obrzydzenie.

– Było ci naprawdę niedobrze, kiedy na to patrzyłaś?

– Tak.

Jego pięść wymierzająca cios miłemu *babie*.

– Masz rację, nie lubię się bić.

– Nie?

– Kiedy bierzesz udział w bójce, też robi ci się niedobrze. Chociaż nie od razu. Na początku czujesz tylko adrenalinę i wiesz, że pobijesz tego faceta. Ale potem... Potem wszystko wyduje się takie bez sensu, a tobie robi się niedobrze.

Matka westchnęła.

– W takim razie nie bij się, Adelu.

Co jeszcze mógłby zrobić?

Wciąż pamiętał, jak spotkał ją po raz pierwszy. Idealny wykrój jej warg, drobną dłoń podającą mu jabłko. Najpierw pokochał tę dłoń, dopiero potem resztę. To był jedyny raz, kiedy jej dotknął.

Ale teraz, kiedy rodzina się dowie, Nisrine będzie miała jeszcze większe kłopoty. Co mógłby dla niej zrobić? To jest właśnie problem z jakimkolwiek działaniem: jeden krok prowadzi do następnego.

Pomyślał o ich starym żarcie. „Uciekniesz ze mną?”, wypowiedziane jej wysokim głosem. Bo to był tylko żart, prawda?

– Adelu? – Matka ciągle czekała po drugiej stronie linii. – Powiedziałam, żebyś się nie bił.

Jego serce zwolniło. Pulsowanie krwi w uszach zastąpił strach, niczym trzepoczące skrzydełkami motyle.

– Po prostu czasem nie da się tego uniknąć. Jesteś zakochany, a ona ma kłopoty. Jesteś policjantem i musisz coś zrobić.

## WIĘZIENIE

– Psy – mruknął *baba* po powrocie. Chodziło mu o policjantów. – Do tych przesłuchań wyznaczają największych debili na komisariacie. Traktują człowieka jak idiotę. Bydlaki!

Akurat siedziałam z dziećmi w kuchni, jedliśmy przygotowany przez madame jogurt. Nisrine ścierała w korytarzu kurze. *Baba* naskoczył na mnie, jakbym zrobiła coś złego:

– Wam, cudzoziemcom, wydaje się, że wszystko jest takie proste. Myślicie, że możecie zaprzyjaźniać się, z kim wam się podoba, i wtrącać się we wszystko, i że to nie będzie miało żadnych konsekwencji.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Niby w co się wtrącałam?

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że każdy, kto w tym kraju coś zrobił, ciężko pracował i cierpiał za sprawę. Tutaj każda znajomość ma swoje konsekwencje. A praca oznacza cierpienie. Znam wykształconego człowieka, autora trzech książek, którego w kwiecie wieku powołano do wojska. Żeby potem traktować go jak psa. Ale on się nie poddał. Po powrocie znów zaczął pisać, więc skazali go na zesłanie. Jego ojciec umierał, a on nie mógł wrócić, żeby się z nim pożegnać. To była jego nagroda za to, że nie pozwolił się złamać, nie zrezygnował. Mam przyjaciela, Amal go zna. W zeszłym tygodniu trafił do więzienia. Zamieścił posta na tablicy innego znajomego, w Internecie. Myślisz, że mogą prowadzić taki warsztat jak mój i nie mieć z tego powodu nieprzyjemności?

– Nie, *babo*, wcale tak nie myślę.

– Bo mam nieprzyjemności!

– Nie krzycz, Hassanie – wtrąciła się madame. – Bea nie zrobiła ci nic złego.

– Ale podobał się jej ten policjant, prawda, Beo? Zakochała się w nim i nie widzi, jakie mogą z tego wyniknąć problemy. Myśli, że nasza policja jest taka sama jak u nich. Nie zna ich przeszłości.

Ogarnęły mnie złe przeczucia.

– Przepraszam, *baba*.

Ale jego nie interesowały moje przeprosiny.

– Na północy była masakra. Wiesz, że moja pierwsza żona pochodziła z północy? Wojsko spaliło jej miasto. Nawet rzeka, nad którą to miasto leży, wyglądała, jakby stała w ogniu. Potem wszyscy musieliśmy wyprzeć się naszych przekonań. Podpisać zeznania i poddać się władzom. Ale oczywiście nikt nie chciał tego zrobić, więc wsadzili nas do więzienia. Zupełnie tak jak teraz. Policjanci, Beo, ci, których uważasz za tak przystojnych, zamykają ludzi w więzieniach. Myślisz, że mamy tu jakąś opozycję? Nie ma żadnej opozycji. Policjanci zamknęli, wygnali albo zabili wszystkich opozycjonistów. Zabijali każdego, kto myślał inaczej. Teraz są młodzi chłopcy, ale oni nie mają żadnego doświadczenia ani planu. Prezydent wie, co to za ludzie, zaprzyjaźnia się z ich przyjaciółmi. Zamyka ich w więzieniu na pół roku, rok, a kiedy wychodzą, ich kariera polityczna jest złamana. Po tym wszystkim nie chcą już mieć więcej do czynienia



z polityką. Marzą o rodzinie, o tym, by mieć co jeść i móc żyć w spokoju. To upokarzające. Traktują cię jak psa i to jest upokarzające.

– W takim razie daj spokój, Hassanie – powiedziała madame. – Zrezygnuj i żyj w spokoju. Nie pozwól się upokarzać.

– Nie, nie mogę teraz zrezygnować. Nawet najdrobniejsze rzeczy nabierają znaczenia, kiedy robi się je tutaj. Wielkiego znaczenia!

*Baba* uderzył pięścią w stół i przy okazji trafił w moją komórkę.

– Au... – jęknął. Kiedy cofnął dłoń, na pękniętej szybcie telefonu zauważyłam krew.

– Widzisz, co zrobiłeś, Hassanie – westchnęła madame.

– Nic się nie stało – zapewniłam natychmiast.

*Baba* chwycił się za dłoń.

– Naprawię to. Beo, sprawdź, czy telefon działa.

Madame okrążyła stół, żeby dodać nam do jogurtu czosnku. Przy okazji wręczyła mi serwetkę, którą wytarłam krew z komórki. Nie było sygnału. Madame podała Abudiemu kromkę chleba, a tymczasem *baba* podjął:

– W jednej celi siedziało nas razem dwustu. W murach znajdowały się otwory bez szyb, a że nie było ogrzewania, w pomieszczeniu było zimno, dopóki dobry Bóg nie postanowił podnieść temperatury na zewnątrz. Słyszycie? Dopóki Bóg nie podniósł temperatury na zewnątrz! A wam się wydaje, że macie problem z gazem. W suficie były dwa otwory, przez które wpadało światło. Bo światło świeciło się na okrągło. Kiedy zjawiłem się tam po raz pierwszy, kazali mi się rozebrać, a potem mnie pobili. Byłem numerem siedemnaście. Oczywiście nauczyli się tej metody od Amerykanów i Niemców. Słuchasz mnie, Beo? Twój pyszałkowaty kraj wtrąca się w nasze sprawy, nakłada sankcje. Ale te sankcje nie robią krzywdy władzom, tylko zwykłym ludziom. A potem przyszedł pielęgniarz, żeby wytrzeć krew. Była nawet na moich majtkach, więc musiał je odchylić, żeby ją zetrzeć. Zamknęli mnie z powrotem w tej wielkiej sali z dwoma otworami w suficie, a ja poczułem się szczęśliwy, bo wiedziałem, że nie będzie już bicia, za to mam światło. Sama widzisz, jak bardzo ograniczyłem swoje wymagania! Myślałem, że przez te otwory wpada słońce, i naprawdę się cieszyłem, ale to nie było słońce, tylko sztuczne światło. Strażnicy obserwowali nas przez te otwory, w świetle mieli nas jak na dłoni. Nie mogliśmy zrobić najmniejszego ruchu bez ich wiedzy, a jeśli któryś z nas choćby drgnął, natychmiast to widzieli. Generał patrzył razem z nimi i mówił: Widzicie tego człowieka? Następnego dnia strażnicy zabierali takiego biedaka i bili go, a potem wrzucali z powrotem do celi. A my nie mieliśmy go czym wytrzeć, więc ścieraliśmy jego krew własnymi rękami. Jedz jogurt, Abudi.

– Możesz odejść od stołu, Abudi – odezwała się madame. – Idź się pobawić w salonie.

*Baba* tymczasem ciągnął:

– A tym, których zabili, nikt nie wystawiał aktów zgonu. Oczywiście wiem, kogo zabili. Ale dokumentów nie ma. I teraz to wielki problem, bo akty własności domu, sklepu czy samochodu są na nazwisko takiego człowieka, a nie da się tego wszystkiego przepisać na żonę czy dzieci, dopóki urzędnicy nie zobaczą aktu zgonu, którego przecież nie ma

i nie będzie. I taka żona nie może już wyjść powtórnie za męż.

– Szczęściarzy! – westchnęła madame.

*Baba* skinął głową w jej stronę.

– Ona pojawiła się już po mojej podróży.

Znaczyło to, że ożenił się z madame po wyjściu z więzienia.

– Miałam szczęście – orzekła madame. – Twoja pierwsza żona też, bo dzięki temu, że wróciłeś, mogła powtórnie wyjść za męż.

– Bóg dba o swoje dzieci – odparł *baba*.

W tym momencie do kuchni wpadł Abudi.

– Bea, Nisrine jest wyższa od ciebie! – zawołał.

Nisrine stała w korytarzu na drabinie i omiatała sufit. Po jej minie poznałam, że wszystko słyszała.

*Baba* spojrział na nią, a potem powiedział:

– To jest właśnie mój problem.

Wszyscy popatrzyliśmy na Nisrine. Do tej pory sądziłam, że to ja jestem jego problemem – ja i moja ojczyzna. Zresztą cały czas mówił przecież do mnie.

*Baba* tymczasem przeniósł wzrok na żonę.

– Nie złość się na nią, Amal, to nie jej wina. Ja jestem wystarczająco wściekły za nas wszystkich. Policjant mnie pobił, wypytywał o nią. – Przy tych słowach wskazał Nisrine.

Cisza. A więc w tym tkwił problem. Dlatego *baba* wrócił wściekły na wtrącających się we wszystko Amerykanów i narzekał na konsekwencje przyjaźni.

Adel pobił *babę*. I pytał o Nisrine.

W głowie mi się zakręciło. Ale przecież to mnie pierwszej wpadł w oko, wszyscy o tym wiedzieli. I to ja siedziałam teraz w kuchni naprzeciwko *baby*, mój kraj nakładał bezmyślne sankcje, więc to na mnie *baba* wylał swoje żale.

Wszyscy wstaliśmy. Madame uniosła rękę, przez chwilę miałam wrażenie, że zaraz doskoczy do nas i uderzy *babę*, mnie albo Nisrine, sama już nie wiedziałam kogo. Ale ona opuściła rękę i opadła z powrotem na krzesło. *Baba* usiadł obok niej. Wyglądali na bardzo starych, kiedy tak siedzieli ramię w ramię. Widziałam wszystkie ich zmarszczki, przypominali balony, z których uszło powietrze.

Nisrine zeszła z drabiny.

– Przepraszam, *baba* – powiedziała. – Wszystko naprawię – dodała ze zdeterminowaną miną.

Ale cała złość uleciała już z *baby*. Wcześniej był wściekły za nas wszystkich, na mnie się to po prostu skupiło.

Popatrzył na Nisrine, a ona popatrzyła na niego, na madame i na mnie, jakby nie wiedziała, co robić. Wszyscy czworo wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, aż wreszcie madame powiedziała:

– Nisrine, weź się do prasowania.

– Naprawię to – powtórzyła Nisrine, ale oczy jej błyszczały.

A ja nagle uświadomiłam sobie, że przez cały ten czas czekała, prosiła, szukała. Była nieszczęśliwa, jak zamknięta w potrzasku. Pytała *babę*, pytała mnie, a my nie

robiliśmy nic...

Adel pobił *babę*.

Wreszcie coś zrobił.

*Baba* wstał. Na moment zatrzymał wzrok na odwróconej plecami Nistrine, a potem rzucił do żony:

– Wychodzę. Potrzebujesz czegoś? – Jego dłoń ciągle krwawiła.

– Teraz? – Madame wstała. – Zostań jeszcze trochę, Hassanie.

Ale *baba* już szedł po buty.

– Daj jej spokój, Amal – powtórzył. – To dobra dziewczyna. – Popatrzył na mnie.

– Bea też. Policjant pytał o Nistrine. Potrzebujemy jej. – A potem dodał: – Lema, przynieś mi skarpetki.

*Baba* nie wyjawiał, dokąd się wybiera, ale atmosfera się zmieniła. Mieliśmy podejrzenia, o co może chodzić. Spory między nami przestały mieć znaczenie, teraz wszyscy próbowaliśmy go zatrzymać.

Lema przewróciła oczami, powoli kończąc jogurt. Specjalnie to przeciągała, zanim pójdzie spełnić prośbę ojca.

– Zachowuje się tak, jakby był moim mężem, a nie twoim – rzuciła do madame.

– To twój ojciec.

Lema przyniosła ojcu skarpetki z szafy w korytarzu.

– Beo, jaki to kolor? Bo mnie te skarpetki wyglądają na czarne. Nie chcę czarnych.

A mnie ciągle wirowało w głowie. Myślałam o *babie* bitym przez Adela. I o Adelu wciąż zadającym pytania. Myślałam, tak samo jak Nistrine, że wcale nie chciał zrobić krzywdy *babie*. A jednak...

*Baba* wahał się, czy podpisać proklamację.

– Mój Boże, *baba*, naprawdę masz problem ze wzrokiem. One nie są czarne, tylko grafitowe. – Lema odpowiedziała zamiast mnie w sprawie skarpetek.

– No właśnie – przytaknęła madame. – Włóż je. Wszystkie zimowe skarpety są pochowane, więc ich nie dostaniesz.

*Baba* naciągnął skarpety, a madame aż się uśmiechnęła.

– Widzicie, jak mnie słucha?

Ale tylko w sprawie skarpet. Nie w kwestii pozostania w domu.

– Bo jestem głupi jak osioł. Dlatego cię słucham. Beo, daj mi swój telefon.

– Naprawdę nie ma sprawy, *baba*.

Nie wychodź. Nie wychodź, nie rób nic pochopnie, nie podpisuj tylko z powodu tej bójki. Nie pozwól, żeby ta sprawa też miała poważne konsekwencje.

– Nie bądź niemądra. Ja go zepsułem, więc ja go naprawię.

Niechętnie oddałam mu komórkę.

– Przepraszam, *baba*.

– Pamiętaj o nas, Hassanie – odezwała się madame. – Zanim zrobisz coś pochopnie, przejdź się i pomyśl o nas.

– Potrzebujesz czegoś? – powtórzył *baba*.

Przychodziło mi do głowy parę rzeczy: bezpieczeństwo *baby* i Nistrine, nowa komórka, żeby to wszystko w ogóle się nie wydarzyło. Musimy porozmawiać z Adelem,

zanim *baba* podpisze, Nisrine musi porozmawiać z Adelem...

Madame pokręciła głową.

– Nie, Hassanie. Tylko żebyś był zdrowy.

\*\*\*

Potem przez chwilę wszyscy wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem, milcząc. Od dłuższego czasu madame coś podejrzewała. Teraz miała już pewność, ale *baba* kazał jej obiecać, że nic nie zrobi. Oboje byli po tej samej stronie. Więc po prostu patrzyła bez słowa.

*Babie* łatwiej było zrzucić winę na mnie jako na Amerykankę. Obwiniając mnie, mógł mi uświadomić grzechy Amerykanów. Madame łatwiej było obwinić Nisrine, służącą, która w jej oczach była winna tylu innych rzeczy. Teraz okazało się, że jak najbardziej słusznie.

Przedtem madame nie chciała przebywać w tym samym pomieszczeniu, co Nisrine. Teraz wołała nie spuszczać z oka nikogo z nas w obawie, że nieopatrznie wdamy się z kimś w rozmowę. Siedzieliśmy więc wszyscy razem w kuchni, obserwując, jak światło dnia powoli gaśnie za oknem. W końcu Nisrine nie była w stanie dłużej tego znieść i poszła prasować do holu, tam, gdzie madame mogła ją nadal widzieć. W półmroku nadciągającego zmierzchu jej oczy lśniły niczym gwiazdy.

W głowie kłębiły mi się tysiące myśli. Co powinniśmy teraz zrobić? Porozmawiać z policjantami, spróbować wszystko naprawiać. A madame wciąż nas obserwowała.

Aż wreszcie się odezwała:

– Mieliśmy problemy już wcześniej, nie po raz pierwszy nam się to zdarza. Pamiętam, jak obcy weszli do sąsiedniego państwa. Na ulicach były czołgi, punkty kontrolne i w ogóle. Zupełnie jak teraz, tyle że wtedy było o wiele więcej punktów kontrolnych. Żyliśmy tak dziesięć lat, pod boki obcego wojska.

– To musiało być naprawdę trudne – powiedziałam.

Madame wzruszyła ramionami.

– Rebelianci się zorganizowali i zepchnęli obce wojska na południe. Pojawiły się pogłoski, że okupanci mają się wycofać. Lema miała wtedy półtora roku. Moja przyjaciółka mieszkała na południu, więc pojechałam do niej w odwiedziny, żeby popatrzeć na tych obcych żołnierzy, zobaczyć, jak wyglądają, zanim się wyniosą. Było zimno, tak strasznie zimno, a wszyscy tutaj okropnie się o mnie bali. Wciąż pytali *babę*, jak mógł mi na to pozwolić. I jeszcze zabrać ze sobą dziecko. Pamiętam, że kiedy wracałyśmy taksówką, okropnie się bałyśmy. Bo widzisz, sytuacja bardzo się pogorszyła. I było zimno, tak strasznie zimno. Czekaliśmy na stacji pięć godzin, aż taksówka się zapełni. Kierowca nie chciał ruszyć bez pełnego auta, idiota. Po pięciu godzinach mieliśmy trójkę pasażerów, więc powiedziałam mu, żeby wreszcie jechał, bo jest komplet. Ruszyliśmy na północ, ale obcy żołnierze co rusz zatrzymywali nas w punktach

kontrolnych. Pamiętam, że jeden popatrzył na Lemę i zażartował. Znali trochę słów po arabsku, na przykład „otworzyć okno”. Robili straszne rzeczy naszym sąsiadom, mordowali ludzi. Ale ja nie mogłam się na nich napatrzeć. Wydawali mi się tacy piękni!

Piękno. Mężczyźni w mundurach wrogiej armii, którzy nie powinni ci się podobać, a jednak się podobają.

– Rozumiem Hassana – dodała madame. – Sama lubię obserwować, angażować się w coś. Ale w przeciwieństwie do niego nigdy nie zostaję długo, niczego nie podpisuję. Dzień czy dwa i wolę się wycofać.

Stanęłam obok niej przy oknie. Na zewnątrz było już ciemno. Przez chwilę wpatrywałyśmy się w miasto, ulicę przypominającą czarną rzekę, jasną poświatę ekranów telewizorów, rozświetlającą okna mieszkań niczym choinkowe lampki.

– *Mama*, co będzie z *babą*?

– Nie wiem.

– Myślisz, że naprawdę podpisze ten dokument?

– Nie wiem, Beo. Nie wiem.

– Może da się to jeszcze naprawić.

Madame spojrzała na mnie z ukosa.

– Dość już zrobiłaś, nie próbuj niczego naprawiać.

Ale w głębi ducha tak bardzo chciałam spróbować. Adel, pomyślałam. Adel, który wreszcie coś zrobił. Czy naprawdę pobił *babę*? Nagle poczułam, jak te wszystkie uczucia, które w głębi ducha do niego żywiłam, powoli znikają, a jego miejsce zajmuje Imad. Imad, który zwiedził całą Anglię, który, o ile było mi wiadomo, nigdy nikogo nie uderzył. Imad, który umiał pracować z cudzoziemcami, co tak mnie w nim pociągało, a co wzbudzało podejrzenia policji. Jego pocałunki były niczym podziękowania, trwające jeszcze długo po zakończeniu lekcji. Nie był jednak Qaisem. Mimo wszystko. Jutro go zobaczę, przed jego rozmową z funkcjonariuszami służby bezpieczeństwa pójdziemy razem do Biblioteki Narodowej. Może on zdoła mi pomóc, może dzięki niemu wreszcie przeczytam niesamowity tekst. Od tak dawna marzyłam o tym, by móc nad nim popłakać, ale teraz nie wiedziałam już, czy pragnęłam płakać nad pięknem słów, czy tylko po to, żeby Imad mnie pocieszył.

– *Mama*, miałaś jakichś chłopców przed *babą*?

– Tak – odparła madame. – Miałam wielu chłopców.

– Który był twoim pierwszym?

– To był syn sąsiadów. Miałam wtedy trzynaście lat.

– A którego kochałaś najdłużej?

– To nigdy długo nie trwało.

– W takim razie dlaczego z *babą* się nie skończyło?

– Dokonaliśmy wyboru, więc musieliśmy przy nim wytrwać. – Madame została wydana za męża w wieku dwudziestu trzech lat.

Lema od dłuższej chwili przysłuchiwała się tej rozmowie, stojąc za naszymi plecami.

– Czy małżeństwo jest trudne? – zapytała teraz.

– Bardzo. Chociaż kochałam Hassana, wiele razy myślałam o odejściu. Ale

dokonałam wyboru.

Pomyślałam o *babie*, o tych wszystkich wieczorach, kiedy wracał do domu, a my cieszyliśmy się na jego widok. I o tej pozbawionej dziennego światła celi.

– Twoje małżeństwo z *babą* jest udane?

Madame zamyśliła się na moment, zanim powiedziała:

– Tak, jest udane.

– Myślisz jeszcze czasem o odejściu?

– Nie, teraz jest znacznie łatwiej, bo zrobiło się normalnie. Wszystko jest normalnie.

– A pokochałaś jeszcze kogoś po tym, jak wyszłaś za *babę*?

– Skąd! To już dawno skończone.

W głowie znów toczyłam targi. Wszystkie słowa, jakie znam, za bezpieczeństwo *baby*. Moje książki za to, żeby cała sprawa jakoś się ułożyła.

– Mamo, a dlaczego wybrałaś *babę*? – zapytała Lema. – Przecież kiedy przyszedł do ciebie, nic nie miał. Dopiero co wypuścili go z więzienia.

– Jego rodzina mnie okłamała. Powiedzieli, że dadzą mu oba warsztaty i pieniądze. Ale niczego mu nie dali. Na wszystko musiał zapracować sam.

– Co najbardziej w nim lubisz? – dopytywała Lema.

Zawsze tak się o niego martwiliśmy. Wieczorami czekaliśmy na niego i nie chcieliśmy, żeby gdziekolwiek wychodził. A teraz ta proklamacja. Popatrzyłam na madame.

– Co powiedziałaś, *mama*? – zapytałam, bo rzuciła słowo, którego nie rozumiałam. Powtórzyła je, a potem dodała: – ...i jego cierpliwość.

Przyjechałam tu, żeby przeczytać niesamowity tekst.

Uczyłam się tych wszystkich arabskich słów na określenie miłości.

A jej ulubioną cechą męża określało słowo, którego nie znałam.

\*\*\*

Kobiety zostają, mężczyźni odchodzą, a my nie wiemy, jak pomóc, co zrobić.

Siedziałam z nimi w kuchni jeszcze długo, podczas gdy Nisrine prasowała. Kiedy zrobiło się późno, madame położyła Dounię i Abudiego spać. W ten sposób natknęła się na moją walizkę na kółkach, która miała posłużyć Nisrine do jej wielkiej ucieczki.

– Bea, wybierasz się dokądś? – zapytała madame, wyciągając walizkę na korytarz.

– Nie.

– Myślałam, że to twoja walizka.

– Jest moja – odezwała się Nisrine.

– Dałam ją Nisrine, żeby miała w co spakować swoje rzeczy.

Obie z Nisrine kochałyśmy policjanta, obie z nim rozmawiałyśmy, więc obie byłyśmy winne. Choć on odwzajemnił uczucie tylko jednej z nas. I ta świadomość sprawiała, że jeszcze mocniej zapragnęłam wszystko naprawić, znaleźć jakieś rozwiązanie. To prawda, byłam cudzoziemką, ale zależało mi na tej rodzinie.

– Nie musisz tego robić. – Madame zwróciła się wyłącznie do mnie. – Ja jestem za nią odpowiedzialna. Mogę jej kupić taką walizkę.

– Nie ma problemu, i tak jej nie używam.

– Ja jestem za nią odpowiedzialna. Miałam zamiar kupić jej dużą walizkę w przyszłym roku, kiedy jej kontrakt dobiegnie końca. A ta tylko zawadza w sypialni. Dzieci nie mogą dostać się do szafy.

Poszłam z madame, żeby napić się wody z butelek, które napełniłyśmy na noc. W korytarzu uprasowane rzeczy pyszniły się w schludnych stosach, żelazko połyskiwało na desce do prasowania, gdzie zostawiła je Nisrine.

Madame dała mi butelkę do potrzymania.

– Widzisz, Beo, żelazko jest ciągle włączone. Ona jest niebezpieczna. Chce nas zabić. Najpierw gaz, a teraz to. – Wyciągnęła wtyczkę z gniazdka.

– Przecież je wyłączyła – rzuciłam czym prędzej. – Wtyczka była w gniazdku, ale żelazko nie grzało.

– Nie rozumiesz, bo nie masz dzieci. Ale może kiedyś to pojmiesz. Mam obowiązek dbać o swoje bezpieczeństwo. Chyba widzisz, jak przed jedzeniem opłukuję natkę pietruszki jodyną? To żeby zabić wszystkie zarazki, tak na wszelki wypadek, bo tę pietruszkę spryskują ściekami. Tutaj nawadnia się nimi pola. Nie wiem, czy kiedy nie patrzę, ta dziewczyna rzeczywiście myje natkę, a może myli jodynę z wybielaczem. Z nią nigdy nie wiadomo. Nie mogę jej już ufać. – Madame pokręciła głową. – Nie masz dzieci, Beo. Nie wiesz, jak to jest stworzyć rodzinę, żeby jakiś obcy w jednej chwili ci ją zniszczył.

Madame chciała, żeby Nisrine odeszła. Narzekała, odkąd oboje z *babą* przywieźli Nisrine z powrotem. Ale zależało jej na tym, żeby wszystko odbyło się na jej warunkach.

Nisrine kochała policjanta, który pobił *babę*, i była to chyba ostatnia kropla, która przekonała *babę* do podpisania proklamacji. Jeśli miał się bić, to z powodu jej podpisania, czegoś, z czego mógł być dumny.

Madame już wiedziała, że nic na to nie poradzi. Nisrine chciała odejść, więc Adel pobił *babę*, a ten poszedł podpisać dokument, przez co znajdzie się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Ale w sprawie walizki madame mogła coś zrobić.

To nie była tylko wina Nisrine: jeśli *baba* podpisze proklamację, to będzie jego wybór – nie jej, nie mój, nie Adela.

Pomogłam madame wciągnąć walizkę z powrotem do sypialni i upchnąć ją na najwyższej półce, do której można było się dostać tylko po drabinie, żeby tam czekała do przyszłego roku, aż kontrakt się skończy i Nisrine będzie mogła odejść.

\*\*\*

Nie próbowałyśmy rozmawiać z Adelem, madame ciągle nas obserwowała.

Chciałam zamienić choć parę słów z Nisrine, ale też nie miałam odwagi.

Tej nocy śniłam o Imadzie. Byliśmy razem w Stanach – Imad świetnie tam pasował i mówił po angielsku z idealnym akcentem. Tutaj to ja się wyróżniałam z moimi wiecznie rozczochranymi włosami i luźnymi džinsami. Imad ubierał się nienagannie i w tym moim śnie coraz bardziej wtapiał się w amerykańską kulturę, tak jak Qais, który z czasem stopił się w jedno z mianem Oszalałego z miłości do Leili, albo jak ta niewielka blizna na moim palcu w miejscu, gdzie w dzieciństwie zacięłam się nożyczkami – coś oddzielnego, a jednak część mnie.

W środku nocy obudził mnie dotyk dłoni *baby* na moim ramieniu.

– Bea, telefon do ciebie.

A więc jednak do nas wrócił. I nie był już wściekły. Cuchnął dymem i starymi mężczyznami.

Delikatnie zsunęłam z siebie nogi Lemy i ruszyłam za nim, bezszelestnie niczym nawiewany wiatrem pył, aż do salonu, gdzie *baba* wręczył mi domowy telefon.

To był ojciec. Próbował dodzwonić się na moją komórkę, ale na próżno. Nie kontaktował się ze mną zbyt często. Teraz też nie zdawał sobie sprawy, że tutaj jest druga nad ranem.

– Co sływać? – zapytał.

– Wszystko w porządku.

*Baba* usiadł naprzeciwko mnie. Przygarbiony, w ciemnościach przypominał samotną górę.

– Mama mówi, że może wrócisz do domu wcześniej – dodał ojciec.

Rzeczywiście zastanawiałam się nad tym, ale kiedy to powiedział, nagle poczułam, że wcale nie mam ochoty się do tego przed nim przyznawać.

– No cóż, ma być przecież ten wielki zjazd.

– To chyba dobry pomysł. Mamie najwyraźniej bardzo zależy na twoim powrocie.

Siedziałam z podkulonymi nogami niedaleko *baby* w salonie pogrążonym w ciemnościach. W Stanach ojciec właśnie przygotowywał kolację. Słyszałam, jak kroi pomidory, ściera ser na tarce. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłam pomidory z tartym serem. Przymknęłam oczy, wyobrażając sobie, że jestem teraz z ojcem w domu. Starłam się wyciszyć jego słowa, by wsłuchać się w odgłosy tarcia sera.

– Coś ty taka milcząca? – zaniepokoił się ojciec. – Wszystko w porządku?

Gdybym zechciała, bez trudu mogłabym opisać każdy ruch, jaki teraz wykonywał. Od czasów dzieciństwa spędzałam u niego każde lato, więc tysiące razy widziałam, jak przygotowywał w ten sposób kolację. Ale on chciał rozmawiać o tym, jak wiele kilometrów nas dzieli, i o tym, czy tęsknię za domem. On za mną tęsknił, a ja za nim? Więc przestałam udawać, że jesteśmy blisko, że nie leży między nami tyle obcych krajów. Siedziałam na kanapie i rozmawiałam z moim ojcem, który był daleko stąd. A on nie miał pojęcia, jak wygląda ta kanapa czy to miasto. Nie wiedziałaby, co począć z nieszczęśliwą służącą, policjantem albo proklamacją z żądaniem zniesienia cenzury i przeprowadzenia wolnych wyborów. Nie zrozumiałaby tego, tak jak nie rozumiał tego miasta.



Kiedy się rozłączyłam, *baba* zapytał:

– Wkrótce nas opuścisz, Beo?

Sama jeszcze nie wiedziałam, co zrobię. Chciałam go zapytać, czy podpisał ten dokument. Już nawet otworzyłam usta, ale wtedy on dodał:

– Amal chce, żebym wyniósł się z domu.

– Naprawdę?

– Martwi się tym przesłuchaniem. Uważa, że posunąłem się za daleko, obraziłem policjanta. – Nie wspomniał o Nistrine ani o moim powiązaniu z całą sprawą. – Chodzę do Klubu Dziennikarzy i to też jest niebezpieczne. To miejsce spotkań opozycji, tam trzymamy proklamację. Amal ma obawy, że policja dowie się o tym miejscu, a ja zostanę aresztowany. Moja siostra mieszka na północy, powiedziała, że mogę się u niej zatrzymać.

Na północy. Tam, gdzie kiedyś spalili miasto.

– I pojedziesz?

– Tutaj są moi towarzysze, zostanę z nimi.

Cisza. Wokół nas majaczyły w ciemnościach czarne plamy, ślady chaotycznego życia pod dachem madame. Okruchy na ławie niczym czarne kropki, stos prania, dwie szklanki po herbacie, które nie zostały odniesione do zlewu. Otaczały nas takie zwykłe, drobne rzeczy. Miałam wrażenie, że to talizmany. Jak *baba* mógłby być zmuszony stąd odejść, skoro tuż obok leży stos nieposkładanego prania? Przymknęłam oczy z nadzieją, że uda mi się odegnąć nieszczęście.

A może Adel zdoła jednak pomóc? – pomyślałam. Może jest jeszcze czas?

– Nie mówisz za wiele o swoim ojcu, Beo – odezwał się *baba*. – Czym on się zajmuje?

– Pracuje w banku. A mama jest weterynarzem.

*Baba* skinął głową.

– Lubię zwierzęta. Za to Amal ich nie znosi.

Dobrze o tym wiedziałam. Madame wiecznie narzekała na bezpańskie koty, które zakradały się do domu.

– Wiesz, że Amal była zaręczona z moim bratem?

– Naprawdę?

*Baba* skinął głową.

– Kiedy trafiłem do więzienia, przejął mój warsztat. Ale był zbyt rozrzutny. Allah dba o swoje dzieci. Po moim powrocie okazało się, że brat zrujnował firmę i że zadawał się z wieloma kobietami.

– I co się stało?

– Bóg wszystko widzi.

Nie zrozumiałam.

– Był młody i lubił kobiety. Czterdzieści dni po tym, jak wyszedłem z więzienia, trafił do szpitala i tam zmarł.

– Niech spoczywa w pokoju – rzuciłam.

– Niech spoczywa w pokoju – powtórzył *baba*, a potem podjął: – Amal bardzo go kochała. Jej dokumenty były wypisane na jego nazwisko. On też ją kochał. Po jego śmierci

przyniosłem jej te papiery. Powiedziałem jej, że brat umarł, a potem usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać, aż w końcu zapytałem ją, czy nie chciałaby wyjść za mnie, skoro jego zabrakło. A ona się zgodziła.

Pomyślałam o madame, która lubiła odkrawać tłuszcz z porządnego kawałka mięsa, która zagotowywała mleko, a potem je schładzała, żeby oddzielić śmietanę, ale nie pozwalała jej nikomu jeść, bo była taka tuczająca. Która dawała dzieciom gotowane kości, żeby mogły wyssać z nich szpik, ale jedną zawsze odkładała do plastikowej miski dla męża, chociaż kiedy *baba* wracał do domu, kość dawno zdążyła już wystygnąć.

– Jesteście z *mamą* szczęśliwi, *baba*? – zapytałam.

– Jesteśmy. *Amal* uratowała mi życie. Po wyjściu z więzienia nie miałem niczego i nikogo. Dzięki niej znów miałem o czym marzyć i wreszcie na powrót poczułem się człowiekiem. Stworzyliśmy nawet swój własny język.

Ich własny język. Zastanawiałam się, jaki on był, jak ustalali znaczenie określonych słów.

Miłość: coś, o czym można marzyć.

*Baba* wstał.

– Wracaj do łóżka.

Zabrał szklanki, żeby odnieść je do kuchni.

– To twoje przesłuchanie, *baba*... – zaczęłam.

Popatrzył na mnie uważnie.

– On jest osłem. Zapamiętaj to. Wszyscy policjanci to osły. *Nisrine* też powinna o tym pamiętać.

Pokiwałam głową.

*Baba* poklepał mnie po ramieniu, a potem westchnął.

– To naprawdę nic takiego, zupełnie bez znaczenia. Byłem już w więzieniu.

Nic takiego. Dzisiaj jesteś tutaj, a jutro wskakujesz do samolotu i wszystko przestaje mieć znaczenie. Tyle że *baba* i *Nisrine* nie mogli tak po prostu wsiąść do samolotu. Jedynie ja mogłam.

– *Baba*, podpisałeś ten dokument?

– Tak.

Cisza. Po chwili *baba* dodał:

– To nie przez to przesłuchanie, *Beo*. I tak miałem zamiar podpisać. Musiałem, żeby nie stracić honoru.

Honor, znowu to słowo. Zawsze kochałam *Nisrine* i *babę* za to, że byli tacy odważni i zawsze kierowali się honorem. Ale zaczynałam dostrzegać, jak wiele poświęceń wymaga podobna postawa. Czasami honor wcale nie jest błogosławieństwem, czasem staje między tobą a rodziną albo wszystkim tym, co kochasz.

– *Bea*, *Bea*, *Bea* – odezwał się *baba*. – Wiesz, że twoje imię ma szczególne znaczenie?

– Naprawdę? – Wiedziałam, że moje imię to arabski przyimek, „w”, „na” albo „wokół”.

*Baba* skinął głową.

– „W” – powiedział. – Jak „W imię Boga miłosiernego”, pierwsze słowo

w Koranie. – Nie byłam szczególnie religijna, ale szanowałam święte księgi. *Baba* tymczasem ciągnął: – Koran jest tekstem kolistym, to znaczy, że wciąż powraca do ważnych treści. Niektórzy uczeni twierdzą, że całą jego filozofię da się podsumować jego pierwszym słowem. *Bea*, „W”. Zawierający wszystkich. Przywołuje obecność w Bogu i w całym świecie, poczucie wspólnoty.

Zapatrzyłam się na *babę*. Kochałam język arabski za jego wieloznaczność, ale dotąd uważałam swoje imię za nieistotne. Teraz *baba* nadał mu zupełnie nowe znaczenie, zupełnie jakby ofiarował mi prezent albo otworzył przede mną sekretny świat. Wspólnota. Pragnęłam żyć w tym domu zgodnie ze swoim imieniem.

– Znasz wiersz *Ogród pośród płomieni*, *Beo*? – zapytał *baba*.

Znałam. To właśnie ten wiersz czytałam ostatnio z *Imadem*, ten o mężczyźnie, który miał zielone serce.

*Baba* skinął głową.

– Wcale się nie dziwię, to sławny wiersz. Wiem, że to nie jest jego najpopularniejsza interpretacja, ale zawsze myślałem o ogrodzie jako o błogosławieństwie i przekleństwie zarazem.

– Dlaczego?

– Mężczyzna odkrywa, że jego serce jest ogrodem, ale wiesz, że musi przejść przez ogień, żeby do niego dotrzeć.

Pomyślałam o ogniu *baby*: więzienie, utracona rodzina.

– A ty masz swój ogród, *baba*? – zapytałam.

Rozejrzał się wokół.

– Oczywiście, to wszystko.

W domu *madame* rzadko okazywało się uczucia mężczyznom. Narobiłam problemów, rozmawiałam z policjantem, co w końcu doprowadziło do bójki.

Ale teraz zrobiłam, co mogłam. Nachyliłam się i uścisnęłam *babę* z całej siły. Czulałam jego kości przez sztywny materiał koszuli.

*Baba* poklepał mnie po ramieniu.

– Dziękuję, *Beo*. To wiele dla mnie znaczy.

Taki drobny gest, bo przecież nawet nic nie powiedziałam. Ale dla mnie też wiele znaczył.

Pamiętam, że w pierwszym tygodniu po moim przyjeździe tutaj *baba* przeszedł operację usunięcia pęcherzyka żółciowego. Potem przyniósł ten pęcherzyk w plastikowym kubku i dał *Dounii* do zabawy. Strzępek ciała nadal był wilgotny od krwi.

*Madame* zaczęła opowiadać, że teraz ona musi zoperować sobie nogę.

– Ale kiedy się zdecyduje, każe się uspić. Nie będę mogła się temu wszystkiemu przyglądać, tak jak *Hassan*.

*Baba* wciąż krążył nerwowo po mieszkaniu, pozmywał nawet naczynia.

*Madame* zapytała:

– *Hassanie*, czemu tak się nadwerężasz? Idź się położyć.

Ale on nie chciał jej słuchać.

Oczywiście, że *baba* nie potrzebował narkozy. Czym jest patrzeć, jak wycinają ci woreczek żółciowy, skoro przez dziesięć lat znosiło się tortury? Przypomniało mi się, co kiedyś od niego usłyszałam: po pobycie w więzieniu wiedział już, że zdoła przetrzymać wszystko.

Pół godziny po powrocie z zabiegu chirurgicznego krążył po mieszkaniu i zmywał naczynia, a jego wytrzymałość i niezłomność były błogosławieństwem, ale też przekleństwem człowieka, który wiedział już, że zdoła przetrzymać wszystko.

To było oczywiste. Od początku zamierzał podpisać ten dokument.

\*\*\*

Nie wróciłam już do łóżka. Siedziałam przy oknie, zastanawiając się, w jak wielkich tarapatach znalazł się *baba*. I czy powinnam opracować jakiś plan. Próbowałam coś wymyślić. Naprawdę musiałam porozmawiać z Nisrine.

W końcu zabrałam bezprzewodowy telefon do kuchni i chociaż było bardzo późno, zadzwoniłam do Imada.

– Arabskie Włosa – powiedział, kiedy wreszcie odebrał. Tak ostatnio mnie nazywał.

– Spałeś? – zapytałam. – Obudziłam cię?

– Tak. Ale nie ma sprawy, cieszę się, że to ty. Przez chwilę miałem obawy, że to służby bezpieczeństwa.

Oboje się zaśmialiśmy. O tej porze jego pomyłka wydawała się szalenie zabawna.

– O co chodzi, Beo? – zapytał. – Nie możesz spać?

– No właśnie. – Chciałam choć na chwilę zapomnieć o *babie* i o tym, co się wydarzyło. – Imad, opowiedz mi jeszcze o niesamowitym tekście. Jaki był, kiedy go zobaczyłeś?

– Piękny, tak jak ty, ha, ha.

– Ha, ha, jasne.

Przyciskałam telefon do ucha i czułam, jak ciepły oddech Imada powoli rozgrzewa mi policzki. Podobały mi się jego żarciki, bo pozwalały mi zapomnieć. Podobały mi się jego komplementy.

Chociaż udawałam, że jest inaczej.

– Nie daj się prosić! Jaki był? Myślisz, że ja też się rozplączę na jego widok?

– Nie wiem, Beo. To zależy od ciebie. Ma złocone winorośle wokół brzegów.

– Naprawdę?

Złoto wydawało mi się piękne.

– I kwiaty pośrodku, idealnie symetryczne, zupełnie jak piękna twarz.

Wciąż ściszałam telefon w dłoni. Ogarnęła mnie senność, rozlewała się falą ciepła po całym moim ciele, od palców u stóp poprzez uda aż po piersi. Przeczesałam palcami włosy, które kręciły się zupełnie jak włosy Leili.

– Co jeszcze? – rzuciłam do słuchawki.

– Co jeszcze, co jeszcze... – zastanawiał się Imad.

– Jak całowałbyś Leilę? – zapytałam.

– Jak całowałbym Leilę? Sam nie wiem, chyba całowałbym jej uszy, włosy, wargi.

– A potem?

Chwila milczenia.

– Jestem z Leilą sam na sam?

Rozejrzałam się po pustej kuchni.

– Tak, udawaj, że jesteś z Leilą sam na sam.

– W takim razie całowałbym jej szyję, piersi, coraz niżej i niżej...

– A ona? Jak by się poruszała?

– Najpierw jej oddech. Poczuję, jak gwałtownie wciąga powietrze.

– I podobałoby jej się to?

– Nie wiem, Beo. Podobałoby się?

Czułam w środku taką lekkość, niczym oddech Imada.

– Tak. A potem?

– Przesunąłbym dłońmi po jej brzuchu, wtulił głowę w jej uda...

– A potem?

– Oddychałaby tak jak ty teraz.

– A potem?

To narastało i narastało.

– Czująby to, co ty teraz czujesz.

Podobało mi się to, co czułam.

– Moja arabska dziewczyna – powtarzał Imad. – Moje Arabskie Włosy. Lubisz swoje włosy, Beo? Bo powinnaś lubić.

Nie zawsze je lubiłam. Ale podobało mi się to, co teraz czułam.

– Gdzie jeszcze byś ją całował?

– Wszędzie, Beo. Wszędzie.

– Dopóki by nie krzyknęła.

– Dopóki by nie krzyknęła.

Po wszystkim przeczesałam palcami włosy, tak jak mógłby to zrobić Imad, dotknęłam rozpalonych policzków. Nie rozłączyliśmy się, po prostu w milczeniu wsłuchiwalismy się w swoje oddechy.

– Zobaczysz, Beo – odezwał się wreszcie Imad. – To piękny tekst. Niezależnie od tego, czego od niego oczekujesz, zawsze potrafi cię zaskoczyć.

– W pozytywnym sensie?

– Czasami.

Jak chciałabym być zaskoczona? Pomyślałam, że to nie ma znaczenia, o ile tylko tekst przyprawi mnie o łzy. Przez cały mój pobyt u madame starałam się nie płakać, oszczędzałam łzy dla tego tekstu.

– Był kiedyś w twoim życiu ktoś, kogo kochałeś i o kogo się martwiłeś, Imadzie?

– Oczywiście, zawsze. Co się stało? Ktoś ma kłopoty?

Pomyślałam o tych wszystkich ludziach, na których mi zależało i o których się martwiłam, wliczając w to Imada i jego przesłuchanie. O *babie* i o Nisrine. Co się z nami stanie?

– Późno już, powinniśmy się położyć – odezwał się Imad. – Dobranoc, Beo, nie martw się, wszystko jakoś się ułoży. Ciesz się na nasze jutrzejsze spotkanie.

– Dobranoc, Imadzie. Ja też się cieszę.

Rozłączyłam się, rozmyślając o ogrodzie wśród płomieni, ale nie o tej przeklętej części *baby*, tylko o zielonym pięknie. Imad zaczynał stawać się jednym z moich ogrodów. Zwróciłam się do niego nieszczęśliwa i zmartwiona, a on wszystko naprawił. Czytaliśmy razem klasyczną poezję, on i ja, poznając w ten sposób tyle arabskich określeń miłości. To chyba znaczyło, że ja też powinnam go pokochać?

\*\*\*

Odłożyłam telefon na miejsce, a potem poszłam na palcach do pokoju dzieci. Nisrine, oczywiście, nie spała. Na mój widok podniosła się z posłania, a potem obie przemknęłyśmy z powrotem do kuchni niczym dwa promienie światła.

Nisrine odezwała się pierwsza:

– Rozmawiałam z nim, Beo. – Mówiła jasno i wyraźnie. Nie była już rozkojarzona, nie szukała na próżno arabskich słów. – Zrobił coś dla mnie. Bił się, bo mnie kocha. Nie chciał wyrządzić *babie* krzywdy.

Poczułam znajome zimno. Adel się bił, a my nie zrobiliśmy nic.

Ale pobił *babę*.

– Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? – zapytałam.

Potrzebowałyśmy planu. Przez całą noc układałam sobie w głowie rozmaite warianty: porozmawiać z Adelem, powiedzieć mu, że musi pomóc *babie*. A może lepiej właśnie z nim nie rozmawiać. Nigdy więcej...

– Chce, żebym stąd odeszła – dodała Nisrine.

Chwila ciszy. Tego nie było w moich planach.

– Powiedział, że jeśli ucieknę, znajdzie mi nowy dom, żebym mogła wysłać synkowi pieniądze.

Był młodym policjantem.

Walczył o ukochaną, sprawiał wrażenie gotowego na wszystko.

Poszłam do kuchni z Nisrine, żeby ułożyć z nią plan, w którym nie było miejsca na rozmowy z Adelem czy ucieczkę razem z nim.

– A co z twoim synkiem?

– Będę pracować w nowym domu i posyłać mu pieniądze.

Oczy jej błyszczały, głos miała taki jasny. Wystarczyło, by ktoś stanął w jej obronie, i wszystko powróciło. Od tak dawna walczyłam o to, by Nisrine została.

– Chyba masz jutro lekcję? – zapytała. – Wymknę się razem z tobą, kiedy będziesz wychodziła.

– Jutro?

To wydawało się tak niedługo. Nie mogłaby troszkę zaczekać? A potem pomyślałam, że to wcale nie tak szybko, skoro *baba* ma kłopoty.

– Powiedział, że jutro masz się z nim spotkać?

– Będzie na mnie czekał na rogu.

– Znajdzie ci nowy dom? – Przecież podpisała kontrakt, oddała paszport.

– Znajdzie.

– A *baba*?

– Będziemy razem, więc Adel nie będzie już niepokoił *baby*.

Czemu miałyby to robić? Nisrine stąd odejdzie, a on będzie wiedział, co się z nią dzieje. Będzie go mogła prosić o interwencję, gdyby *baba* wpakował się w jeszcze większe kłopoty, będzie mogła z nim porozmawiać.

Tylko co powie madame na jej odejście? Ale przecież nie życzyła sobie jej obecności, jeszcze bardziej niż wcześniej. To *baba* i ja chcieliśmy zatrzymać Nisrine. Dzieci też tego chciały.

– Wymknę się zaraz po tobie – dodała Nisrine. – Nie wyjdziemy razem, żebyś nie miała kłopotów.

Wbrew sobie zaczynałam wierzyć w ten plan, nawet tak nieoczekiwany. I już za nią tęskniłam.

Adel coś zrobił. Coś złego, ale mimo wszystko. Jeśli teraz jej pomogę, czy to będzie oznaczało, że ja też nie siedziałam bezczynnie?

– Przekonaj go, żeby pomógł *babie*, musisz to zrobić.

Nisrine skinęła głową.

Potrzebowaliśmy jakiegoś rozwiązania.

Nisrine rozmawiała z Adelem, żeby wszystko naprawić. Ja tylko o tym marzyłam.

– W porządku – rzuciłam, choć zdawałam sobie sprawę z szaleństwa tego wszystkiego, teraz, w samym środku nocy. – Jutro.

Dopiero kiedy uścisnęłyśmy się na dobranoc, a ja wśliznęłam się z powrotem do łóżka, na miejsce obok Lemy, przypomniałam sobie madame z moją walizką.

„Ja jestem za nią odpowiedzialna. Miałam zamiar kupić jej dużą walizkę w przyszłym roku”.

Moja walizka, pełna rzeczy Nisrine, spoczywała na samej górze szafy, gdzie nie sposób było się do niej niepostrzeżenie dostać, umieszczona tam przez madame, która od tak dawna narzekała, ale teraz nie chciała, by Nisrine odeszła.

## POD KLUCZEM

Następnego ranka po awanturze z walizką madame się do mnie nie odzywała. Zamknęła drzwi wejściowe na klucz, a potem schowała go starannie – żeby zatrzymać nas w środku, a obcych na zewnątrz. Winę za to zrzuciła na rewolucyjne zapędy męża.

– Rozgniewał policjanta – stwierdziła, nawet słowem nie wspominając o Nistrine. – Nie wiadomo, co się wydarzy.

Miałam się spotkać z Imadem po południu, jeszcze przed jego rozmową z ludźmi ze służb bezpieczeństwa, a Nistrine zamierzała uciec z Adelem, więc obie wstałyśmy wcześniej, żeby się przygotować. Próbowaliśmy wynieść śmieci, ale wtedy okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz.

Czekałam, ściskając w rękach worek, podczas gdy madame szukała klucza, nie odzywając się do mnie nawet słowem. W końcu powiedziała:

– Odstaw je z powrotem, Beo. Nie śmierdzą, więc mogą jeszcze poczekać.

– Mam je odstawić?

– Albo wyrzucić z balkonu. Ktoś na pewno je zabierze.

– Przecież wtedy wylądują na ulicy.

– Ktoś je zabierze.

– Mogę je odnieść na róg.

Madame westchnęła.

– Zostaw je, Beo. Zjedz śniadanie. Wyniesiemy je, kiedy znajdę klucz.

Zamknięte w czterech ścianach, dzieci zrobiły się niespokojne i marudne, zupełnie jak madame i ja. Lema wyklócała się z matką o nowy strój kąpielowy. Włożyła dżinsy, odgrażając się, że zaraz wyjdzie z domu, a potem przebrała się z powrotem w piżamę, przez cały czas wrzeszcząc na matkę i kręcąc się po domu najpierw w bieliźnie, potem w dżinsach, piżamie, znów w bieliźnie i na koniec ponownie w dżinsach.

– Mam to w nosie. Któregoś dnia i tak przeprowadzę się do domu męża – rzuciła z ironicznym uśmiechem, jakby miała znacznie więcej niż czternaście lat.

Naradziłyśmy się z Nistrine w sypialni.

– Co zrobimy? Drzwi są zamknięte na klucz.

Ale przecież i tak miałyśmy wyjść dopiero po południu.

– Jest jeszcze czas – powiedziała Nistrine i wygładziła posłanie.

W salonie Lema była gotowa do wyjścia. Próbowwała się wymknąć ukradkiem, ale drzwi ciągle były zamknięte na klucz.

Madame smażyła bakłazana na śniadanie.

– Chciała wyjść? – mruknęła pod nosem na temat córki. – No, ładnie. Tak po prostu sobie wychodzić bez pożegnania. – Oplukała natkę pietruszki. Zamieszała bób, podsmażyła migdały, sprawdziła widelcem plastry bakłazana.

Lema dłuższą chwilę szukała klucza, a kiedy go nie znalazła, zamknęła się



w sypialni.

Madame pokroiła natkę pietruszki, spróbowała migdałów.

Po kilku minutach Lema wróciła do kuchni. Była już pogodna. Mogła się śmiać i przekomarzać z bliskimi. Starła się udobruchać matkę, dlatego rozmawiała ze wszystkimi poza mną, bo wiedziała, że madame jest na mnie wściekła. Kiedy patrzyła na mnie, wydymała wargi bez słowa.

Siedziałam przy śniadaniu z całą rodziną. Wszyscy żartowali, tylko ja byłam wykluczona z tego kręgu. Dzieci trzymały z madame, śmiały się i dowcipkowały, milknąc jedynie wtedy, kiedy przypominały sobie o mojej obecności. Wszyscy żartowali, że nakarmią *babę* węglem, jeśli ten nie wróci na kolację, potem Abudi chwycił z blatu surowego bakłażana i podrzucił go w powietrze.

– To twoja kolacja, Abudi? – próbowałam się z nim droczyć, ale nikt się nie zaśmiał, bo Nisrine ciągle siedziała w sypialni, a tu nikt ze mną nie rozmawiał.

Zebrałam ze stołu szklanki po herbacie i chciałam je umyć, ale madame mi nie pozwoliła.

– Idź się przespać, Beo. Wyglądasz na zmęczoną.

Była dopiero dziesiąta rano.

– Nie jestem zmęczona – powiedziałam, jednak nikt mnie nie słuchał.

Wszyscy traktowali mnie jak gościa. Madame zabroniła mi zmywać, ale ja i tak się do tego zabrałam. Taka milcząca wojna na sprzątanie.

– Zostaw te szklanki, Beo, wyglądasz na zmęczoną.

– Nie jestem zmęczona.

– Połóż się spać, Beo.

Poszłam do sypialni i naciągnęłam na głowę kołdrę, żeby pobyć sama. Pomyślałam, że może spędzę tak resztę dnia, aż do popołudnia, kiedy przyjdzie pora na spotkanie z Imadem. A po powrocie od niego powiem, że jestem chora, i znów zaszyję się w łóżku, żeby już nigdy z niego nie wstawać. I nikogo więcej nie oglądać. Po raz pierwszy zaczęłam się bać o nasz plan. Czy Nisrine zdoła się tak po prostu wymknąć? Zacisnęłam powieki i spróbowałam sobie wyobrazić, jak by to wyglądało, gdyby Nisrine uciekła, a mnie nie udałooby się jednak wyjść. Nadal była dla mnie nierozzerwalnie związana z tym miejscem, to jej twarz widziałam każdego ranka, tuż po przebudzeniu, to ona całowała mnie i dzieci, zanim nalała nam mleka. Ale właśnie tego chciała. Próbowałam postawić się na jej miejscu. Za czym bym tęskniła, gdybym miała stąd odejść? W tamtym momencie nic nie przychodziło mi jednak do głowy, madame była wściekła, więc myślałam jedynie o problemach. Ukryta pod kołdrą, uśmiechnęłam się ironicznie, tak jak wcześniej Lema. Cekał mnie zjazd rodzinny. Jeśli zechcę, mogę zaraz się stąd wynieść. Nie będę więcej się martwić o *babę* ani tęsknić tak strasznie za Nisrine, bo w ogóle mnie tu nie będzie. Obie stąd odejdziemy, więc to wszystko przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Tyle że teraz wciąż miało. Zza okna doleciało mnie wezwanie do modlitwy. Tym razem jednak nie wydało mi się piękne, tylko irytujące. Czas dłużył mi się niemiłosiernie,

więc chociaż nie byłam zmęczona, koniec końców rzeczywiście zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, zdążyło się już zrobić popołudnie. Byłam sama. Zwykle o tej porze bylibyśmy po wspólnym obiedzie, ale tym razem nikt mnie nie zawołał.

Ubrałam się pośpiesznie i ruszyłam w głąb mieszkania. Chciałam powiedzieć madame, że wychodzę na spotkanie z Imadem, ale nigdzie jej nie było. Nisrine i dzieci też nie.

Sprawdzałam po kolei wszystkie pokoje, otwierając drzwi i wołając, ale na próżno. Przecież muszą tu gdzieś być. Madame właściwie nigdzie nie wychodziła, była zbyt zajęta. Dzieci też nie puszczają samych, bo za bardzo się o nie bała. Sprawdziłam drzwi wejściowe, ale oczywiście były zamknięte na klucz.

Zajrzałam do salonu i kuchni, a potem wreszcie usłyszałam jakiś głos z pokoju dzieci. A więc tam są. Głos był przytłumiony, zupełnie jakby dobiegał spod łóżka. Odłożyłam książki i ruszyłam cichutko w tamtą stronę. Już z daleka widziałam, że drzwi są zamknięte. Pomyślałam, że otworzę je gwałtownie i wpadnę do środka, żeby zaskoczyć dzieci. Podwinęłam nawet nogawki, żeby szelest materiału mnie nie zdradził, a potem podkrađłam się cichutko do drzwi...

– Bea, to ty? – Głos należał do Nisrine.

Nacisnęłam klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.

– Nisrine?

– Drzwi są zamknięte na klucz. Bea, jest ktoś jeszcze w domu? O tej porze miałam się spotkać z Adelem.

– Gdzie jest madame?

– Wyszła.

– Wyszła?

Madame nigdy nie wychodziła.

– Dokąd?

– Na zakupy.

Madame nigdy nie wychodziła na zakupy.

– Po kostium kąpielowy dla Lemy. A ty spałaś. Wołałam i wołałam, ale nie mogłam cię dobudzić. Siedzę tu tyle godzin. Dlaczego musiałaś zasnąć, Bea? Drzwi są zamknięte na klucz, a już pora wychodzić.

Szarpnęłam za klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Zaczęłam napierać na nie z jednej strony, Nisrine ciągnęła z drugiej, ale i to nic nie dało.

– Klucz musi gdzieś tu być – powiedziałam.

Muszę iść na lekcję. Przecież madame nie zamknęłaby nas w domu, skoro wiedziała, że mam lekcję.

Pobiegłam do drzwi wejściowych, ale i one były zamknięte. Jeszcze raz sprawdziłam drzwi, za którymi siedziała Nisrine, a potem zadzwoniłam z domowego telefonu na komórkę madame. Telefon odezwał się w kuchni. Wtedy wybrałam numer do warsztatu, ale *baba* pewnie był w Klubie Dziennikarzy, tak jak zapowiadał wczoraj, bo nie odbierał.

Wróciłam do sypialni i ściągnęłam pościel z łóżek w poszukiwaniu klucza.

Z pokoju dzieci dobiegały mnie ciche ruchy Nisrine.

– Sprawdź w koszu z praniem – rzuciła zza drzwi.

Sprawdziłam kosz z praniem.

– I na regale z książkami.

– Nie mogą tak po prostu nas zamykać – gorączkowałam się. – Klucz musi gdzieś tu być. Na pewno go zostawiła.

Usłyszałam, jak Nisrine wzdycha cicho za drzwiami. Było gorące popołudnie, czas upływał.

– Nie martw się, Bea – próbowała mnie pocieszać. – Na pewno go znajdziesz.

Przez następną godzinę sprawdziłam wszystkie ewentualne miejsca ukrycia klucza, jakie tylko przyszły nam do głowy, ale wszędzie znajdowałam jedynie pył, tabletki i kremy. Na stole w kuchni. W szafie w sypialni madame. W szufladzie z moją bielizną i w szufladzie z bielizną madame, na etażerce obok sofy, gdzie *baba* odkładał portfel, zanim szedł spać. Madame miała pigułki i kremy na każdą okazję. Zawsze łąjała dzieci z twarzą do połowy wysmarowaną kremem; była tak zajęta pilnowaniem służącej, dzieci i mnie, że czasem zapominała posmarować drugą połowę, więc jej twarz łuszczyła się i brązowiała. Znalazłam krem na kurze łapki i powiększanie biustu, choć tego akurat madame nie potrzebowała, z wieczkiem pokrytym warstewką pyłu, który przywarł do resztek kremu wokół brzegu, mimo że Nisrine codziennie ścierała kurze. Ale klucza nigdzie nie było.

Szukałam i szukałam. Biegałam jak szalona pod drzwiami, za którymi siedziała Nisrine, a ona udzielała mi wskazówek. W kredensie, tam, gdzie kurkuma. W szafce obok słoików z dżemem. Przetrzęsałam zawartość szuflad i szafek, a potem bez przekonania upychałam z powrotem wszystkie szkolne podręczniki i błyskotki. Sprawdzałam między świeżo wydrukowanymi książkami, które miał oprawić *baba*, i w za małych butach dzieci.

W salonie stało stare zdjęcie *baby* z jego pierwszym synem. Dłonie *baby* nie były jeszcze wtedy spuchnięte jak niemowlęce policzki. Znalazłam też zdjęcie madame bez chusty na głowie – trzymała Lemę. Znalazłam pasek i dwie butelki perfum, którymi kiedyś próbowałam obdarować madame i Nisrine. Odkryłam, że Lema napisała wiersz i dostała pluszowego misia.

W trakcie tych poszukiwań kompletnie zapomniałam, że jeszcze rano martwiłam się, czy nie będę tęsknić za tym domem. Teraz wszystko wydawało mi się symbolem odejścia. Wynoszone rano śmieci. Odlatujące stadko gołębi, które Nisrine obserwowała zawsze podczas wezwania do modlitwy, zmiany warty na dachu komisariatu. Wszystko to były drobne formy pożegnania, a jednak odbywały się każdego dnia tak automatycznie, naturalnie, bez krzywdy dla kogokolwiek.

W poszukiwaniu klucza zaczęłam w końcu rozwijać pranie, a potem składać je z powrotem. Czuję się taka lekka jak twarz, którą madame smarowała kremami. Kolejne fragmenty mnie odrywały się i odpływały daleko za ocean, tam, skąd przyjechałam.

Wymyślałam rozmaite proste sposoby, jak wydostać stąd Nisrine, kiedy madame wróci i wszystko się wyjaśni. I jak mogłabym już zawsze wychodzić z domu swobodnie choć na godzinkę, żeby pobiec do sklepu po chleb czy tampony, kiedy nam ich zabraknie. Albo na dwie godzinki, żeby się spotkać z Imadem i przeczytać niesamowity tekst. I na wiele dni, może nawet tygodni, żeby wyjechać z Imadem na wakacje. Bo to miasto stało się ostatnio takie trudne, a ja przecież potrzebowałam odpoczynku. Tylko dokąd bym się wybrała? Myślałam o wszystkich tych miejscach, w których kiedykolwiek mieszkałam: rodzinny dom w Stanach, uniwersytecki akademik, mieszkanie madame. W każdym z nich czułam się albo samotna, albo przytłoczona.

Kiedy nie miałam już więcej pomysłów, gdzie jeszcze mogłabym szukać, nalałam sobie szklankę soku, a potem usiadłam pod drzwiami Nisrine, żeby zadzwonić do Imada i powiedzieć mu, że nie przyjdę.

Imad był zawiedziony.

- Liczyłem na to, że cię dziś zobaczę.
- Wiem, przepraszam.
- Myślałem, że chcesz iść ze mną do biblioteki. Przeczytać niesamowity tekst.
- Bo chcę, naprawdę mi przykro. Siedzę zamknięta w domu.
- Jak to zamknięta? A ich ojciec?
- Nie mogę się do niego dodzwonić. Jest w Klubie Dziennikarzy.

Cisza.

– Wiem, to kompletne szaleństwo. Przepraszam.

Po drugiej stronie linii Imad głośno westchnął.

– Beo, płacisz im za mieszkanie. Zażądaj klucza.

Siedziałam po jednej stronie drzwi, a Nisrine po drugiej. Obie patrzyłyśmy, jak światło rozjaśnia budynki za oknem, poza naszym zasięgiem. Co jakiś czas słyszałam, jak Nisrine zmienia pozycję.

– Na pewno da się udobruchać – powiedziała w pewnym momencie. Miała na myśli Imada. – Złości się, bo bardzo chciał cię zobaczyć.

Drzwi pokoju dzieci były cienkie. Jeszcze raz szarpnęłam za klamkę.

– Popchnij z drugiej strony – rzuciłam bez sensu.

Cisza. Zresztą cały ten pomysł i tak był nedorzeczny. Jak Nisrine mogłaby uciec bez paszportu?

Ale obie tak bardzo liczyłyśmy, że się nam uda. Aż do tego momentu nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkie nadzieje zaczęłam pokładać w naszym planie. Przynajmniej miałam na co czekać.

– Tęsknię za swoim synkiem – powiedziała Nisrine. – Wiesz, zaraz po porodzie ciągle płakał i płakał, jedyną rzeczą, jaka mogła go uspokoić, był mój mały palec. Lubił go ssać.

Jej synek. Co się z nim stanie, jeśli Nisrine ucieknie? Czy uda się jej znaleźć inny

dom, żeby móc nadal posyłać pieniądze bliskim, tak jak obiecał jej Adel? Pomyślałam o niej, zamkniętej po drugiej stronie drzwi. Co będzie z nią i z Adelem, gdyby zdecydowała się zostać?

– Bea, chcesz mieć dzieci?

Chciałam. Ale nie teraz. Teraz interesował mnie wyłącznie klucz do tych drzwi.

– Tęsknię za mamą – wyznałam.

– Ja za moją też. Za mężem i dobrym życiem w Indonezji.

– Tęsknię za zimą.

– A ja za mango.

– Tęsknię za rodzinnym domem. W zimie nie ma nic lepszego niż ciepły, przytulny dom.

– Tęsknię za zachodami słońca i słodką kawą.

– A ja za amerykańską kawą z ekspresu i za książkami.

– A ja za Adelem.

Chwila ciszy.

– Nie martw się – powiedziałam. – Na pewno go zobaczysz.

– Ale nie teraz. A miałam z nim być właśnie teraz. On nie chciał zrobić krzywdy *babie*. Musisz wiedzieć, że tego nie chciał. Tęsknię za jego dotykiem, chociaż nigdy mnie nie dotknął. Ale tak bardzo chciałabym, żeby pogładził mnie po ramionach.

Czy to możliwe tęsknić za czymś, czego nigdy się nie doświadczyło?

– A ja tęsknię za dłońmi Imada – rzuciłam.

– Ma miłe dłonie?

Pomyślałam o własnych rękach poprzedniej nocy i głosie Imada w słuchawce telefonu.

– Miłe – przytaknęłam. – Tęsknię za niesamowitym tekstem.

– Przecież nigdy go nie czytałaś.

– To tak samo jak z tobą i Adelem. Mimo wszystko mi go brak.

Przez drzwi słyszałam jej oddech. Przymknęłam oczy, żeby wyobrazić sobie, jak siedzi, ze skrzyżowanymi nogami, pupą wysuniętą do tyłu. Istnieje tyle rodzajów intymności. Znałam wszystkie drobne nawyki Nisrine, rozpoznawałam jej skręcone ciemne włosy na bieli porcelanowej umywalki. Te włosy sprawiały mi ból na tyle różnych sposobów, w głębi serca, ale jeśli Nisrine odejdzie, nawet ich będzie mi brakować.

– Nowy plan – zażartowałam. – Wytnij dziurę w ścianie. Po prostu stąd wyjdź, kiedy już wrócą. Powiedz madame, że masz randkę!

Nisrine parsknęła śmiechem.

– Tęsknię za tobą, Bea.

I chociaż była tuż obok, oddzielona zaledwie drzwiami, doskonale rozumiałam, o co jej chodzi.

– Ja za tobą też – rzuciłam.

Przez chwilę milczałyśmy, po czym Nisrine wreszcie powiedziała:

– Pozwól Imadowi się kochać, Bea. To nauczy cię znacznie więcej niż jakikolwiek tekst.

Zamyśliłam się nad jej słowami. Nad tym, jak długo próbowałam nauczyć się

czegoś z tekstów. Przymknęłam oczy, żeby sobie przypomnieć, czego się w ten sposób dowiedziałam, ale mogłam tylko myśleć o obecności Nisrine tuż obok, a potem pamięć sama, nieproszona, podsunęła mi wspomnienie pocałunków Imada.

Nie był Qaisem. Później uświadomiłam sobie, że przecież Qais i Leila nigdy się nie całowali. Że tekst, który tak bardzo chciałam przeczytać, który miał mi powiedzieć wszystko o miłości, tak naprawdę jest tekstem bez pocałunków. Zrobiło mi się szkoda tych kochanków sprzed wieków, bo tak wiele ich ominęło.

Zawsze widziałam w Nisrine i Adelu Leilę i Qaisa, bo kochali się z daleka, co wydawało mi się bardzo romantyczne. Teraz jednak dostrzegałam też, jakie to obciążenie, ograniczenie, bo taka miłość może bazować jedynie na poezji i słowach.

Przez chwilę dostrzegałam wszystkie niedoskonałości ich uczucia.

– Nisrine, myślisz, że jesteś jak Leila?

Po drugiej stronie drzwi zapadła cisza, kiedy Nisrine zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Wiesz – odezwała się w końcu – w tej historii zawsze pragnęłam być pasterzem.

– Naprawdę? – zdziwiłam się.

Imad też chciał być pasterzem. Kiedyś właśnie tę rolę wyznaczyła mi Nisrine. Przez cały ten czas zazdrościłam jej roli Leili, a tymczasem ona zdawała się pragnąć tego, co przypadło w udziale mnie.

– Dlaczego?

– Bo mógł pójść, gdzie mu się podobało. Został u boku Qaisa – wiem, że to nie była miłość romantyczna, ale mógł dotknąć dłoni Qaisa, gdy tylko zechciał. Leila nigdy jej nie dotknęła.

W tym momencie coś mi przyszło do głowy.

Rzuciłam się w stronę balkonu.

Nisrine musiała to usłyszeć, bo zawołała:

– Co robisz?

Ale nie odpowiedziałam. Wiedziałam, że jeśli mój pomysł się sprawdzi, musimy działać szybko.

Na balkonie zachłysnęłam się świeżym powietrzem, w moje uszy uderzył uliczny hałas. Wychyliłam się przez balustradę. Czułam ciepłe promienie słońca na twarzy, obecność policjantów wszędzie wokół...

– Adel! – zawołałam. Nie mogłyśmy zadzwonić na jego komórkę, bo moja była zepsuta, a domowy telefon nie był dla policji. – Adel! Adel!

Nie było go na dachu – czekał na rogu ulicy, tak jak uzgodnili. Ale pozostali policjanci mnie usłyszeli. Jeden z nich pobiegł z wiadomością, więc chwilę później ujrzałam znajomą twarz.

Pomachałam mu na powitanie. Porozumiewaliśmy się krótkimi zdaniem. Niektóre słowa porywał wiatr.

– Gdzie Nisrine? – zawołał Adel.

– Siedzi zamknięta w pokoju.

– Zamknięta? Powiedz jej, żeby zeszła. To nasz dzień, czekam na nią!

Jego czupryna, jak zawsze, płonęła złotem – przypominała promienie słońca

rozświetlające czubki drzew. Nie rozmawiałam z nim od czasu przesłuchania *baby*, ale to nie miało znaczenia. To, co należało powiedzieć, powiedziałam mu już w myślach. Zamknięta w domu, miałam teraz inne zmartwienia.

Więc kiedy Adel pojawił się na dachu, czułam jedynie nadzieję. I podekscytowanie. W tym momencie otworzyło się okno w pokoju dzieci.

– Witaj, *habibi!* – zawołała Nisrine. – Jesteśmy zamknięte w domu!

Adel zmarszczył brwi.

– Zamknięte?

– Bea nie może iść na lekcję.

Adel posmutniał, a ja zaczęłam się nerwowo zastanawiać, co możemy teraz zrobić. Nisrine i Adelowi chyba było pisane pozostać już na zawsze z dala od siebie, nigdy nie przekroczyć kawałka nieba, który ich rozdzielał. Oczy Adela zaszyły mgłą – zostawił ukochaną w jeszcze gorszym położeniu niż poprzednio. Nisrine nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

Ale ja miałam pewien pomysł. Starłam się ocenić wzrokiem dzielącą nas odległość. Ulica była wąska, dach komisariatu i nasz balkon znajdowały się tak blisko siebie. Na tyle blisko, wydawało mi się kiedyś, by przerzucić jabłko. Ale czy to samo dotyczyło człowieka?

Rozejrzałam się po wąskim balkonie. Za sobą miałam sznur na bieliznę – grubą, mocną linę. Uwiesiłam się na niej na moment. Wytrzymała.

Moje poczynania chyba podsunęły Adelowi identyczny pomysł.

– Beo, ta lina nie jest przymocowana na stałe?

Nie była.

– Rzuć mi jeden koniec.

Zaczęłam odwiązywać linę, podczas gdy Nisrine przyglądała się temu z okna. Obu nam serca waliły jak oszalałe – to, co chciałyśmy zrobić, było ryzykowne, wręcz szalone, ale wtedy wydawało mi się, że najgorsze już się wydarzyło.

Rzuciłam linę z naszego balkonu. Pomknęła prosto niczym strzała. Adel chwycił jej koniec, na chwilę się zamyślił, a potem zawołał kolegów, którzy też złapali za linę, tak że trzymaliśmy ją napiętą między nami.

Adel tymczasem krzyknął do Nisrine:

– Jeśli ty nie możesz wyjść, ja przyjdę do ciebie!

A potem zrobił drugą rzecz dla miłości. Zawisł na linie – cztery piętra nad ziemią – po czym ruszył powoli, ręka za ręką, w naszą stronę.

Życie zawieszony cztery piętra nad ziemią ma w sobie pewien bezruch, czas zdaje się płynąć jakby wolniej, kiedy człowiek kołysze się nad miastem niczym złoty listek. A oto grożące Adelowi niebezpieczeństwa: madame mogła wrócić do domu. Lina mogła się zerwać – Adel wisiał wysoko nad ziemią, chociaż naszego balkonu i dachu komisariatu nie dzieliła zbyt wielka odległość. Jego ojciec mógł się o wszystkim dowiedzieć. Przecież sąsiedzi i inni policjanci to zobaczą.

Ale co mieliśmy do stracenia?

Przecież i tak tkwiłyśmy tu uwięzione.

A Nisrine już wcześniej obdarzyła tego mężczyznę zaufaniem.

Obserwowałyśmy go z zapartym tchem. Z całej siły zaciskałam palce na napiętej linie, czułam jej ciężar, dystans dzielący mnie od kołyszącego się nad przepaścią Adela. Na moment spuścił wzrok, popatrzył na miasto, widoczne tylko z jego perspektywy.

Przesuwał się powoli, pot zalewał mu oczy, spływał po szyi. Jego dłonie tak łatwo mogły się ześliznąć z liny. Wisiał na jednej ręce, zmierzając ku ukochanej, która obserwowała go z okna i która, tak jak ja, na moment aż wstrzymała oddech, gdy Adel się obsunął i w ostatniej chwili przytrzymał ramieniem. Widziałam wyraźnie jego sylwetkę na tle słonecznej tarczy.

A potem wykonał ostatni zamach nogami i było po wszystkim. Dotarł do nas.

Nachyliłam się, żeby chwycić jego dłonie. Wisiał nieco poniżej barierki.

– Pomóż mi wejść.

Ziemia skoczyła mi na powitanie, ale Adel wcale nie potrzebował mojej pomocy. Kolejny wymach nóg i oboje, jedno na drugim, wylądowaliśmy na balkonie.

Przez chwilę leżeliśmy tak bez ruchu, ze splątanymi nogami, moją głową wspartą o jego pierś.

A potem Adel wstał, podał mi dłoń i zapytał:

– Gdzie jest Nisrine?

Kolejne wyzwanie stanowiły drzwi, za którymi tkwiła Nisrine. Przyniosłam Adelowi nóż i wsuwkę do włosów, żeby mógł otworzyć zamek. Przyniosłam oliwę z oliwek do posmarowania zawiasów. Ponieważ żaden z tych sposobów nie zadziałał, świadomy uciekającego czasu i tego, że madame w każdej chwili może wrócić, Adel walnął pięścią w drzwi i zawołał tęsknie do Nisrine. Szarpał za klamkę z pasją kochanka, aż wreszcie udało mu się ją wyrwać. Zamek się poluzował, drzwi stanęły otworem.

Nisrine była wolna.

Nigdy nie doświadczyłam niczego podobnego, więc mogę tylko sobie wyobrazić, co Adel wtedy czuł. Wydaje mi się, że był odrobinę zaskoczony, chyba tak naprawdę nie spodziewał się, że kiedykolwiek zobaczy ją z bliska.

Nisrine była piękna, jak zawsze. Nie miało znaczenia, co zaszło, nieważne było, że chusta się jej zsunęła – kiedy stanęła w drzwiach, zdawało się, że promienieje.

Przez chwilę bez słowa chylili się ku sobie, niczym dwa kwiaty podążające za słońcem. A potem Adel zrobił się nerwowy – nigdy wcześniej nie był tak blisko Nisrine, na dodatek w sypialni. Onieśmielony, odwrócił się gwałtownie, zrywając pulsujące porozumienie między nimi.

– Zabierajmy się stąd – rzucił i pobiegł do drzwi wejściowych.

Tutaj jednak zawiodła nawet determinacja kochanka. Drzwi były z solidnego drewna, nie dało się ich wyłamać.

Ja i Nisrine stałyśmy z boku, obserwując jego działania. Nisrine wyciągnęła dłoń, dotknęła jego ramienia, a kiedy drzwi nadal nie ustępowały, w końcu chwyciła go za rękę.

– Daj spokój. To bez znaczenia.



Dotknęła go po raz pierwszy. Zapadła cisza, kiedy oboje to sobie uświadomili. Potem Adel odchrząknął.

– Jak się stąd wydostaniesz?

Było oczywiste, że dziś Nisrine stąd nie ucieknie, nie dzisiaj. Będzie musiała stawić czoło madame i całej rodzinie. Ale mogli zrobić z Adelem coś jeszcze, by przerwać klątwę miłości na odległość.

– Chodź. – Pociągnęła go za rękę.

Był tak bardzo skupiony na drzwiach, próbach ich wyłamania. Nie mieli wiele czasu, madame mogła wrócić w każdym momencie.

– Chodź, Adelu! – powtórzyła Nisrine, więc zostawił narzędzia i pozwolił jej poprowadzić się w głąb korytarza.

Dwoje młodych kochanków pomknęło niczym światło do pokoju dzieci. Nisrine odwróciła się jeszcze w progu, mrugnęła do mnie i przycisnęła obie dłonie do rozchybotanych drzwi, by zamknąć je ze skrzypieniem drewna.

Na moment poczułam się osamotniona. Chociaż pomysł wyszedł ode mnie, nagle tych dwoje zabrało ze sobą całe podekscytowanie. Nalałam sobie kolejną szklankę soku i usiadłam w kuchni, starając się nie nasłuchiwać. Słońce oświetlało budynek, z którego dotarł tu Adel. Kto widział, jak zwisa ze sznura na pranie nad ulicą, jak zmierza prosto do naszego mieszkania? Sąsiedzi?

A potem zerknęłam w stronę zamkniętych drzwi, zza których promieniowało szczęście. Nie podsłuchiwałam, a jednak w pewnym momencie usłyszałam cichy chichot, niczym idealne słowo.

## PO MIŁOŚCI

Adel odszedł w ten sam sposób, w jaki się tu pojawił.

W ostatniej chwili Nisrine zaczęła się zamartwiać.

– Musisz pomóc *babie* – powiedziała. – Obiecuj. On podpisał jakiś dokument. Jeśli wpakował się w kłopoty, musisz mu pomóc.

Adel obiecał.

– I musisz po mnie wrócić.

Madame o wszystkim się dowie. Kiedy zmierzał po linie w tę stronę, oczekiwanie miłości dodawało im energii. Ale teraz znaleźli się w jeszcze trudniejszym położeniu. Co się stanie z Nisrine? Czy madame ją odeśle, zamknie w szafie?

– Przyjdę po ciebie, Nisrine. Dzisiaj w nocy, najpóźniej jutro. Znajdę ci nowy dom. Obiecał też, że ostrzeże nas, jeśli dowie się o kłopotach *baby*.

Nisrine uściśniła jego dłoń, skinęła głową.

Zaczął nalegać, żeby uciekła z nim już teraz, kołysząc się na linie niczym arabska księżniczka, ale odmówiła. Lina była cienka, to zbyt niebezpieczne. Wołała, żeby czekał na nią przy drzwiach.

– Będę na ciebie czekać, Adelu. Ale – rozejrzała się w poszukiwaniu ptaków – nie pozwolę już więcej się zamknąć.

W drodze powrotnej Adel wykonał jakiś niewłaściwy ruch nogą, balustrada aż się ugięła. Krzyknął cicho, kiedy stopę przeszył mu ból, ale to trwało tylko chwilę, bo zaraz ruszył dalej z nową energią. W głowie mu huczało, serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi – wiedział, że jego życie zmieniło się na zawsze. Nisrine będzie mu towarzyszyła już wszędzie, wryta w opuszkach jego palców, zatrzymana pod powiekami.

Na komisariacie ominął swoją porę przesłuchań, więc inny policjant musiał odbyć za niego rozmowę z Imadem. Teraz Adel zszedł do suterenu, żeby przeczytać zapis tego przesłuchania. W pewnym momencie zmarszczył brwi, bo podczas lektury natknął się na niepokojące informacje.

„Zaopiekuj się *babą*”, poprosiła go Nisrine, a on przysiągł spełnić jej prośbę.

Zaczął krążyć niespokojnie w tę i z powrotem. Był tylko człowiekiem, a tyle jeszcze musiał dziś zrobić – dokończyć swoją zmianę, obmyślić sposób na to, by pomóc Nisrine, znaleźć jej nową rodzinę, wrócić po nią. A jednak cały czas ręce i nogi miał jak z waty.

Policyjne komisariaty są niczym małe miasteczka – wieści rozchodzą się po nich lotem błyskawicy. Sąsiedzi, którzy widzieli wędrownkę Adela na linie, nie przyjaźnili się z madame, bo popierali prezydenta, ale pozostawali lojalni wobec władz. Ojciec Adela był ważną personą, więc zwrócili się od razu do niego. A kiedy się u niego zjawili, on nie mitrzążył czasu.

Adel nadal siedział w suterenu, podniósł tylko oczy, kiedy wszedł ojciec.

- Kim był twój dziadek, Adelu? – zapytał ojciec bez wstępów.
- Generałem, niech spoczywa w pokoju.
- Kim jest twój ojciec?
- Generałem, oby żył jak najdłużej.
- A ty kim chcesz być?

Adel słyszał to pytanie tysiące razy. Dotąd zawsze odpowiadał: „Z wolą bożą generałem, tak jak mój ojciec”. Teraz musiał jednak się zastanowić nad odpowiedzią.

Tyle że ojciec wcale na nią nie czekał.

- Pilnowałeś cudzoziemek.
- *Baba*, zakochałem się.
- Wspinałeś się do nich po linie.
- *Baba*, zmieniłem się. Zaakceptowałbyś Indonezyjkę jako synową?
- W naszej rodzinie się nie zmieniamy. A jeśli już to robimy, to tylko na lepsze.

Zmieniamy się wyłącznie na lepsze.

Ale czy miłość to nie coś lepszego?

Ojciec uderzył syna tylko raz – z całej siły – w twarz, tak jak on uderzył *babę*.

Adel zerwał się na równe nogi.

– Jestem mężczyzną. Kocham i jestem mężczyzną.

Ojciec uderzył go ponownie. Adel opadł ciężko na krzesło, jakby ten cios naprawdę go zabolął.

– Wiesz, że twój dziadek był torturowany? Toczyła się wojna, żołnierze wroga przyszli po niego. Chcieli, żeby wyrzekł się prezydenta, powtarzali mu: „Zmień swoje słowa, prezydenta i kraj, który kochasz”. A on odpowiadał: „Nie mogę”. Więc bili go, dopóki nie zaczął krwawić. Głowa mu krwawiła. I znów mu powtarzali: „Zmień swoje słowa”. Ale on odpowiadał im: „Jestem tym, co mówię. To, co mówię, jest słuszne”. A ty kim jesteś, Adelu?

Był wnukiem generała.

– Kim jesteś, Adelu?

Był synem generała.

– Kim będziesz, Adelu?

W arabskim istnieje litera na określenie milczenia – *hamza*. Kształtem przypomina półksiężyc albo łzę. I tak jak łza każe ci zatrzymać się na moment i głęboko odetchnąć. Otwiera przestrzeń.

Osoby biorące udział w bitwie często doświadczają w jej trakcie czegoś niesamowitego. Nagle przestają odczuwać ból i mają wrażenie, że dusza się w nich otwiera, a one zaczynają lewitować. Niektórzy twierdzą, że to zupełnie jak miłość, inni mówią, że to najbliższe doświadczeniu Boga, jakiego zaznali.

Ojciec nie przestawał okładać go pięściami. Adel próbował wstać, twarz go paliła, bok też. Ale jego umysł był jak *hamza*, ramiona rozwarte na oścież. Za sprawą Nisrine jego członki były niczym najdelikatniejszy kwiat...

– Kim jesteś, Adelu? – Ojciec chciał usłyszeć, że policjantem. – Kim będziesz, Adelu? – Ojciec chciał usłyszeć, że generałem.

Mimo bólu Adel wciąż pamiętał biodro o ciemnej skórze, zaskakujące doznanie.

Poszukał w pamięci tych obrazów, pozwolił się im zagarnąć.

– Nisrine – szepnął.

Ojciec znów go uderzył.

A więc to jest miłość. Koniec końców do tego właśnie uciekałeś w najbardziej bolesnych momentach, w najtrudniejszych chwilach. To cię unosiło, pozwalało ci stać się innym człowiekiem, poznać drugą stronę samego siebie.

– Kim jesteś, Adelu?

– Nisrine. – Brał ją w posiadanie.

Ojciec wymierzał mu cios za ciosem, a on wciąż tylko powtarzał jej imię.

\*\*\*

Podobno już po wszystkim Adel leżał na biurku nieprzytomny, podczas gdy jego koledzy obserwowali całą scenę przez okienko w drzwiach.

Wiele lat temu, kiedy Adel był małym chłopcem, ojciec zabrał go na dach bloku, żeby mogli razem podziwiać tysiące gwiazd, przywodzących na myśl roziskrzone oczy. Od ojca Adel nauczył się nazw wszystkich konstelacji.

Teraz ten sam człowiek patrzył na leżącego na biurku syna. Wszędzie była krew, a twarz Adela nabierała niebieskozielonkawego odcienia, jak wody rzeki. Ojciec zdjął mu kurtkę, a potem policyjną kamizelkę. Chwilę później Adel, niczym mały chłopiec, leżał w białym podkoszulku, zupełnie jakby po prostu położył się spać.

Był słusznego wzrostu, ale klatkę piersiową miał wąską, nie tak potężną, jak ojciec by sobie życzył. Mimo wszystko. Na biurku leżał zapis rozmowy z Imadem, tej z niepokojącymi informacjami, a obok wiersz. Ojciec przeczytał zapis przesłuchania, przebiegł wzrokiem tekst wiersza i wcisnął obie kartki do kieszeni.

Potem wziął syna na ręce i zaniósł go do domu.

Mogę wam już teraz zdradzić, że Adel spędził w łóżku kilka kolejnych dni, podczas gdy na mieście rozgrywały się niepokojące wydarzenia.

Próbował się z nami skontaktować.

Minął pierwszy dzień, Adel leżał przez długi czas nieprzytomny.

Nie mógł do mnie zadzwonić, przekonany, że moja komórka nadal jest zepsuta. Obie z Nisrine nie miałyśmy pojęcia, co się z nim dzieje, gdzie jest. Matka zabrała mu telefon.

Minął drugi dzień.

Już dawno powinien przyjść po Nisrine. W naszym domu wydarzyło się w końcu to, czego wszyscy tak się obawialiśmy. Adel nie miał o niczym pojęcia, matka nie wypuszczała go z łóżka. Obmywała mu twarz i ramiona, a kiedy nie spał, śpiewała.

Minęły trzeci i czwarty dzień. Piątego dnia wstał i zorientował się, że jego policyjna kurtka i kamizelka zniknęły.

Poszedł do matki.

– *Mama*, gdzie moje ubranie?

Rodzice akurat jedli śniadanie. Zwijali kromki chleba w ruloniki i maczali je,

w czym tylko zechcieli.

Matka spojrzała na ojca.

A on popatrzył na syna. Twarz Adela ciągle znaczyły siniaki, kiedy chodził, starał się nie poruszać głową zbyt gwałtownie. Na policzkach i żebrach wciąż miał czerwone ślady, przywodzące na myśl szlachetne kamienie.

– Kim jesteś, Adelu? – zapytał ojciec.

Był kochankiem, ale zdążył już zmądrzeć.

– Synem mego ojca.

– I kim jeszcze?

– Policjantem...

Ojciec pokręcił głową.

– Już nie.

## OGIEŃ

Kiedy madame wróciła do domu, nie była już zła, raczej skruszona.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz dziś lekcję, Beo? Przecież zostałabym w domu, to nie było nic ważnego.

Pozwoliła mi umyć moją szklankę po soku, a potem także tę, z której piła Nisrine. Nie traktowała mnie już jak gościa. Nie skomentowała faktu, że Nisrine stała w korytarzu, zamiast siedzieć w pokoju, w którym ją zamknęła. Sięgnęła tylko do torebki i wyciągnęła moją komórkę, naprawioną i wyczyszczonej, a potem kazała Lemie zaprezentować mi kostium kąpielowy, po który się wybrały.

Tego wieczora na komisariacie panowało spore zamieszanie, ale nie miałyśmy pojęcia, o co chodzi. Potem zadzwoniła Moni z informacją, że policja przeprowadziła nalot na Klub Dziennikarzy, gdzie przechowywano proklamację, ale samego dokumentu nie udało im się znaleźć.

Wymieniłyśmy z Nisrine spojrzenia.

Adel miał nas ostrzec, gdyby *babie* groziło niebezpieczeństwo.

Wypatrywałyśmy Adela, ale kiedy zniknął z naszego balkonu, nie pojawił się już na dachu komisariatu.

W sekrecie zadzwoniłam z mojej komórki do ambasady kraju Nisrine, żeby zapytać, jakie możliwości ma służąca bez paszportu.

Odebrała jakaś kobieta i od razu zaczęła dopytywać, o jaką rodzinę chodzi. Czuję się jak zdrajca, dlatego nie chciałam jej zdradzić szczegółów.

– Czy to ustosunkowani ludzie?

– Może.

Westchnęła głośno.

– Wczoraj mieliśmy telefon od ważnej rodziny z zapotrzebowaniem na trzy służące. Wie pani, ci ludzie mają tyle pieniędzy, że po prostu źle traktują służbę. Proszę jej powiedzieć, żeby się do nas zgłosiła, postaramy się jej pomóc. Musi jednak przyjść od niedzieli do czwartku między dziewiątą a czternastą. Jeśli zjawi się w sobotę, nikogo tu nie zastanie.

Rozłączyłam się i wybrałam numer Imada. Nie odebrał.

Wróciłam do mieszkania. Nisrine była w kuchni.

– Możesz zgłosić się do swojej ambasady od niedzieli do czwartku. Tam ci pomogą – powiedziałam.

W tym momencie do kuchni wpadł Abudi z krzykiem, że pali się jakiś dom przy naszej ulicy. Staliśmy przy kuchennym oknie, obserwując coraz większy ogień i narzekając, że straż pożarna ciągle nie nadjeżdża. Pożar się rozrastał, madame szalała

z niepokoju, więc chwilę później biegaliśmy po całym domu i zamykaliśmy wszystkie okna, żeby dym nie dostał się do środka.

– Patrzcie, patrzcie! – wykrzykiwała madame. – Ogień wcale nie przygasa, przybiera jeszcze na sile!

Stanęliśmy obok niej przy oknie, żeby obserwować psy i bezpańskie koty uciekające z ogrodu.

– Och, jakie to straszne – wzdychała madame. – Straszne, straszne. Ogień wciąż się rozrasta. Och, powiększa się coraz bardziej!

Pomyślałam, że gdyby u nas wybuchł pożar, wszyscy zginęlibyśmy w płomieniach, bo madame ciągle zamykała drzwi na klucz, żeby Nisrine nie mogła wyjść, a obcy dostać się do środka, a potem zapominała, gdzie ten klucz schowała. Zastanawiałam się, czy moglibyśmy zeskoczyć z balkonu, tak jak zrobił to Adel. Teraz często myślałam o skoku z balkonu jako o sposobie ucieczki.

Nisrine i ja krążyłyśmy po domu niczym ostrożne duchy, wszędzie znajdując ślady wydarzeń tego popołudnia – poprzestawiane książki na regale, poluzowany pręt balkonowej barierki. Kiedy natykałyśmy się na taką rzecz, próbowałyśmy ukradkiem ją naprawić.

W pewnym momencie madame mnie na tym przyłapała.

– Czego szukasz w szufladzie Lemy, Beo? Zgubiłaś coś?

Potem poszła rozwiesić pranie na balkonie i zauważyła poluzowany pręt.

– Możesz tu przyjść, Beo? Widziałaś to?

Adel poluzował go przypadkiem, kiedy wracał na komisariat.

– Wydaje mi się, że jest tak już od jakiegoś czasu – powiedziałam.

Madame chwyciła za pręt i poruszyła nim na boki.

– Naprawdę? To niebezpieczne. Koniecznie trzeba to naprawić.

Czekałyśmy na powrót *baby*, na to, że madame dowie się o wszystkim, a Adel zjawi się po Nisrine. Przez cały ten czas Nisrine wręcz promieniała. Krążyła po domu tanecznym krokiem, poprawiając rzeczy, które wcześniej poprzestawiałam, i uśmiechając się do siebie pod nosem.

Abudi dla żartu zamknął ją w salonie, ale krzyczała i waliła w drzwi tak długo, aż wreszcie ją wypuścił.

– I jak było? – zapytałam.

– O co pytasz? Chodzi ci o miłość? Och, Bea, sama się przekonasz. To daje człowiekowi nadzieję.

Pełne nadziei czekałyśmy więc na pojawienie się Adela.

A tymczasem znów byłam częścią rodziny. Liczyłam skoki Dounii na skakance. Abudi grał na mojej komórcie. Za oknami snuł się dym, przesłaniając widok, tak że

mieszkanie sprawiało wrażenie zawieszzonego gdzieś w chmurach, nie było już częścią miasta. Przez to czułam się samotna.

Nie przestawałam wydzwaniać do Imada, ale kiedy wreszcie odebrał, potraktował mnie bardzo oficjalnie. Jakbyśmy byli zupełnie obcymi ludźmi.

– Potrzebujesz czegoś, Beo?

– Jak było na przesłuchaniu?

– Trzymali mnie godzinę. Spóźniłem się na lekcję.

– Odebrali ci licencję?

– Nie.

Milczenie.

– Posłuchaj, Beo, muszę kończyć. Porozmawiamy później, dobrze?

– Spotkamy się jutro? – zapytałam. – Mogę się wyrwać.

– Jutro jestem zajęty.

– To kiedy chcesz się spotkać?

– Przepraszam, czuję się trochę dziwnie po tym przesłuchaniu – odparł Imad. – Zadzwoń do ciebie, dobrze? I zaczniemy od nowa.

Rozłączyłam się. Starłam się czuć raczej wściekłość niż smutek, bo przecież całowaliśmy się tylko dwa razy.

Lema stała w drzwiach i przysłuchiwała się mojej rozmowie.

– Zapomnij o nim, Beo – powiedziała. – Nie martw się. *Matt mat*. Ha, ha. *Allah yerhamo*.

W tym momencie weszła madame.

– Co się stało? Czemu Bea jest taka smutna?

– Nie jestem smutna.

– *Matt mat*.

– *Matt mat*? Nie ma po kim płakać. Mężczyźni, komu oni potrzebni? Lepiej ci będzie bez niego, Beo.

\*\*\*

Szykowaliśmy się do spania, kiedy do domu wpadł *baba*. Zabrał pilota od telewizora siedzącego w salonie Abudiemu i przełączył z kreskówki na wiadomości.

– Otwórzcie okno – zawołał. – Otwórzcie okno! Pada deszcz? Sprawdźcie, czy pada.

W telewizji pokazywali meczet pełen mężczyzn modlących się o deszcz. Minęła zima, nadeszła wiosna, a od grudnia nie spadła tu nawet kropla deszczu. Tylko ogień i upały. Mężczyźni wznosili ręce, cały meczet wypełniały ich uniesione dłonie.

Siedzieliśmy razem z *babą* przed telewizorem – madame, Nisrine, dzieci i ja – co jakiś czas wyglądając przez okno. Owiewał nas żar *baby* i pożaru, kiedy wychylaliśmy się, żeby sprawdzić, czy przez smród przypalonego oleju do gotowania, dym spalonych dywanów i oleju do samochodowych silników wyczuwamy zapach deszczu. A kiedy spadło kilka pierwszych kropel, wszyscy rozpromieniliśmy się w uśmiechu.



## WIERSZ, KTÓRY ZNALAZŁ OJCIEC ADELA

*Mojemu kwiatu, pąkowi jaśminu. Wiersz napisany 25 kwietnia przez poetę policjanta po najpiękniejszym ze spotkań. Poprawiony po przeczytaniu zapisu przesłuchania nauczyciela Amerykanów, by mógł posłużyć jako ostrzeżenie.*

*\*Uwaga: Nisrine, wiersz jest napisany niebieskim atramentem. Wyjaśnienia na czerwono poniżej.*

Mojemu kwiatu, pąkowi jaśminu:

Moje serce jest zajęte.

*Ty je zagarnęłaś.*

A Kochanek to prawdziwe imię tych, którzy kochają.

*Kochankowie zawsze wiedzą, czy ich miłość jest prawdziwa.*

*Nawet jeśli popełniamy błędy, nic się nie stanie, o ile tylko wyznasz mi prawdę.*

W miłości i uczuciach ona jest najlepszą nauczycielką.

*Jesteś służącą. Odpowiadasz za moralne wychowanie dzieci. Mówisz im, że nie wolno kłamać i przeklinać, a po skorzystaniu z toalety zawsze trzeba umyć ręce. Tak samo uczysz mnie miłości. Bo jesteś szczerą i czystą. A kiedy kochasz, kochasz prawdziwie. Mówię Ci to po raz pierwszy, ale tak właśnie czuję. Dzisiaj to poczułem. Czy gdybyśmy się nie kochali, czulibyśmy coś takiego?*

Obym już zawsze był wśród jej podopiecznych.

*Czyż te dzieci nie muszą pić mleka? Nie karmisz ich nim? Ja też pragnę je pić! Nakarm mnie, tak jak karmisz te dzieci!*

Bo jest najpiękniejszą nauczycielką.

Pośród tysiąca nie zostaniesz zapomniana.

*Nie potrafię Cię zapomnieć.*

Kiedy zamieniliśmy pierwsze słowa,

*Kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy,*

To ona była ofiarującą.

*Podjechałaś pod komisariat. Poddałaś mi jabłka.*

I dzieci pustyni,

*Znasz je, to te, które wyrosły na pustyni. Ale tu oznacza to miasto.*

W miejscu, do którego nie przychodzi nikt oprócz słabych.

*Chodzi o komisariat policji. Bo któż na niego przychodzi? Kryminaliści, byli i obecni. Jacy są ci ludzie? Słabi moralnie, to czyni ich słabymi.*

Oraz okrutnymi i szalonymi.

*W więzieniach widuje się mnóstwo okrutnych, szalonych ludzi.*

I cichych.

*Kryminaliści przychodzą na komisariat i stają się tu naprawdę cisi. Opisuję Ci nasz komisariat.*

I pytają, przerażeni i pokorni,

Jak cała ludzkość, wołając.

*Są przerażeni, pytają: Czy umrę tutaj? Czy będę żył wolny? Opisuję Ci komisariat, ale nie lubię tego określenia, „komisariat”, więc zamiast tego Ci go opisuję.*

I w tym miejscu, w jej podarunku,

Odnalazłem szczęście.

*Dadaś mi jabłka. Moi koledzy szli po papierosy. Powiedziałem im: „Idźcie sami”. I popatrzyłem na Ciebie. Jaka była Twoja pozycja? Siedziałaś tutaj. A Mohammed stał tutaj. Podszedłem do waszego auta. Powinnaś była podać jabłka Mohammedowi, bo wyglądał tak, jakby to on był naszym dowódcą, miał przecież najwięcej guzików. Ale Ty tego nie zrobiłaś, wręczyłaś je mnie, a Twoja twarz była niczym pąk jaśminu. Idę, Nisrine.*

*Musisz mi uwierzyć, biegnę do Ciebie. Nadciągają kłopoty. Wyczytałem o tym w zapisie przesłuchania nauczyciela Bei. Zdradził babę, podał informacje. Czy Bea mu powiedziała? Nie martw się, zabrałem te zapiski i zaraz je ukryję, ale boję się, że inni policjanci mogli je już czytać. Jeśli się u was zjawią, będę razem z nimi, ochronię babę, tak jak chronię Ciebie. Czekał na mnie, Nisrine. Ciągle czuję smak Twoich pocałunków, rozkwitają we mnie. Zawsze będę Cię chronił, zawsze po Ciebie przyjdę i nigdy Cię nie opuszczę. Jestem policjantem. Jestem Twoim policjantem, już biegnę!*

Ach, gdyby rzeczywiście się zjawił. Gdybyśmy tylko przeczytały ten wiersz, otrzymały jakieś ostrzeżenie – tak się jednak nie stało. Adel nie zdążył wysłać tego listu – jego ojciec go znalazł. Wiersz został wysłany wiele lat później, nie było też przy nim zapisu przesłuchania Imada, kiedy Adel się na niego natknął. A że wtedy miał już inne spojrzenie na słowa i wiersze, spakował je więc wszystkie razem i wysłał do jedynej osoby, o której wiedział, że może się jeszcze nimi zachwycić – do mnie.

\*\*\*

Czekałyśmy całą noc i cały następny dzień, aż Adel zjawi się po Nisrine. Cały dzień to najdłuższy czas, przez jaki Adel nie pojawiał się na dachu komisariatu.

Ale wciąż miałyśmy nadzieję.

– Jak myślisz, gdzie on może być? – pytałyśmy jedna drugą. Nie miałyśmy pojęcia, co się wydarzyło, więc powtarzałyśmy: – Po prostu trochę dłużej to potrwa i tyle. – Ostatecznie Adel przeszedł do niej po linie. – Na pewno się zjawi.

## ŚNIEG

Po deszczu przyszedł śnieg, chociaż wszystkim nam się wydawało, że mamy już wiosnę. Ale w tym mieście śnieg nigdy nie padał. A już na pewno nie w kwietniu.

Śnieg prószył od wczesnego ranka, a jego cienka biała warstewka okrywała miasto aż do wieczora. W wiadomościach ostrzegali przed zagrożeniem życia z powodu spadku temperatury. W domu madame wszyscy co chwilę podbiegaliśmy do kuchennego okna, żeby popatrzeć na białe płatki. Nisrine i ja wypatrywałyśmy Adela.

Dzieci chciały wyjść na dwór i obejrzeć śnieg. Wyciągały ręce za okno, żeby go pomacać. Dounia otworzyła kolejne okno i w tym podekscytowaniu uderzyła nim w głowę Abudiego, który o mało się nie rozplakał.

Żeby wynagrodzić mi wczorajsze zamknięcie, madame zgodziła się, żebym wyszła do sklepu po tampony oraz rozmaite niezdrowe przekąski. Mogłam zabrać ze sobą dzieci. Nisrine pomogła nam włożyć kaptury, Dounia zaczęła piszczeć, żebyśmy na nią poczekali, kiedy będzie zawiązywać buty. Zaczekaliśmy, ale Lema musiała jej pomóc. Madame nagrywała nasze przygotowania kamerą, więc Dounia pomachała do obiektywu i zaczęła tańczyć wokół niczym płatek śniegu.

Poszliśmy do sklepu po drugiej stronie ulicy i poprosiliśmy o tampaxy, chipsy ziemniaczane i gumę do żucia, a potem ruszyliśmy z powrotem. Wiedziałam, że madame nas obserwuje, ale Dounia nie chciała jeszcze wracać, miała ochotę pobawić się w śniegu. A ten padał na nasze głowy. Na balkon i na kamerę madame. Kiedy spadał na białą chustę Lemy, pył zostawiał na niej brudne ślady.

– Chodź, Dounia – zawołał Abudi, kiedy razem z Lemą wsiedliśmy do windy. Dounia stała na zewnątrz i wpatrywała się w nas bez słowa, aż w końcu drzwi windy się zamknęły, a my pojechaliśmy na górę bez Dounii.

Madame czekała w progu mieszkania.

– A gdzie Dounia? – zapytała, więc Abudi zszedł po siostrę, podczas gdy Lema i ja rozbierałyśmy się wśród chichotów z kolejnych warstw ubrania, zziębnięte i uszczęśliwione tym nieoczekiwanym śniegiem.

Nisrine zaczepiła mnie w korytarzu.

– Widziałas go?

Chodziło jej o to, czy nie zauważyłam gdzieś Adela, kiedy bawiłam się w śniegu. No więc nie zauważyłam. A specjalnie się rozglądałam.

Nisrine westchnęła.

– Przyjdzie. Zresztą obiecał dać znać, gdyby pojawiły się jakieś problemy.

Śnieg, tak jak deszcz, sprowadził ze sobą policję. Moni zadzwoniła do nas z informacją, że policjanci otoczyli nasz budynek. Wymieniłyśmy z Nisrine spojrzenia.

Adel obiecał pomóc jej i *babie*. Jeszcze wczoraj jego obietnice wydawały się takie realne. Teraz przyglądałam się im ponownie w blasku topniejącego śniegu: czy młody policjant mógł ich wszystkich dotrzymać?

Madame siedziała przy stole i w milczeniu popijała popołudniową kawę. Najpierw wypila jedną filiżankę, a potem sięgnęła po filiżankę *baby*, który był zbyt zaaferowany, by o tym myśleć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Telefon dzwonił. W salonie *baba*, który już był w więzieniu i wiedział, że policja może się zjawić w każdym momencie, przycisnął palec do ust, żeby uciszyć dzieci, a potem zaczął szukać w szafie swojego paszportu.

– Lema, nałóż chustę – powiedział.

Następnie zawołał do madame, żeby przyniosła wodę i też zakryła głowę.

– My pomożemy, *baba* – powiedziałam.

Nisrine stała za mną, blada, ale pełna nadziei.

Znowu dzwoniła Moni. Kolejny z przyjaciół został aresztowany.

– Co zrobimy?

– Wyciągniemy go – zapewnił *baba*, który sam dopiero co podpisał proklamację.

A potem, ściskając paszport w wyciągniętych przed siebie dłoniach, jakby nadgarstki miał już skute kajdankami, ruszył do wyjścia. Madame w chuście i szlafroku modliła się i pryskała w ślad za nim wodą na szczęście, podczas gdy on otwierał policjantom drzwi.

Dotąd często śni mi się tamten dzień. Policjanci weszli, a ja nie rozumiałam wszystkiego, co mówili. Ogorzali, ubrani na szaro. Spodnie mieli wypchane na siedzeniach i byli spoceni – materiał bluz pod pachami znaczyły im plamy potu. Przypominało mi to Imada albo Nisrine podczas pracy. I kiedy tak patrzyłam na spoconych policjantów, czułam ostre klucie w podbrzuszu i policzkach.

Gdy odtwarzam tę scenę we śnie, policjanci mają pałki, ale w rzeczywistości byli uzbrojeni w pistolety. Za każdym razem, kiedy wracałam z lekcji z Imadem, mijałam na ulicy tych uzbrojonych policjantów. I funkcjonariusza po cywilnemu, stojącego przed wejściem do ogrodu. Zawieszał sobie karabin na temblaku, zupełnie jakby miał trzy ręce do złamania. Czasami, kiedy przesuwałam po nim wzrokiem, policzki zaczynały mnie mrowić – najlepszy dowód, że się czerwienię. Czasem czułam ucisk też pod pachą i myślałam, że to pewnie jego palec (ale czyj? Imada? Adela?) albo nacisk broni napierającej na bramę ogrodu. Oto potęga karabinu. Czujesz go we wszystkich zakamarkach ciała. Mijałam tego policjanta, nie dotykając żadnego jego wybrzuszenia, nie dotykałam go...

Staliśmy zbici w grupkę. Weszło ich czterech. Czekaliśmy na jeszcze jednego, blondyna o szerokim uśmiechu...

Ostatni zamknął drzwi.

Adel nie przyszedł.

– Zostańcie razem – powiedziała madame, podczas gdy *baba* zwrócił się do policjantów.

Nie pozwoliła dzieciom zniknąć w głębi mieszkania, nie chciała, by znalazły się sam na sam z policjantami. Zabroniła nawet Dounii pójść na siusiu, ale wtedy dziewczynka zaczęła się wyrywać i ze złością uderzyła ją w brzuch, więc madame posłała nas wszystkich: Abudiego, Lemę, Nisrine i mnie razem z małą do toalety.

– Nie wychodźcie – powiedziała i zamknęła za nami drzwi.

Nisrine zapukała, ale madame nie chciała otworzyć. Nisrine od dwóch dni powtarzała, że już nigdy nie pozwoli nigdzie się zamknąć, a tymczasem oto znów znalazła się pod kluczem. Rzuciła się na drzwi. Adel miał nam pomóc. Madame nie otwierała.

Stłoczyliśmy się w dusznej łazience, a Dounia usiadła na toalecie, żeby się wysikać. Na zewnątrz słyszeliśmy stukot butów i modlitwy madame, wypowiedane coraz głośniej:

– *Aya, aya.*

Dounia siusiała, a my staliśmy przy drzwiach i nasłuchiwaliliśmy.

Dounia sięgnęła po pomarańczowy wąż, żeby spłukać toaletę, a potem podtarła się prześcieradłem ze stosu brudnego prania.

– Bea, znasz tego tam? – zapytała, wskazując sufit.

– Ciii – uciszyła ją Lema.

– Pytasz o sąsiadów z góry?

– Nie, z nieba.

– Chodzi ci o Boga?

– *Haram* – odezwała się Lema. – Nie mów tego w łazience. To nieprzyzwoite.

Na zewnątrz drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Jeszcze więcej kroków i kolejne głosy. Madame nadal się modliła.

– Miał przyjść – powtarzała Nisrine. – Miał przyjść.

Od tak dawna obmyślałyśmy rozmaite plany, Nisrine i ja. Żeby mogła rozwinąć swoje serce i zostać. A potem żeby mogła stąd odejść. Żebym ja rozwinęła moje serce. Żebyśmy były w stanie pomóc *babie* i wszystko naprawić. Ale każdy taki plan koncentrował się wokół Adela. To on znajdował się w samym ich centrum, nasze nadzieje zwijały się wokół niego niczym miękkie płatki kwiatu wokół żółtego środka. Nisrine kochała wielu ludzi, wielu nosiła w sercu, ale tutaj to Adel był jej jedyną nadzieją. Tylko on mógł nam pomóc.

Teraz kolana odmówiły jej posłuszeństwa, powoli osunęła się na wilgotne płytki podłogi, taka drobna w swojej różowej piżamie. Stłoczyliśmy się wokół niej niczym drzewa, owiewając ją naszymi oddechami.

Siedzieliśmy tak razem i słuchaliśmy, jak policjanci zabierają *babę*.

Po jakimś czasie Abudiemu też zachciało się siku, ale że był starszy od Dounii, a na dodatek był chłopcem, Lema, Dounia i ja odwróciłyśmy się plecami. Nisrine i tak siedziała ze zwieszoną głową. Kiedy Abudi skończył, z kolei ja musiałam skorzystać z toalety, więc tym razem to dzieci i Nisrine się odwrócili. Kucnęłam nad toaletą. Powieki

miałam wilgotne, w porach skóry czułam mdły odór moczu. W pewnym momencie zaciekawiona Dounia odwróciła się w moją stronę, chciała popatrzeć. Wtedy Lema przycisnęła jej buzię do swojego brzucha, żebym i ja miała podczas korzystania z toalety choć namiastkę prywatności. I tak sikałam z nosem niemal wciśniętym w plecy Dounii, łokciem wbitym w bok Abudiego, a wzrokiem w końcówki włosów wymykające się spod białych chust Lemy i Nisrine.

\*\*\*

Kiedy madame wreszcie nas wypuściła, w pustym mieszkaniu panował spokój.

– Gdzie *baba*? – zapytała Dounia.

– Wyszedł z policjantami.

W kuchni madame napełniała butelki wodą na noc. Nisrine i ja stałyśmy obok niej, poblądłe, ale żadna z nas nie zaproponowała pomocy.

– I co teraz zrobimy? – zapytałam w końcu.

– Będziemy czekać.

– Nie chce pani do nikogo zadzwonić?

– Nasze telefony są na podsłuchu. Jeśli go nie zamkną, wróci.

Tak bardzo pragnęłam chwycić za telefon. To nie była jeszcze pora kolacji, a ja miałam dość zapachów toalety i policji, a poza tym naprawdę powinniśmy coś zrobić. Musiałam zadzwonić.

Rano spadł śnieg. Po południu zjawili się policjanci, a my straciliśmy *babę*.

Zadzwonił telefon. Madame podniosła słuchawkę.

– Nic nam nie jest. Tak, wszystko w porządku. Nie do wiary, że spadł śnieg, prawda? – I tak wciąż powtarzała: – Nie do wiary, że spadł śnieg, prawda?

Kiedy się pożegnała, zaproponowałam:

– Mogłabym zadzwonić do ambasady, spytać, co oni na to.

– Ambasada pomaga tylko Amerykanom.

– Może nie tylko? Może pomagają wszystkim?

Madame popatrzyła na mnie.

– Nasze telefony są na podsłuchu.

A więc tu było to wieczne „jeśli ich kochasz”.

W Stanach w potrzebie zawsze polegałam na władzach. W razie jakiejś klęski żywiołowej czy bezrobocia rząd miał obowiązek pomóc obywatelom. Tutaj jednak nie funkcjonowały nisko oprocentowane kredyty bankowe ani rządowe dotacje, więc ludzie mogli liczyć wyłącznie na wsparcie ze strony najbliższych. Być może właśnie dlatego codziennie powtarzaliśmy te same opowieści o rodzinnych więzach i obowiązkach i o tym, że jeśli ich kochasz, zadzwonisz. Jeśli ich kochasz, pomożesz. Jeśli ich kochasz, zostaniesz z nimi naprawdę długo i nigdy nie odejdziesz, będziesz słuchać i mówić całą prawdę, będziesz im powtarzać, że są dla ciebie tacy dobrzy i że ich kochasz, a oni będą cię pocieszać w chwilach smutku, utulą cię, gdy będziesz płakać, co będzie ci się często zdarzać, bo przecież jesteś Amerykanką, a na dodatek kobietą.

Madame umyła natkę pietruszki, którą mieliśmy zjeść z serem, a potem wręczyła mi pęczek, żebym oddzieliła poząłkłe łodyżki od zielonych.

Przyjechałam tu, żeby zapłakać nad niesamowitym tekstem.

– Co się stało, Beo? – zapytała madame.

– Nic. – Twardo przebierałam natkę.

– Nie pochlap natki łzami – rzuciła madame. – To niehigieniczne. Daj. – Odebrała mi zieleninę i sama zaczęła ją przebierać.

Gdybyś ich kochała, nie zadawałabyś pytań o życie *baby* z czasów przed więzieniem, o jego pierwszą rodzinę czy indonezyjską rodzinę Nisrine, bo nie obchodziłaby cię przeszłość, tylko twoje życie – tu i teraz. Tylko to się liczy. Możesz z nimi walczyć, ale jedynie w obrębie czterech ścian. Zawsze brałabyś ich stronę i nie opowiadałabyś o nich policjantom czy nauczycielom, w ogóle komukolwiek z zewnątrz. To oni składali się teraz na twoje życie, rozmawiając o nich z obcymi, robisz krzywdę wyłącznie sobie.

Otarłam oczy.

Po chwili madame westchnęła i poklepała mnie po policzku.

– Wydaje mi się, że obecność Hassana w domu działa na mnie przygnębiająco. Przed ślubem miałam policzki zupełnie jak ty, Beo. Też były takie pulchne.

\*\*\*

Nisrine nie próbowała dzwonić tak jak ja, wiedziała, że to bez sensu. Siedziała tylko bez ruchu, blada i zamyślona.

– Dlaczego nie przyszedł? – rzuciła w pewnym momencie. – Myślałam, że tak dobrze się rozumiemy. Kiedy dotarł tu do mnie z nieba, myślałam, że jest kimś lepszym ode mnie.

Razem tworzyli zupełnie nowy język.

Nisrine pokręciła głową.

Wieczorem zadzwoniła Moni z informacją, że *baba* jednak spędzi tę noc w areszcie. Madame odłożyła słuchawkę, a potem zaczęła szukać w torebce pieniędzy. Sprawdziła też szufladę ze swoją bielizną, wszystkie buty i dżinsy *baby*, nawet kieszenie jego brudnych koszul i okładki książek. A potem przyszła do mnie.

– Ile masz pieniędzy?

– A ile pani potrzebuje?

– No cóż, musimy przecież coś jeść.

Podaliśmy jej torebkę, a ona wyrzuciła jej zawartość na stół. Potem sprawdziłyśmy jeszcze kieszenie moich spodni i moją szufladę z bielizną. W ten sposób oddałam madame wszystkie pieniądze.

Tego wieczora Nisrine pozbierała wiersze, które napisał dla niej Adel. Patrzyliśmy z dziećmi, jak drze je na kawałeczki jeden po drugim, a potem z balkonu rzuca strzępki na wiatr.

– Tęsknię za nim, Bea.

Serce bolało mnie na myśl o tych wierszach. Tańczyły za oknem jak płatki śniegu.

– Popatrz, jakie są lekkie. Ja też chcę się stać taka lekka.



Pragnęła stąd odlecieć tak jak one.  
– Słowa – dodała. – To tylko słowa.  
\*\*\*

Tego wieczora miała do mnie zadzwonić mama.  
– Nie wspominaj jej o tym, co się dziś wydarzyło – przestrzegła mnie madame. –  
Powiedz, że wszystko w porządku.  
– Wszystko w porządku?  
– Nie wolno ci mówić o tym, że *baba* jest w więzieniu. Jeśli będziesz o tym  
rozwspinać, *baba* może mieć jeszcze większe problemy. A tego byś przecież nie chciała.  
– Nie.  
– Powiedz, że dobrze się miewasz, a my przesyłamy ucałowania. Powiedz mamie,  
że przesyłam jej ucałowania.  
W końcu odezwała się moja komórka.  
– Co słychać, Beo? Nadal myślisz o powrocie do domu? – zapytała mama. –  
W telewizji mówili o zamieszkach.  
– Wszystko w porządku.  
Madame cmoknęła.  
– Madame przesyła ucałowania.  
Mama się ucieszyła. Też kilka razy cmoknęła do słuchawki.  
– To całusy dla ciebie i madame. – Kilka kolejnych cmoknięć. – Dounia jest  
z wami? Ona też przesyła ucałowania?  
Dounia kręciła się wokół. Od rana bawiła się w śnieżynkę.  
– Jest. Też cię całuje.  
– W takim razie ucałuj ją ode mnie.

W nocy pod nieobecność *baby* każde z nas dostało nowe miejsce do spania. Nie  
spałam już z Lemą, bo ona nocowała teraz w łóżku madame. Z kolei madame w ogóle nie  
spała, tylko siedziała w salonie na kanapie *baby* i oglądała telewizję. Przez całą noc tkwiła  
przed telewizorem nastawionym na kanały religijne, z butelką wody między czystymi  
stopami. Kiedy wstałam do łazienki, szybko wyłączyła telewizor i udawała, że  
zasypia.

## CZEKANIE

Gdy kogoś w twoim życiu zabraknie, twoje ciało się kurczy, a tęsknota narasta.

Kiedy moi rodzice się rozwiedli, ciągle dokuczał mi żołądek. Ból nie ustępował, aż wreszcie miałam wrażenie, że składałam się z samego brzucha. Reszta mojego ciała przestała istnieć, a ja mogłam myśleć wyłącznie o tym bólu.

Następnego ranka po aresztowaniu *baby* pojawiła się jakby cienka linia łącząca madame, Nisrine i mnie, cokolwiek byśmy robiły – sprzątały dom czy bawiły się z dziećmi. Wyczuwałam je w różnych punktach domu, jak myślą o *babie*, i sama też o nim myślałam, zupełnie jakbyśmy wszyscy – madame, Nisrine, dzieci i ja – byli jednym wielkim mózgiem myślącym tylko: *baba*. Nie zapomnieliśmy o tym, co nas dzieliło, po prostu na razie odłożyliśmy na bok wszelkie animozje i poruszaliśmy się po domu niczym stadko ptaków, migrujące z jednego pomieszczenia do drugiego. Kiedy ktoś zgłodniał, jedliśmy. Kiedy ktoś się zmęczył, odpoczywaliśmy.

Nosiłyśmy ze sobą to oczekiwanie. Tak jak gaz Nisrine czepiało się mojej szuflady ze swetrami i arabskich książek, naszych staników, majtek i spodni od piżamy, w których chodziłyśmy teraz po domu, bo w wiosennych upałach nie potrzebowałyśmy już bluzek – Abudi był jeszcze mały, a *baby* nie było. Jego nieobecność dała nam tę niewielką swobodę.

Czekałyśmy, wolne kobiety, a z każdą minutą tego czekania nasza tęsknota rosła. Ciągle zastanawiałam się, do kogo mogłabym zadzwonić. Wypatrywałam Adela na dachu komisariatu.

Po południu byłyśmy już tak znużone wyczekiwaniem, że nawet drobiazgi i smutne sprawy, takie jak czyjaś śmierć, nabrały dla nas posmaku skandalu. Wdowa, która nie płakała po śmierci męża. Córka sąsiada, która bijąc się w piersi, zerwała chustę z włosów. Śmiałyśmy się, wzdychałyśmy, kręciłyśmy głowami.

Madame sporządzała długie listy adoratorów, którzy oświadczyli się jej przed *babą*, i za każdego szczypała Dounię w palec u nogi:

Simsim, który mieszkał w Maisaat. Miał bardzo duże stopy.

Stary właściciel dwunastu budynków, który był tak brzydki, że nawet nie chciała na niego patrzeć. Przesiadywał przed jej szkołą codziennie, czytając Koran.

Jej kuzyn. Nie lubiła go, więc powiedziała mu, żeby przepisał na nią jeden ze swoich domów. Oczywiście nie chciał tego zrobić. Wiedziała, że tak będzie, i dlatego go o to poprosiła. Jak inaczej można odmówić ręki kuzynowi?

Jeden, którego matka nie zgodziła się na madame. Ale on z kolei nie chciał żadnej innej i dlatego nie żenił się przez całe dwa lata.

Jeden, który miał już starą żonę, a zależało mu na dzieciach.

Och, cóż za nuda! Niczym pył osadzała się na ścianach, w holu i na zamkniętych drzwiach, które *baba* miał w każdej chwili otworzyć. W tym pełnym napięcia

wyczekiwaniu w końcu straciłyśmy poczucie więzi. Wykonywałyśmy domowe obowiązki, byle tylko zabić czas. Dla zachowania pozorów uprałyśmy spodnie *baby* i rozwiesiłyśmy je na balkonie do wyschnięcia, jakby nadal ich potrzebował.

Mali ludzie, małe bitwy.

Madame powiedziała:

– A mówiłam wam, że dziś będzie ciepło. – W jej głosie dało się słyszeć satysfakcję. – Schować ci sweter, Beo?

– Nie, sama to zrobię.

Zwykle o tej porze spotykałam się z Imadem.

Madame popatrzyła na kuchenny zegar.

– Nie masz dziś lekcji?

– Nie.

– To dobrze, zostań z nami. Ja zabiorę cię do Biblioteki Narodowej.

\*\*\*

Madame kazała się nam ubrać. Wszystkim, nawet Nistrine. Po tym, co się wydarzyło, nie mogliśmy zostawić jej w domu. Natychmiast rzuciliśmy się szykować. Z pudeł w szafie wyciągnęłyśmy porządne buty dzieci, wyszukałyśmy prezenty dla bibliotekarki. Madame zdecydowała się wziąć perfumy, które kiedyś jej podarowałam.

– Mówiłaś, że tam pracuje kobieta, Beo?

W końcu całą szóstką stawiliśmy się przy drzwiach. Tyle osób liczyła rodzina madame, zanim się tu zjawiłam. Wszyscy w wyjściowych spódnicach i dżinsach, nawet Nistrine zrezygnowała na tę okazję ze swojej piżamy. Wśród chichotów i paplaniny stłoczyliśmy się w windzie, naciskając niecierpliwie guziki. Nigdy wcześniej nie wychodziliśmy tak razem, to była prawdziwa wyprawa.

Podczas jazdy na dół rozmawialiśmy o bombach samochodowych. Madame martwiła się:

– Kto uruchomi nam samochód *baby*?

Abudi był już dużym chłopcem, miał prawie dziesięć lat, więc zgłosił się na ochotnika.

Ale madame mu nie pozwoliła.

– Jesteś za niski – powiedziała. – Trzeba sięgać nad tablicę rozdzielczą.

Wysypaliśmy się całą gromadką z windy wśród żartów na temat niskiego wzrostu Abudiego. To wprawiło go w taką złość, że uderzył Dounię w klatkę piersiową, a potem wbiegł z powrotem do windy i nie dał się przekonać do wyściubienia nosa, aż madame musiała po niego iść. Czekać na nich na ulicy, skakałyśmy przez kałuże, które słońce potworzyło z rozpuszczonego śniegu pod krzewami i wokół huśtawki. Dounia wskoczyła w środek jednej z nich i ochlapała Nistrine.

– Dounia!

Słońce prażyło jak w lecie. Nistrine zdjęła kurtkę.

Kiedy madame i Abudi w końcu wyszli z budynku, wróciliśmy do dyskusji na

temat tego, kto poprowadzi auto.

Nie Lema, bo była za młoda.

Ani madame, bo *baba* nigdy jej nie nauczył.

Nisrine też nie ani ja...

– A właściwie czemu nie? – zapytała madame. – W Stanach prowadzisz auto, prawda, Beo?

Przez głowę przemknęła mi myśl o bombach samochodowych. A potem pomyślałam o bibliotece.

– Dobrze – rzuciłam, wyciągając rękę po kluczyki.

Ostrożnie zbliżyliśmy się do samochodu, madame kazała dzieciom zaczekać na chodniku. Chciała, żebym uruchomiła silnik sama, na wypadek gdyby bomba rzeczywiście tam była. W ten sposób unikniemy większej liczby ofiar.

– Wystarczy jedna! – zażartowała wesoło, stojąc na krawężniku.

Mnie nie wydawało się to takie zabawne.

Podeszłam do auta i otworzyłam drzwiczki, podczas gdy dzieci zachęcały mnie okrzykami:

– Nie martw się, Bea, Amerykanom bomby nie robią krzywdy!

– Nie martw się. *Matt mat*. Może dołączysz do swojego nauczyciela, on już jest martwy, ha, ha!

Wsunęłam się na fotel kierowcy.

– No to jazda – mruknęłam, wkładając kluczyk do stacyjki.

Akurat go przekręcałam, kiedy Dounia wyrwała się Nisrine i skoczyła w moją stronę.

– Dounia!

Ale to nie miało już znaczenia, silnik pracował, a my obie nadal żyłyśmy. Objechałam przecnicę wśród żartów, z dziećmi biegnącymi za autem. Nikt z nas nie martwił się już bombami.

I tak zaczęła się nasza wielka przygoda. Ja prowadziłam, madame i Abudi siedzieli obok mnie z przodu, Dounia, Lema i Nisrine tłoczyły się na tylnym siedzeniu. Słońce mocno przypiekało, więc Lema narzekała, że zniszczy sobie cerę. Ukryła się nawet pod spódniczką Dounii, żeby się przed nim osłonić. Opuściliśmy wszystkie okna i wystawiliśmy łokcie, Dounia śpiewała piosenki po arabsku, a reszta klaskała do rytmu.

Zaciskałam palce na kierownicy, podekscytowana i pełna wyczekiwania. Nisrine doświadczała chyba podobnych emocji. Rozglądała się po mieście, które dotąd oglądała tylko z góry, patrzyła na zakurzone pobocza, lśniące chodniki, wysokie, rozłożyste krzewy. Widziałam, jak wyciąga rękę przez okno, próbując dotknąć wszystkich tych przedmiotów, które teraz stały się dla niej tak realne. Miasto tętniło życiem, pyszniło się kolorami, żółcią kwiatów rumianku, głęboką czerwienią sklepowych markiz, błękitem okrycia jakiejś religijnej kobiety. Nisrine wystawiła głowę na zewnątrz, zsunęła chustę

i rozłożyła ramiona na powitanie świata.

– Witaj, piękno! – zawołała.

Białe obłoki przemykały po niebie na podobieństwo ptasich skrzydeł.

Po arabsku wolność to *hooriya*. Pamiętam, jak na studiach poznałam to słowo. Bez trudu zapamiętałam je dzięki podobieństwu do angielskiego *hooray* – „hura”.

Pamiętam radość, jaką dzięki temu odczuwałam.

Nigdy wcześniej nie widziałam miasta w ten sposób. Obserwując Nisrine, sama zyskiwałam nowe spojrzenie na świat. Minęliśmy zagajnik cytrynowych drzewek, bladą fontannę. Nigdy wcześniej nie prowadziłam auta w tym kraju, a teraz wiatr rozwiewał nam włosy w rytm piosenek śpiewanych przez Dounię. Mknęliśmy ulicą, wystawiając ręce przez otwarte okna, a policjanci nas nie zatrzymywali.

– Chciałabym go czuć już zawsze – powiedziała Nisrine o wietrze.

W słońcu szary budynek biblioteki wyglądał wręcz złowrogo. Lemie, która nigdy wcześniej tu nie była, wystarczył jeden rzut oka.

– Beo, jesteś pewna, że chcesz tam iść? – zapytała.

Weszliśmy do środka powoli, krok za krokiem. Madame kazała nam zaczekać przy drzwiach, a sama przełożyła perfumy do zewnętrznej kieszeni torby, żeby były pod ręką, po czym ruszyła w stronę kontuaru.

Wszyscy wstrzymaliśmy oddech, a kiedy Dounia zakaszła, Lema zakryła jej usta dłonią. W napięciu obserwowaliśmy każdy ruch madame.

– Przepraszam – powiedziała, ale bibliotekarka wciąż nie odrywała wzroku od czytanej książki. – Przepraszam – powtórzyła madame i sięgnęła po perfumy, ale te okazały się zbędne. Kiedy bibliotekarka podniosła wreszcie głowę, madame natychmiast się rozpromieniła i wykrzyknęła: – Hunadi!

Ku mojemu zdumieniu bibliotekarka wcale nie kazała jej ściszyć głosu. Okrążyła kontuar i ucałowała madame w oba policzki, a potem zaczęła ją wypytywać o rodzinę, matkę i dzieci.

Kilka minut później madame wróciła do nas rozanielona.

– Chodź, Beo. Zobaczysz swój niesamowity tekst.

Nie mogłam w to uwierzyć.

– To jest Hunadi. Czemu mi nie powiedziałaś, że ona tu pracuje? Znamy się jeszcze ze szkoły podstawowej. Jej siostra i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Bibliotekarka też do nas podeszła.

– To kto idzie? – zapytała.

– Bea.

Bibliotekarka popatrzyła na madame i Nisrine, jedyne pozostałe dorosłe osoby.

– A wy nie chcecie?

Obie przez chwilę milczały, po czym Nisrine wreszcie powiedziała:

– Zostanę z dziećmi.

Ale to przecież właśnie ona nauczyła mnie wszystkiego, co wiedziałam o miłości. A poza tym przez ostatnich kilka dni ona, madame i ja robiłyśmy wszystko razem, więc

nasze zwyczajowe role w tej rodzinie się wymieszały. Ujęłam jej dłoń.

– Chodź ze mną.

Madame powiedziała, że też idzie, więc bibliotekarka wyjęła trzy pary bawełnianych rękawiczek, przykazała dzieciom zostać przy drzwiach, gdzie nie mogły niczego dosięgnąć, a potem poprowadziła nas obok klatki, w której czekali uczeni mężowie, między pustymi regałami, aż do pomieszczenia pełnego książek.

A więc to tu je trzymali! Rozejrzałam się wokół. Książki leżały wszędzie, w stosach na półkach, na górze wnek na najstarsze okazy. Dotknęłam jednej z nich, a jej brzeg rozsypał mi się w palcach w pył. Całe rzędy książek. Książki historyczne, mapy, biografie, mapa miasta, na której w miejscu naszego domu rósł zagajnik drzewek cytrynowych, mapa miasteczka, w którym wychowała się madame, a które wtedy było zaledwie pastwiskiem dla kóz. Setki książek, poukładanych bez żadnego planu czy systemu, jakby każdy, kto tu wejdzie, był jednakowo uszczęśliwiony obcowaniem z którąkolwiek z nich. Wdychałam ich zwietrzały zapach i myślałam sobie, że tak właśnie by było. Od chwili mojego przyjazdu tutaj nie widziałam tylu książek naraz. Tu autobiografia prezydenta. A tu aramejski, język Biblii.

Oczy Nisrine błyszcząły. Rozglądała się, chłonąc te wszystkie tytuły, tak jak wcześniej chłoneła kolory mijanych budynków.

– A więc to dlatego tak lubisz to miejsce, Bea!

Bibliotekarka kazała nam poczekać, a potem wyszła do kolejnego, jeszcze mniejszego pomieszczenia. Wyłoniła się chwilę później z cienką skórzaną teczką, dla której zrobiła miejsce na jednym z zakurzonych stołów.

– Proszę – powiedziała, ale żadna z nas nawet nie drgnęła. – No dalej, nie chcecie swojego tekstu?

Otworzyła teczkę i potrząsnęła nią, a wtedy ze środka niczym światło wysunęło się pięć idealnych kartek.

W wielkich historiach arabskiego pisarstwa badacze często opisują moment, kiedy zetknęli się z naprawdę zdumiewającym tekstem. Chwilę, która ich odmieniła. I której nigdy nie zapomną.

Ja, madame i Nisrine ostrożnie zbliżyłyśmy się do naszego tekstu. Pismo było piękne, choć proste, litery ułożone finezyjnie pośrodku strony. Wzdłuż brzegów biegły malowane pnącza, zaginające się leciutko w stronę samotnego niebieskiego kwiatu.

– To kwiat pustyni – powiedziała madame. – Kwitnie tylko raz na sto lat.

Nisrine dotknęła rysunku czubkiem palca. Adel nazwał ją kiedyś takim właśnie kwiatem.

– Śliczne – westchnęła, a mnie przypomniało się, jak to samo powiedziała o wierszu Adela, wsparta o blat w kuchni, ze zmywakiem do naczyń w dłoni. To był pierwszy tekst, który razem czytałyśmy.

Czymże jest piękno jakiegoś doświadczenia, jeśli nie można go dzielić z bliskimi? Kiedyś dostałam wiersz i natychmiast pobiegłam z nim do Nisrine. Potem zdarzały się takie chwile, gdy tego żałowałam, bo widziałam, że ten wiersz przyniósł jej miłość, a mnie... no właśnie, co? Nigdy jednak nie żałowałam samego faktu dzielenia się z nią słowami – dwie głowy pochylone nad tymi samymi jasnymi kartkami, dwa serca bijące

niecierpliwym wyczekiwaniem, wstrzymany oddech. Zawsze ceniłam sobie to wspomnienie. Nadal tak jest.

A kiedy pisarz tworzy, czyż nie czyni tego właśnie po to, by dzielić się z innymi?

Zaczęłyśmy czytać. Początkowo w milczeniu, twarz przy twarzy, ściśnięte razem, żebyśmy wszystkie mogły dobrze widzieć. Przesuwałam palcem wzdłuż wierszy, po idealnych pnączach i kształtnych literach. Po chwili usłyszałam cichy pomruk madame, aż wreszcie zaczęła czytać cichym, śpiewnym głosem, którego *baba* używał podczas modlitwy albo recytowania Koranu. Przestałam przesuwać palcem wzdłuż słów, Nisrine przestała je szeptać, po czym obie śledziłyśmy tekst odczytywany nam przez madame, tę dawną historię miłosną.

Pierwsza strona była przeznaczona dla Qaisa. Widziałyśmy go w tych literach, lekki poblask złota w jego oddechu i wierszach, miłość, którą ofiarowywał dalekiej Leili, szeroko rozwarte ramiona, skraj strony niczym niewyobrażalny dystans między nimi, tęsknota jak warstwy namiotu Leili. Ich miłość była tak cudowna, dawała im szczęście. Każde z nich żyło we własnym świetle, a jednak wystarczyło im jedno spojrzenie, niczym rzut oka na płatki tego kwiatu, by napęlić ich serca radością na resztę dnia.

I kiedy o tym czytałam, ja też odczuwałam radość. Widziałam każde z tych słów i witałam je radośnie, ze zrozumieniem.

A potem z wolna w tekst zaczęła się wkradać melancholia. Pojawiły się problemy i ich miłość też się zmieniła, tak po prostu. Przelotne spojrzenia przestały im wystarczać – czymże było spojrzenie na Leilę, skoro nadal pozostawała daleko od niego, a w jej oczach czaił się smutek? Strona stała się pusta, litery oddalone od siebie – wiedziałyśmy, że to znak odejścia Leili. Wszędzie wokół rozbrzmiewały szepty o tęsknocie Qaisa, *hamza* była jak rozwarta przepaść, koniec wersu niczym ostateczne wygnanie.

Czytałyśmy dalej, teraz już o tułaczce Qaisa. Tyle że nikt go tak już nie nazywał, teraz wszyscy mówili o nim Oszałały z miłości do Leili. Ale chociaż Leila zniknęła, wciąż czuło się jej obecność w tekście, w eleganckim kształcie liter, przywodzących na myśl wyprostowane plecy młodej kobiety. Czuło się też strach Qaisa, ciężki niczym policyjne buty.

Zrozumiałam, że tak naprawdę miejsce nie ma znaczenia, i początkowo poczułam się podniesiona na duchu. Leila odeszła, ale jej istota pozostała, nawet litery „e” w słowach „odejście” czy „wygnanie” przywodziły na myśl słodki zarys jej podbródka. Biedny Qais, nigdy jej nie zapomni. Była jego ogrodem w płomieniach, sama czerwona henna i trudy wędrowania. Bez niej stanowił jedynie dwoje oczu, obolałych od piasku. Czytając o tym, o mało się nie rozplakałam, zdołałam jednak się powstrzymać. Miłość jest wszędzie, pomyślałam. Podąża za tobą. I początkowo wydało mi się to radosnym odkryciem, fakt, że potrafimy tak kochać i że nawet kiedy ukochana osoba odchodzi, w naszej pamięci nadal żyje.

Ale chociaż czułam radość, w pewnym momencie słowa zaczęły się tłoczyć jedno

na drugie, a ja uświadomiłam sobie, jak bolesna potrafi się okazać miłość. Leila była wszędzie, a Qais tak bardzo tęsknił po jej odejściu. I widziałam, jak tęsknota nie pozostaje w jednym miejscu, ale się rozprzestrzenia, jest niczym śnieg – pokrywa wszystko i odmienia krajobraz. Staje się tym, co niesiesz ze sobą wszędzie, co widzisz, czym oddychasz. Qais też nie mówił już o Leili z przyjaciółmi czy pasterzem, bo Leila zawsze była z nim, obecna w jego słowach, w zarysie malowanej strony. Dostrzegłam zaledwie przedsmak tego właśnie w tamtym momencie, bo sama tęskniłam za *babą*. I doświadczam tego teraz, już zawsze będę to czuć – z powodu Nisrine.

Madame recytowała dalej głosem cichym, wzbierającym od łez. Miłość wtopiła się w codzienne zajęcia Qaisa, aż wreszcie sama stała się jego obowiązkiem, aż nie było już różnicy między miłością, tęsknotą i pomaganiem pasterzowi przy owcach. Miłość to coś, z czym uczysz się żyć już na zawsze. Nie ustaje nawet po śmierci ukochanej osoby, nawet po jej odejściu. I tak właśnie było w moim przypadku.

Nisrine zwróciła twarz w moją stronę. Po policzkach spływały jej łzy.

– To sytuacja bez wyjścia, Bea. Qais ją kochał, ale jego miłość nie mogła jej pomóc. W oczach madame też lśniły łzy.

– Nie płacz, Bea.

– Nie płacz, Nisrine.

– Nie płacz, *mama*.

Przyjechałam tu, żeby zapłakać nad niesamowitym tekstem. Ale kiedy oparłam się o madame i Nisrine, kiedy poczułam ich łzy w swoich włosach, kiedy moje łzy zaczęły kapać na ramię Nisrine, zrozumiałam pewną prawdę o nas trzech: nie płakałyśmy z powodu tekstu, tak jak wcześniej sądziłam, że będzie. Przeczytałam te słowa, ujrzałam w nich Leilę, a potem nagle litery rozmyły mi się przed oczami. Nie widziałam już ich piękna, ale to nie miało znaczenia. Płakałyśmy nie z powodu słów, ale dlatego, że mężczyźni, których kochałyśmy, zniknęli, a my tak bardzo za nimi tęskniłyśmy, bo wciąż byli dla nas ważni. Od tamtej pory zdarzało mi się płakać, ale nigdy z powodu tekstu; raczej dlatego, że po *babie* odeszła również Nisrine, a ja wiem, że choćbym całe życie próbowała, żadne słowa nie zdołają zappełnić pustki, jaką po sobie zostawiła.

Wiem, że taka jest prawda. A jednak podobnie jak pasterz i Qais wciąż nie przestaję próbować.

Czytałyśmy dalej.

Trzecia strona była poświęcona pasterzowi o gęstych, kręconych włosach. Z gładkim kosturem w ręku stanął przed Qaisem, a wtedy nagle litery tekstu jakby się uspokoiły. Zdawały się kontemplować te długie pasma ciszy, z jakich składało się życie na pustyni. I swobodę, z jaką Qais mówił, a pasterz słuchał. Z każdym kolejnym słowem, wypowiedzianym przez madame, opowieść o miłości dwójki kochanków zamieniała się w historię miłosną trojga. Zrozumiałam, że pasterz kochał ich oboje, Qaisa i Leilę, czuwał nad nimi i nad wierszami Qaisa. I pomyślałam sobie, że romans Qaisa i Leili się zakończył, ale ich miłość nie – podobnie jak miłość pasterza. Od tamtej pory często myślę o pasterzu, o tym, jak troszczył się o dwoje kochanków. Chyba wreszcie zrozumiałam jego tragedię: jak pogodzić się z samotnością i nadal wierzyć w miłość, skoro kochankowie dawno odeszli?



Wciąż musiałam odnaleźć swoją własną drogę w tym wszystkim.

Czytałyśmy dalej. Byłyśmy teraz razem, nasze splecione nad tekstem dłonie, nasze piersi i oczy – stapały się w jedno.

Co jeszcze zauważyłam? Że w tekście nie ma słów, które spodziewałam się w nim znaleźć. Poznałam tyle arabskich określeń miłości, a jednak tekst nie pokazywał tego uczucia za ich pośrednictwem. Używał najprostszych słów i drobnych gestów. Wystarczył opis tego, jak pasterz trzymał swój kostur, słuchając Qaisa. Albo jak Qais przybrał imię Oszalałego z miłości do Leili.

Przypomniało mi się, jak sama otrzymałam przydomek *baba*.

Pomyślałam o słowie, które określało to, co madame najbardziej lubiła w swoim mężu – słowie, którego ja nie rozumiałam.

Pomyślałam o wszystkich tych chwilach bez słów, które wciąż były drogie memu sercu. I wtedy przyszło mi do głowy oczywiste pytanie: po co uczyłam się niezliczonych określeń miłości? Miłość to nie jest coś, o czym się mówi, tylko to, co się robi, co się czuje i czego się doświadcza, to intymność chwil milczenia i drobnych sensów.

Pasterz o tym wiedział. Został u boku Qaisa i kochał go, tak jak kochał Leilę. Ale w końcu Leila odeszła, a Qais oszalał, tak że oboje go opuścili. Na początku poznałam pasterza jako strażnika wierszy Qaisa. I właśnie to mnie w nim pociągało. Ale teraz już wiedziałam, że to nie jest jego najważniejsza rola. Był raczej człowiekiem zdolnym do głębokich uczuć, a czasem jedynym sposobem na wyrażenie takich emocji jest opowiedzenie historii.

I w ten sposób dowiedziałam się, że niesamowity tekst jest opowieścią nie tylko o miłości, ale też o stracie. A nawet jeśli jest opowieścią o miłości, to tylko dlatego, że granica między nią a stratą okazuje się niezwykle cienka. Bo właściwie nigdy nie odczuwamy straty, jeśli wcześniej nie czuliśmy miłości, więc może działa to również w drugą stronę.

Przez cały ten czas szukałam języka miłości, by wreszcie odkryć, że tym, co skłoniło pasterza do pisania – i co później skłoni również mnie – była strata. To ona zrodziła w nim wszystkie te piękne słowa, ale to nie była kwestia wyboru. Pisał, bo nie mógł zrobić nic więcej.

Wiele lat później sama będę siedzieć w ciepłym domu, z mroźną zimą za oknem i pudełkiem pełnym wierszy oraz listów przed sobą, i będę myśleć, że odkąd opuściłam dom madame, od tamtego dnia nad tekstem, próbowałam uciec od słów, a tymczasem mnie też nie pozostało nic innego. Teraz już wiedziałam, że słowa nie są tym samym, co doświadczenie, że miłość to coś, co czujesz, a nie o czym czytasz. Ale po tym, jak w domu madame odnalazłam miłość i ją straciłam, jak obserwowałam rozpadanie się świata tych, których kochałam, znów zwróciłam się ku słowom. Chociaż są tak niedoskonałe, to nadal więcej niż nic.

I może za ten powrót do przeszłości powinnam być wdzięczna pasterzowi. (Oraz Adelowi, który miał już dość swoich wierszy, więc wysłał je mnie). Tamtego dnia czytałam tekst i czułam jednocześnie radość i smutek. Radość zrodzoną z potęgi pamięci, ale też smutek z powodu bezsilności tych trojga – Qaisa, pasterza i Leili – wobec własnych uczuć.

Pod koniec pasterz zaczął się poddawać. Ja też doświadczyłam czegoś na kształt katharsis, kiedy płałam się w jego rozpacz, świadomości, że nie ma już dla nas nadziei, bo wobec tego, co czujemy, jesteśmy bezradni. A potem, na samym dole ostatniej strony – podpis.

– Co to takiego? – zapytałam madame, a ona otarła oczy i odparła:

– Podpis pasterza.

Myślałam, że to Qais był poetą.

– Pasterz to napisał?

– Tak.

A więc jednak się nie poddał, próbował dalej. Ze straty zrodziły się najpiękniejsze ze słów.

Podczas gdy ja zmagalam się z tym wszystkim, Nisrine, która z dala od rodziny poznała, co to miłość i strata, która właśnie straciła wielką miłość, ten ciągły ból w sercu, także czegoś się nauczyła.

Nachyliła się w moją stronę i rzuciła głosem nabrzmiętym od łez:

– Qais kochał Leilę, a jednak nie mógł jej pomóc.

Milczałam. To była jej lekcja, nie moja.

– Miłość nie zawsze oznacza pomoc. Czasami trzeba być niczym ptak i wzbić się w niebo samemu. Pamiętasz tę dziewczynę z mojej opowieści, Bea? Tę, która przemieniła się w ptaka i odleciała zupełnie sama?

Dziewczynę, która podążyła za głosem serca. Nie była ani Qaisem, ani Leilą, więc nauczyła się żyć w pojedynkę.

Wracaliśmy do domu w milczeniu, bo dzieci też wyczuwały nasz szczególny nastrój.

Nisrine spod zmrużonych powiek wpatrywała się w znaki drogowe, jakby starała się je zapamiętać.

W windzie też nie zamieniliśmy ani słowa, ale była to cisza, w którą wkroczyliśmy wspólnie. Okazywaliśmy sobie wzajemnie tyle życzliwości, podawaliśmy sobie ręce, przytrzymywaliśmy drzwi, pomagaliśmy zdjąć buty.

W kuchni madame poleciła mnie, Nisrine i Lemie poskładać pranie, a sama zabrała się do zagotowywania mleka. A potem wszedł Abudi i wcisnął sobie jedną ze złożonych bluzek pod koszulę.

– Patrzcie, jestem w ciąży!

– Co powiedziała twoja teściowa?

– Szaleje ze szczęścia. Właśnie rozrzuca ryż z balkonu.

Zadzwoił telefon. Madame odebrała. Przez chwilę słuchała, wsparta o kuchenkę, a potem odłożyła słuchawkę i podeszła do nas, żeby pomóc nam z praniem.

– Dzwoniła Moni – wyjaśniła. – Hassan został oskarżony. Już wiadomo, kto na niego doniósł. To ten nauczyciel. Powiedział, że mężczyźni, którzy podpisali

proklamację, są w Klubie Dziennikarzy. Nie mówiłaś o tym nauczycielowi, prawda, Beo?

Przez chwilę milczałam. Tak jak Nisrine dawno temu w sprawie gazu miałam ochotę zrzucić winę na Abudiego. Przypomniało mi się, jak obie siedziałyśmy zamknięte w mieszkaniu.

„A ich ojciec?”. „Jest w Klubie Dziennikarzy”.

Tam, gdzie dokument. W miejscu, które policjanci znali jako punkt spotkań opozycjonistów.

Abudi był rozsądniejszy. Nie rozmawiał z obcymi.

Przez cały dzień dowiadywałam się prawdy o słowach, a oto jedna z ostatnich lekcji: czasem ważniejsza od znajomości wszystkich arabskich słów jest umiejętność trzymania języka za zębami, wiedza, kiedy lepiej nic nie mówić.

Lema ciągle składała pranie. Ułożyła już na kuchennym stole jeden schludny stosik z naszych koszul i drugi z bielizny. Teraz wzięła moją koszulę i zmięła ją w dłoni w kulę, a potem popatrzyła na matkę.

– I tak wpycha je do szafki, bez ładu i składu. Tylko marnuje naszą pracę.

Mleko się zagotowało.

Nisrine podeszła do mnie i powiedziała:

– Już dobrze, Bea. Po prostu ci się wyrwało. Przecież nie zrobiłaś tego specjalnie.

Dotknęła mojego policzka, ujęła za rękę.

Madame wstała, żeby wyłączyć gaz. Posmarowała chleb suszonym jogurtem i galaretką, a potem wręczyła Nisrine i mnie miseczki z tym, co zostało.

– Dziękuję, *mama*, nie jestem głodna.

– Dokończ to, Beo, my już mamy dość.

To przeze mnie *baba* trafił do więzienia. Zaciągnęłam u nich wszystkich dług wdzięczności. Nie wiedziałam, jak naprawić swój błąd, więc udawałam, że takie rodzinne długi są niczym zobowiązania finansowe określonej wysokości, i starałam się znaleźć drobne formy ich spłaty, w ratach rozmiarów miseczki z galaretką.

– Ty to dokończ, *mama*. Ja nie jestem głodna.

Madame podała miskę Abudiemu. Mój dług zdawał się tylko rosnąć.

– Wracaj do domu, Beo – odezwała się Lema. – Na pewno masz nas już dosyć.

– Tak, Beo, wracaj do domu.

W domu madame byliśmy nieufni wobec obcych, więc wobec siebie nawzajem stawaliśmy się nieostrożni. Kiedy madame się złościła, uderzała Dounię. Ja w chwilach zdenerwowania zamykałam się w łazience i nie interesowało mnie, że inni też potrzebują z niej skorzystać. Abudi był jedynym chłopcem. Rozkazywał siostrom, żeby przynosiły

mu buty, a Nisrine, żeby robiła mu jedzenie. Często czaił się też, żeby kopnąć którąś z nich, a madame nigdy go za to nie karciała. To był przywilej Abudiego, możliwość kopania innych i uniknięcia lania.

Ja też miałam pewien przywilej: nieostrożność w obchodzeniu się z informacjami. Ponieważ byłam cudzoziemką i Amerykanką, spotykałam obcych ludzi na ulicy i otwarcie rozmawiałam z nauczycielami czy policjantami, a nikt nie zamierzał wsadzać mnie za to do więzienia.

Ale *baba* został aresztowany.

Niezależnie od wszystkiego pewnie i tak w którymś momencie znalazłby się za kratami, ostatecznie podpisał przecież proklamację. Ale przeze mnie i mojego nauczyciela trafił tam już teraz.

Oczywiście pragnęłam to naprawić, cofnąć raz wypowiedziane słowa...

Madame mnie zatrzymała. To nie było wszystko.

– Moni mówi, że ten blondyn nie jest już policjantem. Krążą plotki, że ojciec go pobił, bo dowiedział się o jego romansie. Odebrali mu mundur.

Wszyscy popatrzyliśmy na Nisrine, która wyrzekła się Adela, która na naszych oczach podarła jego wiersze, jeden po drugim.

Stała obok mnie, ramię w ramię. Poczułam, jak jej mięśnie stężały.

A więc dlatego po nią nie przyszedł – bo wszystko się wydało. Koniec końców okazało się, że to nie przed madame powinni ukrywać swoją miłość, tylko przed jego ojcem. Świadomość tego musiała naprawdę boleć.

A ja już wiedziałam, jak to się odbyło:

Proste zdanie: „Jest w Klubie Dziennikarzy”.

Proste wyznanie, by ratować swoją szkółkę językową.

Adel przeczytał to wyznanie, leżało na jego biurku. Zamierzał nam pomóc, kiedy ojciec go na tym nakrył. A i tak był już wściekły na syna za to, że pokochał niewłaściwą kobietę.

Gdyby Adel jej nie pokochał, a ona nie odwzajemniła jego uczucia. Gdybym ja nie rozmawiała z moim nauczycielem, gdybym nie kochała ich obojga, czy to wszystko w ogóle by się wydarzyło?

Qais pisał dla Leili wiersze, a gdy ją stracił, oszalał. Jestem pewna, że po jej utracie w jego głowie kłębiły się miliony wątpliwości. Gdyby nie posyłał Leili swoich wierszy... Gdyby pracował ciężiej i miał więcej owiec... Gdyby był bardziej uprzejmy dla jej ojca... Gdyby nie wystawał tak ostentacyjnie przed jej namiotem, czy wszystko potoczyłoby się inaczej?

W arabskim, tak jak w większości języków, taką konstrukcję nazywa się trybem łączącym, tworzonym z wykorzystaniem czasu przeszłego i przyszłego. Jestem pewna, że

te same myśli, które przed wiekami dręczyły Qaisa, nie dawały w tamtym momencie spokoju madame i Nistrine, tak jak nie dawały spokoju mnie.

Gdybyśmy nie...

Gdybym nie...

Gdyby nasze serca były inne.

I wciąż nie dają spokoju.

Nistrine nie lubiła tego trybu.

Pewnego razu Adel powiedział: „Gdybym mógł cię dotknąć...”.

Przerwała mu wtedy: „Kiedy mnie dotkniesz”.

„Gdybyś mnie kochała...”.

„Ciii, przecież kocham”.

Przez cały ten czas Nistrine czekała w domu, w którym kochała, ale też cierpiała, w którym dbała o wszystkich, ale nie zawsze czuła się chciana. W domu, którego była więźniem, z którego najwyraźniej nie mogła uciec.

Z niesamowitego tekstu wyciągnęła tę jedną lekcję – że tęsknota dopadnie cię wszędzie i będzie tylko przybierać na sile. Że miłość nie zawsze jest w stanie pomóc, że czasem musimy po prostu wziąć sprawy w swoje ręce, że lepiej nie być jak Qais i Leila, ale jak ten ptak z jej opowieści, który latał, gdzie chciał, i zawsze podążał za głosem serca.

Czułam obok siebie obecność Nistrine, doświadczałam jej smutku.

Od madame dowiedziała się, że jej ukochany leży chory, pobity za miłość do niej, może złakniony troskliwej opieki. Pewnie za to też czuła się odpowiedzialna.

A teraz, ponieważ nie chcę wam jeszcze mówić o tym, co wydarzyło się potem, ponieważ staram się tak bardzo odwlec w tej historii, zupełnie jak w życiu, przykry moment, powiem wam w zamian coś innego: miłość to otwarta przestrzeń. Może być jednocześnie przyjaźnią, namiętnością, rozstaniem i nieodwzajemnieniem. Kochałam i całowałam się wiele razy, ale żadna z tych miłości nie odmieniła mnie tak jak Nistrine.

O czym wtedy myślała? O ptaku z legendy czy o swoim synku?

Wcześniej powiedziała, że to sytuacja bez wyjścia.

Tamtego dnia stałam jak skamieniała i słuchałam opowieści madame o moim udziale w całej sprawie.

Ale Nistrine nie tkwiła już obok mnie bez ruchu.

Uścisnęła moją dłoń, a potem rzuciła się do drzwi wejściowych z krzykiem:

– Adel!

Tyle że drzwi były zamknięte na klucz. Madame próbowała ją złapać, ale zdołała chwycić tylko rąbek jej chusty. Ta się rozwiązała, odsłaniając włosy. Nistrine wybiegła na

balkon. Nie wiem, czy chciała jeszcze raz zawołać Adela, czy może uciec po linie tak jak on, a może chodziło jej tylko o to, by poczuć przez chwilę powiew chłodnego powietrza na twarzy. Już nigdy się tego nie dowiem, mogę tylko zgadywać.

Balkon był mokry od topniejącego śniegu, balustrada rozchwiana.

– Nisrine! – zawołałam za nią. Chciałam jej pomóc, przeżyć razem z nią ten moment, tak jak tyle innych, ale nawet się nie obejrzała.

Wybiegła z rozłożonymi ramionami, pośliznęła się i wpadła na balustradę, a ta się złamała – strata rozciągnięta przede mną w całej okazałości.

Nisrine spadła do ogrodu cztery piętra poniżej, a jej biała chusta poszybowała za nią niczym ptasie skrzydło.

\*\*\*

Niewiele pamiętam z tego, co było potem. Czułam się tak, jakbym unosiła się w wodzie. Madame zajęła się wszystkim. W końcu zadzwoniła do Moni, która przyjechała po mnie swoim autem i zabrała mnie do agencji, skąd zadzwonili do mojej mamy, żeby przysłała mi bilet na samolot. Nawet w podobnym stanie czułam niesprawiedliwość tego wszystkiego. Ale i tak poleciałam do domu.

## AMERYKA

Wszystko to wydarzyło się tak dawno temu, a jednak nadal pamiętam każdy szczegół. Wspomnienia wracają w najmniej oczekiwanych momentach, ożywiane przez drobiazgi: sposób, w jaki matka trzyma nóż – zupełnie jak kiedyś robiła to madame, półprzezroczysty fiolet – kolor mytej jodyną natki pietruszki, dźwięk i kształt tylu słów, które przypominają mi o Nisrine.

To jest właśnie problem z tęsknotą: nie zostaje zamknięta w jednym miejscu, rozprzestrzenia się i zmienia twoje otoczenie.

Pamięć bierze drobny szczegół i czyni go tak wyrazistym, a ty tęsknisz za najbardziej prozaicznymi przymiotami jakiejś osoby, takimi, o których nawet nie miałeś pojęcia, że będzie ci ich brakować.

Czasami Nisrine patrzyła na mnie tak znacząco. Podobnie jak madame wykorzystywała przeciwko mnie drobiazgi w rodzaju rozmaitych domowych obowiązków. Ale ponieważ nie chciała mi powiedzieć, dlaczego tak robi, nie miałam szansy naprawić swoich błędów.

Wiedziała o miłości znacznie więcej niż ja, miała większe doświadczenie. Dawała mi to odczuć bez mówienia o tym wprost, swoim milczeniem albo zniecierpliwionym gestem, tak jak czasem ja uświadamiałam jej, że miałam więcej okazji do nauki arabskiego niż ona. Nie chciałyśmy być takie dla siebie nawzajem, zwyczajnie takie byłyśmy. I to czyniło nas niepowtarzalnymi.

A jednak Nisrine potrafiła położyć kres każdej sprzeczce, taka jest prawda, nie przesadam. Po prostu była zabawna – pamiętam wszystkie te łaskotki i przepychanki pośród śmiechów – i życzliwa, a ja tak bardzo ją kochałam.

Jak można zapomnieć o takiej miłości albo o tęsknocie, kiedy się ją utraciło? Jak powrócić do pierwotnego świata niewinności, kiedy człowiek zmienił się na zawsze? W Koranie takim odmienionym światem jest ziemia, na którą uciekli pierwsi kochankowie po wygnaniu z raju. Tam poznali, co to smutek i ból, by z zaskoczeniem wykrzyknąć: „Nie tego się spodziewaliśmy!”. Ale taka właśnie jest cena wiedzy – już zawsze będziesz dostrzegać wszystkie niedoskonałości tego świata.

Czy jednak ta historia nie kryje w sobie nawet teraz ziarna prawdy, że poznanie oznacza w istocie konfrontację ze smutkiem? Zebranie wszystkich sił, by jednak ruszyć naprzód, ku miłości. Czyż nie na to mimo wszystko liczymy?

A jeśli miłość, którą odnaleźliśmy, nie była przeznaczona wyłącznie dla dwojga ludzi, jeśli miało jej doświadczyć więcej osób? Ognista, gwiazdzista substancja, która podsycana, rozprzestrzenia się coraz bardziej, tak że im bardziej kochasz i jesteś kochany, tym więcej masz światła?

A jeśli rzeczywiście możemy zatrzymać wszystkie serca, które zechcemy zatrzymać, a po śmierci przemykać między nimi? A jeżeli zmarły może odwiedzać każdy kraj, w którym jest ktoś, kto go kochał, tak że dla Nisrine, której miłość obejmowała tyle kontynentów i wieków, wciąż trwa ta niekończąca się podróż, wieczne przychodzenie

i odchodzenie, nieskończone światło? A gdyby śmierć wcale nie była kresem życia, tylko przygodą? Czy nadal tak bardzo brakowałoby mi Nistrine?

\*\*\*

Wróciłam do Stanów wiosną, nadal w luźnych spodniach i koszulach z długimi rękawami, noszonych z szacunku dla moich gospodarzy. Drżałam w tym stroju niczym porwany wiatrem liść. Mamie wystarczyło jedno spojrzenie, by zapakować mnie do łóżka, w którym spędziłam większość lata. Nistrine wciąż była ze mną. Zamykałam oczy i czułam się jak w obcym kraju, moje ciało tkwiło tutaj, ale umysł pozostał daleko stąd.

Nadeszła jesień. Wiedziona instynktem mieszkanki Środkowego Zachodu, mama posłała mnie z powrotem na studia. Niewiele wtedy czułam, bo nie chciałam czuć. Mijały miesiące. Ale czas i młodość zrobiły swoje, w końcu znów byłam w stanie uczestniczyć w dyskusjach na zajęciach i zagłębiać się w lekturze. Robiłam to głównie instynktownie, bo przecież nadal żyłam, a gdy jesteśmy młodzi, naszym zadaniem jest po prostu żyć. Wreszcie instynkt zmienił się w nawyk, a z nawyku nauczyłam się ponownie być sobą, chociaż już nigdy nie byłam taka sama. To zupełnie jak z naszym głosem, który w obcym języku zawsze jest odrobinę za wysoki lub za niski.

Teraz, kiedy ciężko mi się zwlec z łóżka, przypominam sobie Nistrine. Próbuje zagryzać zęby, tak jak robiła to ona, patrzę w okno, by uczynić się lekką jak piórko, zupełnie jakbym pływała w spokojnej wodzie. Myślę sobie: jestem tu, ale zaraz pozwolę rzece się zagarnąć. Jeśli już zawsze mam w sobie nosić tamto miejsce, tamtych ludzi, to przynajmniej chciałabym zmierzać z nimi do przodu. I tak właśnie robię. Kończę doktorat, żeby zostać naukowcem, tak jak przepowiedziała mi to kiedyś Nistrine. Szukam sensu w głębokich słowach. W ten sposób trzymam ją wciąż blisko siebie.

\*\*\*

Jak już powiedziałam, nie pamiętam tego, co się wydarzyło zaraz po śmierci Nistrine. Te chwile mi umknęły.

Wiem, że w następnym tygodniu madame dowiedziała się w indonezyjskiej ambasadzie, jak brzmi jej pełne imię i nazwisko, a kiedy ja mknęłam samolotem nad wodami oceanu, wysłała rodzinie Nistrine pieniądze, które była jej winna, minus opłata za przelew. Zajęła się tym zupełnie sama, bez pomocy *baby* czy mojej. Trudno jej było wyjść z domu, bo za każdym razem musiała zabierać ze sobą wszystkie dzieci, a że żadne z nich nie mogło poprowadzić auta, musieli jeździć brudnymi autobusami.

Podobno rodzina Nistrine przyjęła ten gest z wdzięcznością. Siostra Nistrine podziękowała nawet madame po arabsku. Wiedzieli już o śmierci Nistrine, ambasada ich powiadomiła. Jej przedstawiciele pojawili się niemal równocześnie z lekarzami i przejęli sprawę. Za życia Nistrine była służącą madame, ale po śmierci znów stała się przede wszystkim obywatelką. Ludzie z ambasady odesłali jej ciało razem z jej nielicznymi rzeczami do domu. Tam wreszcie rodzina mogła ją pożegnać: swoją matkę, żonę, córkę i siostrę.

\*\*\*



Przez telefon madame zawsze brzmi tak samo. Przesyła ucałowania dla mojej mamy, a ja dla niej i dla dzieci. Teraz są już duże, ale na początku dawała słuchawkę każdemu z nich, żeby mogli usłyszeć, jak bardzo za nimi tęsknię.

Nigdy nie wytknęła mi mojego udziału w aresztowaniu *baby* czy śmierci Nistrine. Być może słyszy w moim głosie, że te dwie twarze w mej pamięci i tak powodują nieprzespane noce, rozbite dni. A może zwyczajnie jest zbyt zajęta, ostatecznie musiała wychowywać sama trójkę dzieci.

Przez te wszystkie lata nauczyłyśmy się na nowo śmiać i przekomarzać. Dowiedziałam się wszystkiego o adoratorach Lemy, którzy zaczęli się pojawiać rok po moim wyjeździe, chociaż madame nie chciała się zgodzić na ślub, zanim córka nie skończy osiemnastu lat. Przesiadali w salonie razem z madame i Abudim, podczas gdy Lema podawała herbatę. Jeden z nich był dwa razy starszy od Lemy, która przejęzyczyła się i nazwała go wujkiem, ale to wcale go nie zniechęciło. Potem często sobie z tego żartowali, a teraz mają już syna. Madame mówi, że macierzyństwo służy Lemie, która bardzo wyładniała. „A co z tobą, Beo?”, pyta zawsze. „Teraz chyba kolej na ciebie?”.

A ja się śmieję, żeby ukryć skrępowanie. W kraju madame brak męża i dzieci to dla kobiety w moim wieku naprawdę wielki wstyd. Obie o tym wiemy.

„Mam nadzieję, że nic, co tu widziałas, nie zniechęciło cię do małżeństwa”, powtarza madame, a ja oczywiście zaprzeczam. I dodaję, że to pod jej dachem zrozumiałam, czym jest miłość. A kiedy już się to wie, trudno się zgodzić na cokolwiek innego. Wciąż czekam na tego jedyne.

No więc madame nie dopytuje o mężów, a ja nie pytam o *babę*, chociaż bardzo bym chciała. Po prostu czekam, pełna nadziei, że gdyby coś się zmieniło, gdyby *baba* został zwolniony albo gdyby madame pozwolono się z nim zobaczyć, na pewno by mi o tym powiedziała. Dwa lata po moim wyjeździe został na krótko wypuszczony, ale natychmiast zaangażował się z powrotem w działalność opozycyjną i ponownie trafił do więzienia.

Podpisany przez niego dokument jest już sławny. Odważna proklamacja była jednym z dokumentów, które dla jego rodaków stały się impulsem do tego, by zażądać wolnych wyborów. Nadal się tego domagają.

Kiedy piszę te słowa, w kraju madame toczy się wojna, tak jak na większości terenów Bliskiego Wschodu.

Pierwszy rok walk madame spędziła w starym mieszkaniu. Kiedy rozmawiałyśmy przez telefon, zawsze byłyśmy ciekawe, co wie ta druga. Jej wydawało się, że skoro jestem Amerykanką, muszę dysponować jakimiś wyjątkowymi informacjami. Ja z kolei sądziłam, że ona musi je mieć, skoro jest na miejscu. Tymczasem ona siedziała w domu, podobnie jak ja, a obie oglądałyśmy te same wiadomości.

W drugim roku walk zrobiło się naprawdę ciężko. Pojawiły się trudności z zaopatrzeniem, ceny poszybowały w górę. Abudi, który miał szesnaście lat i nie był już chłopcem, wciąż narzekał na długie kolejki po chleb. Czasami wychodził po prowiant

rano i wracał dopiero wieczorem. Madame nie musiała już zbierać śmietanki z mleka, żeby utrzymać dietę Dounii, teraz mleko dostawało się już wodniste. Nie mieli pieniędzy. Dzieci codziennie snuły się po starych targowiskach, ale tam też panowały pustki. Bomby spadały tak blisko, że wręcz to czuli, a Abudi aż rwał się do walki. Nie chodził już do szkoły, tylko szwendał się za żołnierzami po ulicach, więc madame w końcu zdecydowała się na wyprawę. Teraz mieszkają u siostry *baby* i tak jak ja czekają na wieści o nim. Na kuchennym stole, przy którym Nisrine i ja przesiadywałyśmy ze swoimi notatkami, czeka na niego kartka z liniowanego papieru, zapisana starannym pismem madame: „Hassanie, opuść dom. Bądź rozsądny, przyjedź do nas”. Ta kartka wciąż tam leży, z nadzieją, że *baba* wkrótce zostanie wypuszczony.

\*\*\*

Istnieje również wersja opowieści o Qaisie i Leili w języku perskim, którą, jak się okazało, zna wielu amerykańskich studentów. W tej wersji kochankowie nigdy się nie całują, ale spotykają się ponownie w niebie, by już się nie rozstawać, nawet na mgnienie oka. Kiedy jedno z nich jest głodne, oboje odczuwają głód, kiedy jedno z nich jest zmęczone, oboje zasypiają, tak więc koniec końców następuje zjednoczenie i wynagrodzenie krzywd, a ta sprawiedliwość ma trwać już po wieczność.

Jak jednak uwierzyć, że sprawiedliwość się dokona?

Po śmierci Nisrine przeprowadzono śledztwo, jednak w ojczyźnie madame nie obowiązują zbyt restrykcyjne przepisy budowlane, więc nikomu nie postawiono zarzutów. Mimo wszystko mnóstwo ludzi czuło się paskudnie z powodu tego wypadku. Kiedy madame rozmawiała przez telefon z siostrą Nisrine, była w stanie wydusić tylko, jak bardzo jej przykro. A zrozpaczona rodzina przyjęła jej słowa z taką wdzięcznością.

– Co powiecie jej dziecku? – zapytała w końcu madame.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. A potem siostra Nisrine odpowiedziała:

– Powiemy mu, że jego mama była jak bohaterka.

Słowo oznaczające jednocześnie podróżującą służącą, przenośny dom i bohaterkę historii.

– Powiemy, że wybrała się w długą podróż.

Teraz syn Nisrine ma dwanaście lat. Pisuję do niego listy, a jego ciotka pomaga mu na nie odpisywać. Wyobrażam sobie, że rośnie silny i nieugięty – jak jego mama. W swoich marzeniach planuję dla niego szczęśliwe życie: obdarzam go cierpliwością jego dziadka, by kupował kwiaty do na wpół spalonego domu, siłą matki, by wyruszał w dalekie kraje, by oddał w cudze ręce swoje dziecko i paszport, by kochał języki, nawet te, których nauka jest przymusem, by kochał Dounię, Adela i mnie. I by kochał dom.

Wyobrażam sobie jej syna, jak czeka cierpliwie na swoją mamę bohaterkę.

Oczywiście teraz jest starszy, więc wie, że Nisrine wybrała się w podróż, z której już nie powróci. Jeśli jego krewni są religijni, to pewnie pocieszali go, że zobaczy mamę w przyszłym życiu.

A jednak wyobrażam sobie, że gdzieś tam, w głębi ducha, wciąż czeka na nią także w tym życiu. Wie, że ona nie żyje, ale czy tak naprawdę jest w stanie całkowicie zrezygnować z nadziei? Jeśli nie jest, jeśli nadal czeka i ma nadzieję, jeśli wypatruje końca podróży, ptaków na horyzoncie, przypominających ślady usmolonych palców – to jest w tym podobny do mnie.

Mimo wszystko życzę mu jak najwięcej szczęścia. Nisrine wierzyła w przeznaczenie. I we wszechmocnego Boga. Myślę, że on nie opuści jej dziecka.

Oboje wciąż pamiętamy historię dziewczyny, która pofrunęła ku tęczycy: jeśli zdołała tam dotrzeć, to będzie też w stanie stamtąd wrócić.

\*\*\*

Pasterz kochał i stracił swą miłość, a z jego straty zrodziły się słowa, bo nie miał już nic innego do ofiarowania.

Ja natomiast mam pamięć, która wciąż nie daje mi spokoju, ale przecież nie wybieramy sobie wspomnień, tylko sposób, w jaki je w sobie nosimy, więc by coś z nimi zrobić, piszę.

Nigdy więcej nie rozmawiałam z Imadem. Myślę, że nie jestem tak wspaniałomyślna jak madame. Utrzymuję jednak kontakt z Adelem. Zadzwoił do mnie, gdy tylko wydobrał. Nawet przez telefon słyszałam w jego głosie ten sam smutek i poczucie winy, które dręczyły i mnie. Chociaż się o niego martwiłam, to na swój sposób dodało mi to otuchy. Nie zdołamy uleczyć się nawzajem z tęsknoty, ale razem przynajmniej nie poddamy się poczuciu samotności.

Adel też się nie ożenił. Po Nisrine czuł się zagubiony. Nie był już policjantem. Twardo trzymał się ziemi, chodził ulicami miasta, ale myślami wciąż znajdował się tam wysoko, na balkonie, przy miłości swego życia. Odkrył, że nie potrafi już żyć obok innych ludzi, tak bardzo przywykł do spoglądania w dół na wierzchołki drzew, a nie do unoszenia wzroku. Gdziekolwiek się zwrócił, miał wrażenie, że ją widzi.

W końcu jego ojciec, który bez pytania odebrał mu jego pierwszą pracę, również bez pytania znalazł mu nową. Zapisał syna do szkoły dla pilotów. Teraz Adel lata samolotami poczty lotniczej.

Bardzo polubił tę pracę. Unosi się wysoko nad miastem, zamknięty w ciasnej przestrzeni, z milionami słów zapisanych na cienkich kartkach. Sam nie pisze (po Nisrine nie był już w stanie), ale lubi wozic listy innych ludzi.

Zresztą mówi, że decyzja o tym, by więcej nie pisać, wzięła się nie ze śmierci, ale z miłości. Nie napisał żadnego wiersza, odkąd spotkał się z Nisrine w naszym ciasnym mieszkaniu, w pokoju dzieci. Twierdzi, że to właśnie wtedy poznał zupełnie nowy sposób tworzenia i nie chciał już wracać do starego. Ja jednak sądzę, że po śmierci Nisrine trudno mu było znaleźć słowa – kiedy stały się dla niego zbyt trudne, zebrał je wszystkie i wysłał

do mnie, jedno młode życie zamknięte w niewielkim pudełku.

Zdumiewający tekst opowiadał o stracie i strata zdefiniowała też moje życie, ale czasem wciąż szukam ucieczki w miłości. Przesiaduję wśród książek, staram się wspominać szczęśliwsze dni, radość zrodzoną z rzeczy, które dawniej traktowałam jako coś oczywistego: arabskie włosy, blond czupryna Adela za oknem, dłoń Nistrine w mojej dłoni. Pocięchą jest dla mnie świadomość, że Nistrine zdołała zaznać wielkiej miłości, zanim odeszła z tego świata, że zdołała rozwinąć swoje serce – a ja poszłam za jej przykładem i zrobiłam to samo.

I cieszę się na myśl, że choć Qais i Leila spotkali się dopiero w niebie, Nistrine i Adelowi dane było spędzić razem jedno popołudnie (wtedy, gdy siedziałyśmy uwięzione w mieszkaniu) jeszcze tu, na ziemi.

Wróćmy do tamtego dnia. To wtedy Adel odkrył, jak sam mówi, nowy sposób pisania.

Dopiero co wylądował na naszym balkonie, właśnie rzucili się sobie z Nistrine w objęcia i pobiegli do pokoju. A ja zostałam na zewnątrz i starałam się nie podsłuchiwać. Teraz jednak, po tylu latach, wchodzę tam razem z nimi. Leżące przede mną listy Adela mi na to pozwalają.

Pokój był niewielki, z piętrowym łóżkiem, dziecięcymi kredkami, matą Nistrine na podłodze. Adel stanął wśród tych wszystkich przedmiotów, twarzą w twarz z ukochaną kobietą. Po raz pierwszy sam na sam.

Drogi czytelniku, spróbuj sobie wyobrazić, jak ważne były te pierwsze chwile. Postaw się na miejscu Adela – właśnie balansowałaś na cienkiej linii kilka pięter nad ziemią, a potem wyważyłaś drzwi, by dostać się do ukochanej. Pragniesz dać jej szczęście, dobrze wykorzystać ten czas. Ale w swoim życiu, jak dotąd, kochałaś tylko na trzy sposoby: słowami, gestami i wierszami. Nigdy jej nie dotykałaś.

Zaledwie wczoraj podjąłeś pierwszą próbę walki o nią.

Teraz masz jedynie kilka krótkich godzin. I Nistrine – niczym zupełnie nowy świat.

Wyciągasz nieśmiało rękę, a ona ją ujmuje. I już ten drobny gest przyprawia cię o dreszcz.

Dawno temu Adel śnił o Nistrine. W tym śnie nie była idealna i miała na sobie czerwone sari.

Teraz pierwszą rzeczą, jaką odkrył w pokoju dzieci, było to, że Nistrine rzeczywiście ma wiele z tych niedoskonałości, o których kiedyś śnił. Zacerwienione oko, stłuczony paznokciec u nogi. Po urodzeniu dziecka jej biodra i piersi pokrywała siateczka białych kreseczek, przywodząca na myśl koronkę. Kiedy je całował, ustępowały pod

naciskiem jego warg niczym piasek.

I tymi drobnymi sposobami udowodniła mu, że życie potrafi być równie piękne jak sen. Że ciało może dorównywać twoim marzeniom. Wziął ją w ramiona, pod palcami poczuł jej miękką skórę. A ona otworzyła się przed nim.

Adel był młody, nie miał doświadczenia w miłości. Dzieliły ich zaledwie dwa lata różnicy, ale Nisrine pochodziła z innego kraju. Zdążyła już wyjść za męża, urodzić dziecko, zakochać się. Te doświadczenia dały jej wiedzę, o jakiej on nawet nie śmiał marzyć, więc kiedy ona prowadziła go pospiesznie w krainę splecionych ciał i przyspieszonego oddechu, on przesunął tylko dłońmi po jej brzuchu, niepewny, co robić dalej. Dotknęła jego uda, a wtedy cały jego świat się rozstał. Chciał, żeby ona też to poczuła. Przesuwał opuszkami palców po mapie linii na jej piersiach, a coś ścisnęło go w gardle, aż wreszcie jedynie najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał krzyk. A ona nadal tego nie czuła. Wtedy cofnął dłonie, zrobił krok w tył.

– Nisrine, naucz mnie.

Dla niej to też było nowością – nie sam dotyk, ale on. Właśnie spędziła wiele godzin zamknięta w pokoju, na co nie zamierzała więcej pozwalać (choć będzie musiała). Pokręciła głową i zapatrzyła się w ptaki za oknem.

– Wszystko w porządku. Cieszę się, że jestem tu z tobą.

Mówiła prawdę, ale on pragnął więcej. Chciał, żeby zapomniała o tym pokoju, dziecięcych ołówkach, żeby przez chwilę poczuła się tak jak on, wolna.

– Nie, chcę się nauczyć.

– Naprawdę?

Skinął głową.

Wkrótce napisze swój ostatni wiersz, ze słowami: „W miłości ona jest najlepszą nauczycielką”.

I oto wstała, jego nauczycielka, z rozpuszczonymi włosami przywodzącymi na myśl pasma dymu. Dawno temu uczył ją arabskich liter, obserwował, jak nachylona, w skupieniu odtwarza napisaną przez niego literę *ayn*.

Teraz ujęła jego dłoń w swoje ręce. Tym razem była jej kolej, by czuwać nad jego nauką, prowadzić go, tak jak niegdyś on prowadził ją. I z tych ich wspólnych wysiłków zrodziło się zupełnie nowe pismo. Wyczuwał wszystkie krągłości niczym miękkie litery, kiedy powoli prowadziła wzdłuż nich jego palce.

Pomyślał, uprawianie miłości jest jak wiersz.

Słodki rytm słów niczym nurt wody.

Pomyślał, w miłości pragnie być wielkim uczonym.

Odsunął jej dłonie – teraz, kiedy już to umiał, zamierzał nabrać wprawy. Zupełnie jak wszyscy wielcy badacze, z uporem studiował nowe litery, pisał je wciąż od nowa, aż wreszcie Nisrine krzyknęła, wydała z siebie jeden słodki dźwięk niczym idealne słowo.

A więc słowa mogą stanowić formę miłości. Da się je poczuć.

\*\*\*

Kiedy wspominam Nisrine, nie pamiętam wszystkiego, co mówiła, ale pamiętam ją samą. Jest dla mnie równie wyrazista jak niebo o zmierzchu, złocistoczerwone,

pulsujące, albo jak najpiękniejsza książka. Nadal porusza we mnie każdą możliwą strunę.

Adel czuje podobnie. Kiedy ją wspomina, rzadko mówi o jej liścikach, raczej o emocjach – jeden przebłysk ciemnego biodra spoczywającego pod jego dłonią niczym miłosny węzeł, twarde jądro jego wszechświata.

Nigdy nie zapomni tego biodra, jakżeby mógł? Jest wryte w jego pamięci, pod powiekami, na wargach, język miłości i tęsknoty, do którego zawsze będzie powracał. Który wciąż będzie się starał zrozumieć.

## PODZIĘKOWANIA

Największy dług wdzięczności mam wobec mieszkańców Damaszku, którzy pokazali mi swoje miasto i nauczyli, jak mocno można pokochać obce sobie miejsce i język. Całym sercem jestem z nimi i z resztą Syryjczyków.

Dziękuję rodzinom Mussareh i Jabri za to, że otworzyły przede mną swoje domy i wspierały mnie przez te wszystkie lata. Na serdeczne podziękowania zasłużyli także moi nauczyciele: Isam Eidoo, Barbara Romaine, Farha Ghannam, Tariq al-Jamil oraz Steven Piker, który jako pierwszy zasugerował, że studentka antropologii może zostać pisarką, jeśli tylko zechce.

Dziękuję pracownikom Swarthmore College oraz Fulbright Program za to, że w ogóle wysłali mnie za granicę, jednak podczas moich studiów w Syrii wspierało mnie wiele innych osób, które stały się także moimi przyjaciółmi: Maya Kadmani i jej rodzina, Nada Mubarat i jej bliscy, Eyad Houssami, Shayna Silverstein, Stephanie Hartgrove oraz Katherine Sydenham.

Z kolei jeśli chodzi o pisarskie rzemiosło, na moją dozoną wdzięczność zasłużyli: moja agentka, Cynthia Cannell, która z wielką mądrością i cierpliwością przeprowadziła mnie przez etap poprawiania tekstu i sam proces wydawniczy.

Moja redaktorka, Sarah McGrath, która jako pierwsza umiała sobie wyobrazić, jaka w ogóle może być ta książka. Jej uwagi otworzyły przede mną zupełnie nowy świat i uczyniły mój tekst (już nie wspominając o mnie samej) o wiele bogatszym. Dziękuję zespołowi Riverhead za to, że wydają tyle cudownych książek! W mojej wdzięcznej pamięci zapisali się też wszyscy ci, którzy pracowali nad moim tekstem, a zwłaszcza: Claire McGinnis i Al Guillen, dwie wspaniałe publicystki; Danya Kukafka za jej wartościowe redaktorskie wskazówki; Amy Ryan; Claire Sullivan; a także Helen Yentus oraz cała jej ekipa za cudowną oprawę graficzną.

Dzięki Washington University w St. Louis miałam też kontakt z pełną energii grupą pisarzy, z których wielu zgodziło się wypowiedzieć na temat pierwszych szkiców mojej książki. Jestem im dozonnie wdzięczna, na szczególne wyrazy uznania zasłużyli jednak przede wszystkim Marshall Klimasewski za to, że ciągle zachęcał mnie, bym się nie poddawała, oraz Kathryn Davis za czytanie tych wszystkich wstępnych wersji! Na moją dozoną wdzięczność zasłużyli również Katya Apekina, Anton Disclafani oraz Zachary Lazar. No i oczywiście Larry Ypil, za rozmowę na temat społeczności i domu, która trafiła na karty tej książki.

Dziękuję również za pomoc i poczucie wspólnoty wszystkim pracownikom Ragdale Foundation, Maumau, Hambidge Center for Creative Arts and Sciences oraz Vermont Studio Center, a także Chicago Department of Cultural Affairs & Special Events za stypendium, dzięki któremu to wszystko stało się w ogóle możliwe.

Zapewne nigdy nie napisałabym też tej książki, gdyby nie Sri Pakuwati, Nastria oraz Noor, a już z całą pewnością bez ich obecności w moim życiu byłabym zupełnie innym człowiekiem. Mój przyjaciel, doktor Ahmed Khader jest dla mnie wsparciem od wielu lat,

a jego wiersze stanowiły dla mnie inspirację do podejmowania własnych prób poetyckich. Wersy ze stron 102–103 stanowią swobodne tłumaczenie napisanej przez niego po arabsku dedykacji.

Rodzice obudzili we mnie odwagę do podejmowania prób pisarskich, a moja kuzynka Rachel zainteresowała językiem arabskim. Mam szczęście, że przyszedłam na świat w rodzinie, która wzrasta wspólnie. Dlatego w dorosłym życiu tak samo jak w dzieciństwie traktuję rodziców oraz resztę krewnych ze starszego pokolenia jako najlepsze przykłady do naśladowania. Jestem im za to wdzięczna, podobnie jak za wiele innych rzeczy.

I na zakończenie, dziękuję mojemu mężowi, Arthurowi, pierwszemu czytelnikowi każdej linijki, jaka wychodzi spod mojego pióra, oraz prawdziwemu partnerowi, za to, że dzieli ze mną to życie.